

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny

Nr 17

ISSN 2080-024X

marzec 2014 rok



dodatek specjalny do miesięcznika „Więści znad Orzyca” Nr 3(83)

www.tpzk.pl

www.naszkrasnosielc.tpzk.pl

**„Obce rzeczy wiedzieć dobrze jest,
swoje obowiązek”**

Z. Gloger

W „Krasnosielckim Zeszycie Historycznym” znajdujemy odpowiedź na pytanie: jak we współczesnym zglobalizowanym świecie popkultury znaleźć miejsce dla osobliwości małej ojczyzny i jej dziejów oraz dla refleksji nad życiem człowieka i źródłami ludzkiej pasji? Autorzy, pożytecznych poznawczo artykułów, ciekawie dokumentują sprawy swojego regionu poruszając się w różnorodnej tematyce badawczej: historii, edukacji i warunkach życia codziennego. Rozważania dotyczą szerokiej przestrzeni historycznej.

Zamieszczone w czasopiśmie oryginalne opracowania, wspomnienia oraz treści popularyzatorskie stanowią zachętę do ich lektury, ale też do sięgania po pióro. Co ważne, kwestie zawarte w Zeszycie stanowią też materiał do badań porównawczych i prac syntetycznych w powiecie czy subregionie.

Artykuły czyta się z zainteresowaniem, ciekawa i ambitna szata graficzna zachęca do wyciągnięcia dłoni po czasopismo, którego zaistnienie po prostu cieszy.

Zeszyt daje też szansę realizować swoje ambicje miejscowym autorom, historykom, dokumentalistom, plastynom, niespokojnym duszom. Człowiek, który tworzy wzbogaca życie swoje i środowiska w którym mieszka.

Gratulując wydawcy i redaktorowi tudzież autorom, zachęcam do przeczytania wszystkich artykułów oraz koniecznego wsparcia dla Redakcji - zarówno duchowego, jak i materialnego, by wypełniać zacytowane wyżej wskazanie Zygmunta Glogera. Prezentowane czasopismo jest potrzebne mieszkańcom Krasnosielca i okolic.

*Janusz Gołota
Ostrołęka - Olsztyn*

Szanowny Czytelniku!

Z radością oddajemy w Twoje ręce niniejszy Krasnosielcki Zeszyt Historyczny. Pragnę poinformować, że wszystkie prace wykonane przez autorów zamieszczonych tu tekstów, jak i czynności edytorskie, korekcyjne i techniczne – wykonane zostały nieodpłatnie. Jednakże kosztu wydrukowania niniejszego Zeszytu nie możemy pokryć zwyczajowym *Dziękuję* lub *Bóg Zapłać*, zatem zwracam się do Ciebie z prośbą o wsparcie finansowe, które w całości przeznaczymy na opłacenie faktury w drukarni.

Wpłaty proszę kierować na konto Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu.

*Z poważaniem
Redaktor Wydania Sławomir Rutkowski*

Wspomnienia wojenne Franciszka Dawida i Franciszka Stachelskiego

str. 2

Tadeusz KRUK



Szkoła Rolnicza w Szczytnie

str. 6

Apolinary ZAPISEK



Jan Dudek - historia życia

str. 11

Tadeusz KRUK



Rok w ruskim cyrku

str. 16

Epsi PETERSON



Powiat makowski w oczach korespondentów gazety „Zorza” z początków XX wieku

str. 38

Cezary PAŁUBIŃSKI



Uczestnicy Powstania Styczniowego z terenów obecnego powiatu makowskiego

str. 41

Tadeusz SUSKI



Scytowie i Sarmaci cz. 2 Sarmaci

str. 49

Paweł WŁODARSKI



O księdzu Stefanie Morko jeszcze słów kilka

str. 50

Ludwik BRZEZIŃSKI



Wspomnienia z Drażdżewa oraz 13 pułk piechoty z Pułtuską

str. 51

Piotr Wiesław MATEJUK



Z Podnierzówki do Olsztyna Moje wspomnienia

str. 53

Edward MISIARCZYK





Wspomnienia wojenne Franciszka Dawida i Franciszka Stachelskiego

Tadeusz KRUK

Franciszek Dawid był nauczycielem. Pracę pedagogiczną rozpoczął po wojnie w szkole podstawowej w Drażdżewie i tutaj ją zakończył w 1977 r. W międzyczasie (1950-60) mieszkał i nauczał w Zyndakach, w pow. mragowskim, a następnie, po powrocie w rodzinne strony, pracował przez 5 lat w Rakach, gm. Krasnosielc. W obu tych miejscowościach, pod jego kierownictwem, wybudowano nowe szkoły. Od 1965 r. pracował ponownie w Drażdżewie. Przez trzy lata był moim polonistą i wychowawcą. Wspaniały nauczyciel.

Na godzinach wychowawczych i w luźnych rozmowach często powracał do wspomnień. Opowiadał o swoim kurpiowskim rodowodzie i trudnym dzieciństwie, o mrocznych latach okupacji i uwięzieniu w obozie w Działdowie, o życiu obozowym, o udanej ucieczce. Jednak były to wspomnienia fragmentaryczne, niepełne, przystosowane do wieku słuchaczy. Dlatego po latach próbowałem je poszerzyć i uzupełnić. Świetną okazją było gromadzenie materiałów do Jego biogramu (S. Pajka, *Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny XX wieku*, Kaźdido 2008). Kolejne uzupełnienia pojawiły się na łamach *Więści znad Orzyca* (Monika Grabowska, *Bohater naszych czasów - Franciszek Dawid*, W 20/2008; Stanisław Pajka, *Pozostawił po sobie piękną pamięć*, W 70/2013). Były też inne, moje wzmianki w artykułach związanych tematycznie z Drażdżewem i jego historią.

Jednak nadal nie była i nie jest to pełna wiedza o Franciszku Dawidzie, jako nauczycielu, społeczniku, kronikarzu, żołnierzu, strażaku i zwykłym mieszkańcu Drażdżewa Małego (Gierówki - jak sam mawiał). Dlatego z przyjemnością polecam wspomnienie Jego autorstwa pt. „Orzeł” w gminie Krasnosielc zawarte w opracowaniu zbiorczym *Pamiętniki kombatantów Kurpiowszczyzny* pod redakcją Bronisława Gołębiowskiego i Stanisława Pajki (Ostrołęka 1997).

Nie uprzedzając faktów, twierdząc, że tak mało wiemy o patriotycznej postawie i bohaterstwie naszych bliskich, znajomych i sąsiadów z okresu wojny. Ci ludzie mieszkali wśród nas - w Drażdżewie i najbliższej okolicy. Spotykaliśmy ich w pracy, na polu, w kościele, w sklepie, na drodze. Tacy zwyczajni-niezwyčajni. Wracający na ogół niechętnie do tamtych, wojenno-powojennych czasów, z różnych przyczyn. Walcząc o Polskę narazali się jednym i drugim agresorom. Niektórzy żyli z piętnem „żołnierzy wyklętych”. Ci ostatni doczekali się swego święta dopiero trzy lata temu, kiedy to 3 lutego 2011 r. Sejm RP przyjął ustawę o Narodowym Dniu Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Święto to jest obchodzone 1 marca. Nie dożył go Franciszek Dawid i jego współtowarzysze niedoli. Zatem na nas żyjących spoczy-



Franciszek Dawid, 1915 – 1998.

wa obowiązek pamięci o ich życiu, pracy, walce i poświęceniu dla Ojczyzny.

Tadeusz Kruk

Franciszek Dawid - ur. 22 XI 1915 r. w rodzinie chłopskiej na Kurpiowszczyźnie. Po powrocie z wojska (służył jako ochotnik) pracował w Mławie, gdzie ukończył tzw. małą maturę. Po powrocie z kampanii wrześniowej (udało mu się uciec z niewoli Armii Czerwonej) od razu nawiązał kontakt z ruchem oporu. Był członkiem KOP-u, a następnie ZWZ i AK. W czasie okupacji ukończył tajną szkołę oficerską ze stopniem porucznika. Pod koniec wojny (w lipcu 1944 r.) został aresztowany i uwięziony w obozie karnym w Działdowie, skąd udało mu się uciec (18 I 1945 r.). Po wojnie był represjonowany (2 lata więziony). Przez cały czas pracował jako nauczyciel, w tym przez 17 lat w Drażdżewie. Od 1977 r. jest na emeryturze.

Od dawna zajmuje się opisywaniem historii swojej okolicy i swych przeżyć. Między innymi tekst jego autorstwa znajduje się w zbiorowym wydawnictwie pt. „Ojczyzna w moim losie”, wzięły udział w konkursie pod hasłem „Rolnicy i wieś polska 1989-1991” (otrzymał wyróżnienie). Obecnie pisze wspomnienia zatytułowane „Losy jednego Kurpia”.

(B. Gołębiowski i S. Pajka,
Pamiętniki kombatantów Kurpiowszczyzny)

„Orzeł” w gminie Krasnosielc

Wojna z Niemcami zagnała nas aż pod Jarczów Stary, sześćdziesiąt kilometrów za Lwów. Inwazyjna Armia Czerwona ZSRR zagroziła nam drogę do Rumunii. 17 września 1939 r. Marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły wydał rozkaz zejścia w podziemie, organizowania Ruchu Oporu i prowadzenia walki aż do zwycięstwa. Gdy wracaliśmy dochodziły nas wieści, że gen. Bortnowski zajmuje Prusy Wschodnie, a Anglicy walczą już na polskim Pomorzu. Po powrocie do Drażdżewa stwierdziliśmy, że wieści te były fałszywe. Ludzie coraz bardziej ulegali zwątpieniu. My też! Ale tylko chwilowo...

Dnia 15 listopada 1939 r. zebraliśmy się w domu mojej matki Rozalii Dawid, z domu Orzeł, na naradę. Było nas siedmiu podoficerów, którzy powrócili z wojny. Postanowiliśmy nadać naszej organizacji kryptonim „Orzeł”, z kilku powodów: 1. Była to nazwa Godła Polskiego; 2. Było to rodowe nazwisko mojej matki; 3. W tej części Puszczy Kurpiowskiej było dużo nazwisk o takim brzmieniu; 4. Są tu nawet wsie o nazwie „Orzeł”, „Orzełek” (w kurpiowskiej wymowie: „Orzoł”, „Orzołek”). Uważaliśmy, że ta mnogość nazwisk i nazw wiosek utrudni Niemcom rozeznanie, o co tu chodzi.

Zakładaliśmy bardzo ścisłą konspirację. Wstępujący do „Orla” mieli składać uroczystą przysięgę (tekst podam dalej) i nie wolno im było znać więcej niż pięciu konspiratorów. Piątkowy system miał nam dawać pewne bezpieczeństwo w razie dekonspiracji. Komendantem wybraliśmy jednogłośnie plutonowego żandarmerii Władysława Dawida. Jego zastępcami zostali Franciszek Dawid i Jan Flanczewski. Władysław Dawid jako komendant przybrał pseudonim „Orzeł”. Od razu trzeba wspomnieć, iż po wojnie był więziony w Warszawie na Mokotowie, zaś po zwolnieniu z więzienia był nauczycielem szkoły w Kosewie koło Mragowa. Zmarł w 1966 r. Franciszek Dawid jako pierwszy zastępca - pseudonim „Sokół” - został odpowiedzialny za sprawy organizacyjno-szkoleniowe oddziału, zaś po wojnie podjął pracę nauczyciela w Ryndakach, pow. mragowski, a następnie w Rakach i Drażdżewie, pow. makowski. Jan Flanczewski, też plutonowy, pseudonim „Kruk”, odpowiadał za wywiad i kontrwywiad, zaś po wojnie pracował jako prezes Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Szczytnie.

Powstało osiem piątek w różnych wsiach: w Przytułach, Wólce Drądzewskiej (dwie), w Karolewie, w Kujawach, w Elżbiecinie, w Drądzewie (dwie). Powołaliśmy też sanitariuszki w osobach: Stanisława Gwiazda, Maria Dawid, Jadwiga Wójcicka z Drądzewa Małego. Nikt z nas się nie spodziewał, że organizowanie komórek ruchu oporu w środowisku czysto wiejskim pójdzie tak łatwo. Do wiosny 1940 r. mieliśmy już szkielet organizacyjny więcej niż jednej kompanii, co oczywiście zwiększało niebezpieczeństwo „wpadki”. Trzeba było umocnić konspirację...

Ruszyliśmy więc w trójkę z Władkiem i Jankiem nocami do poszczególnych „piątek”, by odebrać uroczystą przysięgę, która brzmiała:

„Przysięgam Panu Bogu w Trójcy Jedynej i Narodowi Polskiemu pracować i walczyć dla dobra Ojczyzny - Polski i Narodu Polskiego. Będę przestrzegał tajemnicy organizacji i wiernie będę wykonywał rozkazy moich dowódców. Tak mi dopomóż Bóg i Wszyscy Święci”.

Przysięgę składano z dwoma palcami prawej ręki, złożonymi na Krzyżu z Chrystusem między dwoma gromnicami, i lewą ręką złożoną na piersiach. Robiło to na wszystkich ogromne wrażenie. Niektórzy byli bliscy omdlenia, inni mieli łzy w oczach, i drżeli jak osiki. I nikt z „Orła” nie zdradził. Niemcy upojeni zwycięstwem nawet nie przypuszczali, że ci „podludzie” zdolni są do czynów i poświęceń. Ała nam, jako organizatorom oddziału, dokuczał pewien niepokój: „Czy nikt nie załamie się?”.

Na początku istnienia organizacji nie planowaliśmy zbrojnych wystąpień. Naszym celem było podtrzymywanie ludzi na duchu, rozpowszechnianie dobrych, prawdziwych wiadomości i poskramianie służalców, którzy zaczęli wysługiwać się Niemcom, bo pojawili się już i tacy.

Były też na terenie gminy Krasnosielc inne różne inicjatywy organizowania tajnych związków, które do szerszego Ruchu Oporu wchodziły dopiero w latach 1940-1942, a nawet niektóre w latach 1943-1944. Dla przykładu, jesienią 1939 r. uciekł z niewoli niemieckiej kapral czwartego plutonu żandarmerii wojskowej Marian Czaplicki ze wsi Wola Szlachecka, gmina Krasnosielc. Odszukał go starszy sierżant Grzechowski z Warszawy, który już był członkiem Ruchu Oporu. W lutym 1940 r. przybył do Czaplickiego pan Maliński z Warszawy i zorganizował komórkę, do której weszli: Marian Czaplicki z Woli, Jan Szewczak z Zalesia, Gustaw Mosakowski z Rzechowa, Henryk Bociewski z Zawad, Ferdynand Rakowski z Krasnosielca Leśnego i Ignacy Częściak z Woli. Wszyscy oni byli podoficerami w wojsku i podjęli się zorganizowania dalszych piątek dla Organizacji Wojskowej „Wilki” (OW „Wilki”). Czaplicki przybrał pseudonim „Kolecza” i został członkiem Powiatowego Sztabu OW „Wilki”. Był odpowiedzialny za łączność z Warszawą. Nawiazał również kontakt z naszym „Orłem” i zaproponował połączenie, ale myśmy mieli już łączność z Warszawą „po innej linii” i odmówiliśmy połączenia. Ale nasza współpraca z nimi trwała do końca okupacji. OW „Wilki” w 1942 r. weszła do Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ).

W Krasnosielcu powstała też inna grupa chętnych do walki. Zorganizował ją Marian Fe-



Józef Dawid (1873-1920),
ojciec Franciszka.



Rozalia Dawid z d. Orzeł (1875-1959),
matka Franciszka.

renc, pseudonim „Bułat”. Jego organizacja przybrała kryptonim „Kopenhaga” i jako „dzika jednostka” wkrótce nawiązała kontakt ze Związkiem Walki Zbrojnej (ZWZ). A potem przekształciła się w Armię Krajową (AK). Nasz „Orzeł” podobnie wszedł do ZWZ, a potem do AK, ale po drodze przeżył jeszcze wiele...

W listopadzie 1940 r., po wysiedleniu wsi Grądy, część wywieziono do Skierniewic, część zaś uciekła do sąsiednich wsi. Moja rodzina Dawidów przyjęła Stanisława Jędrasa z żoną, trojgiem dzieci i dwojgiem dziadków, razem siedem osób. Zatrzymali się na kilka dni, zostali w gospodarstwie do kwietnia 1945 r. W następnych latach doszło jeszcze kilka osób ukrywających się przed Niemcami: Stanisław Przybyszewski - późniejszy wójt gminy Krasnosielc, Jan Kołakowski - nauczyciel, późniejszy dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Krasnosielcu, Stanisław Kołakowski - handlowiec z Krasnosielca, Leon Chrzanowski - kierownik szkoły w Drądzewie, Teodor Zduniak - komunista zbiegły z obozu w Oświęcimiu, po wojnie wójt gminy Krasnosielc, a następnie wicestarosta powiatu makowskiego. W obejściu mieliśmy schron pod stodołą z wejściem spod szopy. Tam przebywali ukrywający się w czasie dnia, a spacery urządzali nocami. Matka Rozalia Dawid, z domu Orzeł (my wszyscy pięciu synów i nasza siostra Maria byliśmy w Ruchu Oporu), jej córka, a nasza siostra Maria i żona Stanisława Jędrasa gotowały jeść i opierały skrywających się ludzi. Stanisław Jędras był na Sławkach robotnikiem leśnym i on dostarczał opał, wówczas trudny do zdobycia.

Nasze trzydziestomorgowe gospodarstwo było zasobne: sześć krów, dwa konie, dwie maciory i kilka tuczników wystarczyło na wyżywienie. Bürgermeister Rychter z Krasnosielca, po oddaniu na skup dwóch tuczników, dawał prawo uboju na jednego tucznika dla rodziny. Kiedy dziś, po wielu latach, wspominam tamte trudne lata, mam podziw i szacunek dla mieszkańców mojej wioski.

Część wsi Drądzewo Małe leżała z dala od szosy, tuż nad łąkami, porośniętymi krzewami olszyn i wierzb. Za łąkami był kompleks sosnowego boru, należącego do Krasieńskich i zwanego „Krasiniakiem”. Wieś Drądzewo

Małe nazywana była „Gierówką”. W tej „Gierówce” mieszkało kilkanaście rodzin rolników-średniaków, gospodarujących na obszarach od pięciu do sześciu hektarów. Różnice w obszarze gospodarstw nie przeszkadzały w życzliwości i przyjaźni między sąsiadami, co zacieśniła jeszcze bardziej okrutna okupacja. Ludzie ci wiedzieli prawie wszystko o sobie i nikt nikogo nie zdradził, nie wydał, nie oskarżył, nie doniósł na nikogo. A gdy w polu widzenia pojawili się Niemcy, dzieci posyłane przez rodziców powiadamiały o tym całą społeczność wiejską. Byliśmy więc chyba najmniejszą komórką umęczonej Polski, ale chyba też najbardziej zgraną, zjednoczoną, patriotyczną. Nic więc dziwnego, że mogło się tu ukrywać wielu ludzi i wszyscy przeżyli noc okupacji.

Drugim fenomenem naszej wsi była tajna szkoła dla dzieci. Rodzicom tych kilkorga uczących się dzieci, z których po wojnie wyrosli inżynierowie, nauczyciele, wzorowi rolnicy itp., groziły obozy karne, a dzieciom wywózka do Prus na roboty. A jednak wszyscy ryzykowali i uczyli się. Nauka odbywała się tylko w umówione dni u Stanisława Gwiazdy lub u Zofii Wójcickiej. W czasie lekcji zawsze ktoś ze starszych dzieci pełnił „wartę” na drodze. Niektóre dzieci uczyły się z dużym przejęciem i systematycznie. Te po wojnie zdawały do trzeciej lub czwartej klasy (np. Kazimierz Kowalczyk, dziś wizytator Kuratorium w Olsztynie), słabsze do klasy drugiej. Niektóre porzuciły na tym, co zdobyły w czasie okupacji. Ja zdałem tzw. „małą maturę” - 9 klas. Dzieci miały przedwojenne książki. Część książek ofiarował nam ukrywający się wówczas kierownik szkoły w Drądzewie Leon Chrzanowski.

Jako członek Ruchu Oporu z małą maturą uczyłem także tajemnie dzieci na polecenie „Orła” i zasmakowałem w tej pracy, bo po wojnie zdałem maturę w Liceum Pedagogicznym w Mragowie i ukończyłem Wyższe Kursy Nauczycielskie w Olsztynie. Jako w zasadzie samouk wiem, że mam braki wiadomościach i w budowie zdań, interpunkcji. Ale pracowałem nad sobą tak, że otrzymałem tytuł nauczyciela dyplomowanego. To dzięki tamtym rodzicom i tamtym dzieciom z lat okupacji...

Nasza organizacja wolnościowa rozwijała się powoli, z oporami lub - czasami - z nadmiernym entuzjazmem. Jedno i drugie niesło niebezpieczeństwo „wsypy”. By to niebezpieczeństwo zmniejszyć podzieliśmy obszar Drażdżewa i okolicy na trzy rejony. Każdy z nas dowódców (tzn. Władek, Janek i ja) kontaktował się tylko ze swoim rejonem. Całość siatki poznałem dopiero po wojnie. Czy całość? Wiele ludzi, rozgoryczonych tym, co tu się działo po wojnie, nie chciało o swojej działalności w ogóle rozmawiać. Nie chcieli oni należeć do żadnej partii, a nawet do ZBoWiD-u.

Najbardziej tragiczną komórką „Orla” było Drażdżewo Nowe. Rządca majątku, leżącego w granicach tej wsi, zwanego „Kantor” Henryk Roman, zorganizował swoją piątkę. Pierwszy z niej został aresztowany Józef Grala i osadzony w areszcie w Drażdżewie. Wtedy trzech bracia Jeznachowie z owej wioski pewnej wichrowatej nocy wyłamali w areszcie część dachu, wycięli otwór w suficie i uwolnili Gralę. Wściekłość żandarmierii nie miała granic, ale Grala wyjechał i przeżył okupację. Niedługo potem zostali aresztowani właśnie trzech bracia Jeznachowie i wkrótce zginęli w Oświęcimiu. W 1944 r. zostali aresztowani Marcin Ciak, Walenty Dawid i Skowroński, ukrywający się u Dawida. Wszyscy trzech zostali zamordowani w Starych Jabłonkach pod Ostródą 20 stycznia 1945 roku. Przeżył tylko Henryk Roman, którego „ktoś” ostrzegł przed aresztowaniem...

Drugą tragiczną wioską była Wólka Drażdżewska, tam tragicznie wyginęli prawie wszyscy członkowie dwóch piątek. Przeżyli wojnę tylko: Franciszek Lipka ps. „Brzoza” i Franciszek Łukaszewski.

Oprócz żmudnej pracy organizacyjnej i oświatowej staraliśmy się zorganizować wywiad. Skromny, co prawda, na miarę naszych możliwości. U bürgermeistera Krasnosielca służyła Maria Gwiazda, córka naszego Stanisława Gwiazdy. Ta dziewczyna zgodziła się na „donoszenie”. A ponieważ żyła w przyjaźni z córką Rychtera Lidią, z którą o wielu sprawach rozmawiała, oddała nam wiele przysług. Drugą dziewczyną w tej roli była Stanisława Kacprzyńska, służąca i kucharka żandarmów w Drażdżewie, z którą w tych sprawach kontaktował się Jan Flanczewski. Z jej strony mieliśmy też wiele cennych informacji, dzięki którym uniknęliśmy wielu aresztowań.

Od początku naszej działalności szukaliśmy kontaktu z organizatorami „wyższego rzędu”. Już na początku 1940 r. Bolesław Ptak z Wólki nawiązał kontakt z Bronisławem Talarem z Baranowa, współorganizatorem Komendy Obrońców Polski (KOP) w Baranowie. Talar i Józef Orzoł przybyli na spotkanie w Wólce Rakowskiej, na którym byli też Franciszek Lipka, Stanisław Lipka oraz Czesław Matyjasik. Bronisław Talar zażądał podania mu struktury organizacyjnej naszego „Orla”, na co myśmy się nie zgodzili. Zobowiązał się dostarczać nam tajną prasę, to jest pismo „Polska Żyje”. Łączniczką z nami miała być dziewczyna z Baranowa Janina Kwiatkowska ps. „Nina Czerska”.

W październiku 1941 r. został aresztowany Józef Orzoł. Torturowany załamał się i zaczął sypać. Aresztowano Bronisława Talara, ale ten po pierwszym badaniu udał nieprzytomnego i pozostawiony w sali badań uciekł oknem. Aresztowano też Janinę Kwiatkowską, ale ona wiedząc, co ją czeka, dokonała śmiałej ucieczki



Franciszek Dawid - kolejarz, ok. 1937-39.

z więzienia w Ostrołęce, wyjechała do Warszawy i tam przeżyła wojnę. Talar ukrył się też w Warszawie z Kazimierzem Tycem. Ale nie na długo, bo zwolniony z więzienia przez Niemców Józef Orzoł odszukał tam Talara i naprowadził na niego Niemców. Powtórnie aresztowany razem z Tycem zginął pod gilotyną w Królewcu. Co się stało z Orzołem - nie wiadomo. Niestety, z grupy Talara zginęło ponad sto osób z Baranowa, Parciak i innych wiosek. Warto by uczcić dziś ich pamięć odpowiednią tablicą pamięci w Baranowie...

Baranowskie aresztowania postawiły w stan alarmu naszego „Orla”. W grudniu 1941 r. został z naszych aresztowanych Bolesław Ptak, zamordowany w 1942 r. w Oświęcimiu. Razem z nim aresztowani byli Stanisław Lipka, Franciszek Lipka i Czesław Matyjasik. W noc sylwestrową 1941 r. na 1942 r. grupa więźniów w Ostrołęce zorganizowała śmiałą ucieczkę z więzienia. Wtedy uciekło około 10 więźniów, w tym Franciszek Lipka i Czesław Matyjasik. W czasie ucieczki poległ Stanisław Lipka. Pozostałych przy życiu więźniów ze zbuntowanej celi wymordowano na dziedzińcu ostrołęckiego więzienia.

Czterech aresztowanych członków naszego „Orla” - KOP-u nie wydało nikogo. Cześć i za to. Dotrzyмали przysięgi...

Po wyspie baranowskiej nawiązaliśmy kontakt z Marianem Ferencem ps. „Bułat”, kierującym placówką CX-II „Kopenhaga” w Krasnosielcu i razem z tą grupą w 1942 r. przeszliśmy do AK pod tym samym kryptonimem. W 1942 r. dotarł na nasz teren oficer 13 pułku piechoty z Pułtusza, nazwiskiem Piasecki ps. „Makary”, który wprowadził na nasz teren nową organizację Ruchu Oporu, to jest Narodowe Siły Zbrojne (NSZ). Była to organizacja silnie prawicowa, planująca walkę tak z hitlerowcami, jak i z komunistami. „Polska trzech mórz” - to było hasło NSZ-u. Mieliśmy luźny związek też z tą organizacją, której działanie osobne zakończyło się wraz z wchłonięciem NSZ przez AK w 1943 r. „Makary” poległ w walce z żandarmami w Żabinie za Makowem Mazowieckim i wtedy kontakty z NSZ urwały się. U nas też wprowadziliśmy zmiany organizacyjne. Komendantem samej wsi Drażdżewo został Bolesław Surgał. Okręg podzieliśmy na trzy podokręgi i zwiększyliśmy czujność...

Po upadku Francji w czerwcu 1940 r., znacznie upadł stan ducha w „Orle”, nawet część członków zrezygnowała w poczuciu bezradności sytuacji. Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej podniósł ducha nadziei, nasza organizacja znów okrzepła, choć nie obyło się bez ciężkich „wsyp” i strat pod koniec wojny. W 1944 r. został aresztowany bardzo aktywny i nieostrożny Stanisław Napierski z Pienic, który nie wytrzymał tortur w Działdowie i zaczął sypać. Podobnie aresztowany Fabisiak z Krasnosielca, co spowodowało objęcie aresztowaniami gminy Krasnosielec i powiatu makowskiego. Setki ludzi aresztowano i zamknięto w Działdowie. W Drażdżewie aresztowano Józefa i Franciszka Dawidów, Franciszka Szczepańskiego, Wacława Ślebza i Antoniego Kuśmierczyka. Żaden nie wydał nikogo. Reszta uciekła i ukryła się aż do końca wojny poza wsią...

Co się działo po wojnie napiszę w innym zeszyście...

Franciszek Dawid

PS - Zapowiadanego „innego zeszytu” nie udało mi się odnaleźć. Nie mam też pewności, że zdążył powstać.

T.K

* * *

Jak niepewne i straszne były tamte wojenne czasy, jak kruche było życie ludzkie, w zetknięciu z okrucieństwem barbarzyńców wyzutychnych z człowieczeństwa, świadczą relacje osób, którym los nie poskąpił tragicznych przeżyć i traumatycznych doświadczeń. Wczesną jesienią 1944 r. gestapo aresztowało w Bandysiach (gm. Czarnia), 120 mężczyzn, mieszkańców tej wsi. Byli w wieku od 16 do 60 lat. Wywieziono ich najpierw do obozu w Działdowie, a stamtąd do Stutthofu. 113 nigdy nie powróciło... Jednym z tych, którzy przeżyli obozowe piekło, był **Franciszek Stachelski**.



Pomnik ku czci 113 zamordowanych mieszkańców Bandys, stoi w miejscu tragicznej zbiórki 3 X 1944 r., fot. ze strony internetowej TO.

Oto jego wspomnienia zawarte w cytowanym powyżej opracowaniu pod redakcją Bronisława Gołębiowskiego i Stanisława Pajki *Pamiętniki kombatantów Kurpiowszczyzny* (Ostrołęka 1997). Ta wstrząsająca relacja uzmysławia skalę ryzyka i następstw, jakie niesła ze sobą wszelka działalność konspiracyjna. A taką przecież prowadzili, m.in. żołnierze spod znaku „Orla” w gminie Krasnosielec, w tym Franciszek Dawid. Warto dodać, że obozowe drogi obu Franciszków - Dawida i Stachelskiego - zeszyły się, tragicznym przypadkiem, w Działdowie, na półtora miesiąca (X-XI 1944).

Tadeusz Kruk

Stutthof, blok 14 koło krematorium

Miałem 17 lat, gdy Niemcy otoczyli moją rodzinną wieś Bandysie w dn. 3 października 1944 r. i rozpoczęli oblławę na jej mieszkańców. Przyczyną niemieckiej akcji był gniew z racji ich niepowodzenia w osaczeniu i likwidacji partyzanckiego oddziału AK. Oddział ten miał swą siedzibę w lasach między Charciabądą i Olszynami. Mieszkańcy Bandys niejednokrotnie udzielali partyzantom pomocy żywnościowej. Volksdeutsch K. wykrył obecność oddziału powiadomił Niemców. Ci próbowali zmusić partyzantów do kapitulacji, bądź zlikwidować, ale ich atak na pozycje AK-owców zakończył się całkowitym niepowodzeniem. Partyzanci zabili 14 Niemców, a sami stracili tylko jednego współtowarzysza. Oddział przeprawił się przez rzekę Omulew i w tym, by go ponownie wykryć, nie pomogły ani zwiad lotniczy ani pojazdy pancerne.

Swoją klęskę i bezsilność hitlerowcy postanowili wyładować na mieszkańcach Bandys. Do każdego domu i budynku gospodarczego wkraczało po kilku uzbrojonych Niemców. Nie zważając na płacz kobiet i dzieci wypędzali oni wszystkich na drogę i pod eskortą kazali maszerować do miejsca, w którym obecnie znajduje się pomnik, poświęcony tym wydarzeniom. Wszystkim polecono usiąść w rzędach na ziemi. Niejeden żegnał się wtedy z życiem, bo w nasze plecy wycelowane były lufy karabinów maszynowych. Nastrój wyczekiwania został przerwany po pojawieniu się gestapowców z Myszyńca, którzy rozkazali przewieźć wszystkich do obozu i przeprowadzić śledztwo. Nastąpiła więc znów zbiórka w czwórkach do marszu, z konwojentami, z karabinami i bagnietami - tak szliśmy do Czarni. Tam w budynku gminy komisarz Gaska, mimo iż był znajomym mojego ojca, odmawia wypuszczenia mnie czy arestowanego także wraz ze mną brata.

Dwie osoby próbują uciekać, padają strzały, zabici na miejscu. Niemcy każą mojemu ojcu jako sołtysowi wytypować 10 najlepszych gospodarzy, którzy mają być zwolnieni. Padają nazwiska: Bałdyga, Władysław Bączek, Świder, Piórkowski, Stanisław Młynarski. Ale już przy nazwisku Julian Samsel przeczący ruch głowy, bo on jest oznaczony kredą jako jeden z głównych podejrzanych o kontakty z „bandytami”. Oddzielono kobiety, które popędzono w kierunku Krukowa i Zareb. Zaś mężczyźni pod zbrojną eskortą przemieszczeni zostali pod budynek kościoła, który w tym czasie pełnił rolę magazynu zbożowego. Tam ładowaliśmy zboże na samochody, a potem na polecenie niemieckie sami wsiadamy na ten ładunek. O ucieczce nie było co marzyć. Tuż obok jechali motocyklem uzbrojeni Niemcy. Ktoś rozgłasza wiadomość o rychłym ocaleniu - partyzanci mają zaatakować konwój i odbić nas. Ale nic takiego się nie wydarzyło...

Spędzeni z samochodów zostaliśmy wtłoczeni do kościoła w Myszyńcu. Tam dwa dni czekamy, bez żywności. Tylko niektórzy dostali żywność od rodzin.

Wreszcie weszli Niemcy, związali nas drutem telefonicznym, część nawet zakuli w dyby,

wszystkich związali razem liną. W ten sposób wsadzili nas do kolejki wąskotorowej „ciuchci”, która jedzie na Pupy (kierunek Spychowo). W Pupach przesiadka do wagonów bydłowych normalnotorowej kolei, w smrodzie i zimnie, na głodno jedziemy do Działdowa. Tam krzyk, esesmani z psami na stacji, zaganiają nas do bramy obozu, nad którą powiewa czarna flaga. To jakby zapowiedź naszego losu. Przekraczamy drugą bramę, jesteśmy liczeni i zapędzani do poszczególnych bloków. Jedna cela nie może nas pomieścić, część współtowarzyszy niedoli umieszczono w drugiej.

Rozpoczął się koszmar śledztwa, o ile można to nazwać śledztwem. Prowadzi je mieszane towarzystwo niemiecko-ukraińskie. Szczególnie Ukraińcy robią to z upodobaniem. W starej oborze od 6.00 do 22.00 „przesłuchano” 10 osób. Stan przesłuchanych kwalifikuje ich do leczenia szpitalnego, tak byli skatowani. Choć znalazł się jeden z wachmanów, nazwiskiem Schulz, który życzył nas wytrwania, bo tylko wtedy część z nas opuści wkrótce ten obóz. Tak się jednak nie stało, bo jeden z katowanych przedstawił administracji obozu listę osób współpracujących z partyzantami. Wszyscy zostaliśmy uznani za winnych, tylko on paradował wolny w asyście esesmanów.

Po 7 tygodniach takich męczarni opuszczamy obóz w Działdowie i zostajemy przeniesieni do Stutthofu, położonego na Mierzei Wiślanej. Wita nas osobiście komendant obozu, ze złożoną z więźniów orkiestrą. Z ust komendanta usłyszeliśmy słowa, iż ucieczka z tego obozu jest możliwa jedynie przez komin krematorium. Po symbolicznej raczej kąpieli każdy otrzymuje drewniaki, koszulę (nierazko z jednym rękawem) i nakrycie głowy, przypominające myckę. Ja dostałem przydział do bloku 14. Taki przydział wiązał się z selekcją więźniów pod kątem przydatności do wykonywania różnych prac. Mnie skierowano do rozbijania pni drzewnych w pobliżu krematorium.

Za wyżywienie musiało starczyć dziennie 5 dag czarnego chleba (zrobionego z kasztanów), ½ litra czarnej kawy i obiad w postaci ½ litra podłej zupy. Potem mój stan wyżywienia się poprawił, bo zostałem przydzielony do grupy więźniów zbierających leżące wokół trupy. Drabiniasty wóz, zaprzężony w 6-8 więźniów, podjeżdżał w pobliże krematorium i tam na kupy zwalano ciała, które wały się wszędzie. Niejednokrotnie zwłoki trzeba było wyrąbać z lodu, gdy leżały dłużej na mrozie, bo jeden piec krematoryjny nie mógł skremować takiej ilości ciał. Dlatego niebawem obok stanęły dwa dodatkowe piece.

Obsługę krematorium stanowili więźniowie - Niemcy, którzy otrzymywali znacznie lepsze wyżywienie. My jako ich pomocnicy spróbowaliśmy kilka razy ich zupy grochowej, stąd to wiem. Po dwóch tygodniach zostałem skierowany do pomocy w kuchni. Moim zadaniem było dzwiganie 50-litrowych beczek z podłą strawą dla odseparowanych od reszty współwięźniów - Żydów. Biedacy ci nie posiadali nawet misek i łyżek, zaś zawieszistą breję, przynoszoną przez nas, wlewano im w specjalne koryta. W porównaniu z ich warunkami życia w obozie mogliśmy uchodzić za arystokrację więzienną. Starając się ulżyć nieco ich nie-

doli kradliśmy z kuchni 2-3 ziemniaki i nieopatrzenie rzucaliśmy je Żydom. Ja sam za nadgryzienie przeznaczonego dla innych chleba zostałem straszliwie pobity przez esesmanów i przeniesiony za karę do małborka, gdzie pracowałem w fabryce części do czołgów.

Gdy ruszyła ofensywa wojsk sowieckich przewieziono mnie znów do Stutthofu, gdzie przeszedłem operację ręki. W obozowym lazarecie dotrwałem do pełnych dramatyzmu wydarzeń, związanych z ewakuacją więźniów. Nie bacząc na nic zebrano razem Polaków i Żydów i popędzono pieszo na Hel. W czasie tego marszu poznałem dwóch młodych Żydów z Łomży, których nazwisk już nie pamiętam. Przez godzinę czasu pozwolono nam na prowadzenie handlu wymiennego. Byłem w posiadaniu pół paczki tytoniu, który zamieniłem na chleb - dwa skręty za pajdkę chleba. Chleb trzeba było suszyć, w czym pomagał mi stary Żyd, za co się z nim dzieliłem zapasem. Swoją chlebowy „skarb” trzymałem w woreczku na szyi, w czasie snu ciągle trzymałem ten woreczek w rękach.

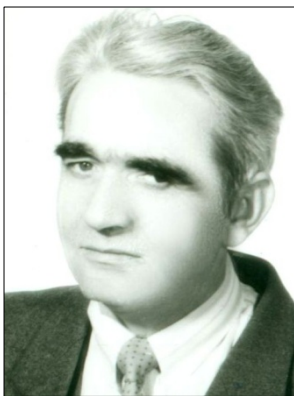
Na Helu przebywaliśmy przez 4 dni. Załadowano nas na barki, a następnie wysadzono na brzeg z myślą o zamknięciu w leśnym obozie. Zostało to pokrzyżowane przez nalot lotniczy, który rozniósł cały obóz w strzępy. Tam też zginęli wspomniani młodzi Żydzi z Łomży. Znowu byliśmy w barkach, które były dziurawe i nabierały wody. W pobliżu Rugii wpadliśmy na mieliznę, a inne barki odpłynęły. Tylko jedna z nich dobrnęła do Szwecji, trzy zatoneły, o czym dowiedzieliśmy się później. Przeżyliśmy wtedy na tej mieliznie dramatyczne chwile. Spotkanie z okrętem wojennym, dopłynięcie do jeszcze jednej wyspy. Niemcy naradzają się, czy płynąć dalej, czy też zatopić barkę? Płyniemy jednak, choć pod pokładem woda sięga do kostek, głód jest ogromny, bo pół bochenka chleba na osobę, otrzymano przed 12 dniami, to całe wyżywienie.

Nareszcie w oddali mający łąd. Czy to Polska? Obok barki krążą motorówki, mają flagi z krzyżem. Jaki to kraj? Dania. Na pokład wychodzimy dzięki ostrej interwencji angielskiego oficera. Nareszcie jesteśmy wolni. Niektórzy z tej radości i rozpędu skaczą w morze, marynarze duńscy ratują słabo pływających. Z kamiennego mołu Dunki rzucają nam chleb, który łapiemy w locie. Potem gorąca zupa i uczucie sytości...

Nareszcie kapitulacja Niemców. Dla potrzeb chorych i wycieńczonych więźniów organizuje się szpital. Potem pobyt w Sanatorium Grużliczym w Hornbeack, gdzie przebywam od końca października 1945 do stycznia 1946 i gdzie przeszedłem operację gardła. Ponieważ nawiązałem kontakt listowny z rodzicami postanawiam wrócić jak najszybciej do kraju. Konsul polski odradza pośpiech i zaleca dalszą kurację, ale wobec naszej determinacji - ulega.

W lutym 1946 roku znowu jestem w domu. Więzień Konzentrazionslager Stutthof 102569 powrócił.

Franciszek Stachelski



Szkoła rolnicza w Szczytnie 1945-1949

„Zamiejscowa” szkoła krasnosielckiej gminy
A ta nasza szkoła, tu za torem stoi.
Taki tu się uczy, co się krów nie boi.”

Ze szkolnej piosenki Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie

Apolinary ZAPISEK

Szkoła i jej absolwenci

Czy zamiejscowa szkoła w historii gminy w ogóle istniała? W sensie formalnym oczywiście nie, ale czy również w sensie faktycznym? O to można się spierać. Bo czy za taką szkołę nie można by uznać istniejącego w latach 1946-49 Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie? Pierwsi jej absolwenci opuszczający szkołę w 1948 r. to wyłącznie mieszkańcy krasnosielckiej gminy. Oto ich pełna lista:

1. Ludwik Brzeziński z Nowego Sielca
2. Wacław Dudek z Drąždźewa
3. Stanisław Juniak z Krasnosielca Nowego
4. Franciszek Kurowski z Drąždźewa
5. Henryk Modzelewski z Grądów
6. Jerzy Olzacki z Drąždźewa
7. Stefan Olzacki z Raków
8. Zdzisław Ptaszyński z Grądów
9. Stanisław Surgał z Drąždźewa
10. Mirosław Szewczak z Drąždźewa
11. Stanisław Szewczak z Drąždźewa
12. Zenon Walendziak z Drąždźewa
13. Jan Zyra z Krasnosielca

Również w następnym 1949 roku (ostatni rok istnienia szkoły) największą grupę w sensie przynależności terytorialnej stanowią mieszkańcy tej gminy, a byli to:

1. Mieczysław Buczek z Drąždźewa
2. Henryk Gregorczyk z Pienic
3. Leon Kryszk z Nowego Sielca
4. Stanisław Kuśmierczyk z Drąždźewa
5. Tadeusz Matyjasik z Drąždźewa
6. Edward Szewczak z Biernat
7. Józef Szewczak z Biernat
8. Zygmunt Zega z Raków

Klasa liczyła 21 uczniów. Sześć osób pochodziło z wiosek sąsiadujących z naszą gminą. Tylko jedna trzecia absolwentów, to jest 7 osób, związana była miejscem zamieszkania z Mazurami i Warmią, czyli regionem, gdzie zlokalizowana była szkoła. Uczniami byli wyłącznie chłopcy z rodzin repatriantów z Wileńszczyzny. Wśród uczniów szkoły nie było zupełnie młodzieży z rodzin autochtonów, to jest Mazurów. Tymczasem, zwłaszcza w szczyńskim powiecie, Mazurzy stanowili wówczas poważny odsetek. Ale to odrębna sprawa.

Sporo absolwentów tej szkoły kontynuowało potem kształcenie w pełnych średnich szkołach rolniczych, zdobywając świadectwa dojrzałości. Część z nich ukończyła potem również wyższe studia rolnicze, a Tadeusz Kukawski z Płoniaw zdobył nawet dyplom doktora nauk rolniczych, będąc również pracownikiem na-



Budynek Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie - stan obecny.
Fot.: Wojciech Cymerman, 31.10.2013 r.



Pierwsi absolwenci: od lewej stoją: 1. Nierozpoznany, 2. Wacław Dudek, 3. Stanisław Surgał, 4. Stanisław Juniak; siedzą: 5. Henryk Modzelewski, 6. Ludwik Brzeziński, 7. Nauczyciel nierozpoznany, 8. Henryk Neymann – dyrektor, 9. Zenon Walendziak, 10. nierozpoznany. Zdjęcie ze zbiorów Ludwika Brzezińskiego.

ukowy Instytut Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa.

Praca i życie wielu wychowanków tej szkoły było związane z krasnosielską ziemią lub naszym makowskim powiatem. Oto przykłady: Franciszka Kurowskiego dobrze znali nie tylko mieszkańcy Drażdzewa, gdzie się urodził, mieszkali i w ubiegłym roku dokonał ziemskiego żywota. Znali go wszyscy starsi rolnicy w naszej gminie, bo jako kierownik gminnej służby rolnej był ich doradcą i pomocnikiem. On też znał wszystkich rolników, znał też prawie każde gospodarstwo w gminie. Przyjazny ludziom, dobry fachowiec, prawy obywatel. Dziesiątki lat służył radą i pomocą swoim rodakom. Warto jeszcze dodać, że w szkole był pierwszym chorążym szkolnego sztandaru.

Stanisław Juniak należy niestety też do już nieżyjących absolwentów. Pracując, skończył jednocześnie studia rolnicze. Zamiłowanie do rolnictwa i zasady dobrej roboty wyniósł nie tylko ze szkół, ale przede wszystkim z rodzinnego domu. Jego ojciec, Hieronim Juniak stworzył i prowadził wzorowe gospodarstwo w Krasnosielcu Nowym jeszcze przed II wojną światową. Był za to w latach trzydziestych ubiegłego wieku odznaczony przez Prezydenta RP. We wrześniu 1939 r. ciężko rannego na polu bitwy w okolicy Ciechanowa, żołnierz Wehrmachtu chciał go dobić, strzelając z bliskiej odległości. Pocisk przeszedł przez bark i drasnął szyję. Od tego czasu nie mógł już samodzielnie założyć marynarki. W styczniu 1947 r. przed wyborami do sejmu podejrzewany, że może zagłosować nie po myśli ówczesnej władzy, został przewencyjnie aresztowany. Jego syn Stanisław potem pracował w administracji rolnej powiatu makowskiego. Odpowiadał za rozwój produkcji zwierzęcej. Wielokrotnie widział, jak niektóre decyzje władz wojewódzkich i centralnych są dalekie od zasad racjonalnej gospodarki, starał się więc, w miarę możliwości minimalizować ujemne skutki „radosnej twórczości” decydentów. Znałem go jako starszego kolegę we wczesnej młodości. Jestem pewny, że i potem w życiu nikomu nie wyrządził krzywdy.

I jeszcze jeden absolwent: Ludwik Brzeziński z Nowego Sielca, pracował w Makowie Mazowieckim i Krasnosielcu na różnych, ale zawsze związanych z rolnictwem stanowiskach. Może o sobie powiedzieć słowami mazowieckiego poety:

„Nie głaskało mnie życie po głowie,
Nie pijałem ptasiego mleka.
No i dobrze, no i na zdrowie,
Tak wyrasta się na człowieka.”

Swoją drogę życiową ciekawie przedstawił w autobiograficznej opowieści „Wspomnienia Ludwika z rodu Brzezińskich. Lata 1928-2012”. Obszerny fragment tych wspomnień był drukowany w 2013 roku w nr 13-14 Krasnosielskich Zeszytów Historycznych s. 34-60. Dla niejednego pisarza materiał ten mógłby stanowić podstawę do spisania wartościowej moralnie i poczytnej powieści.

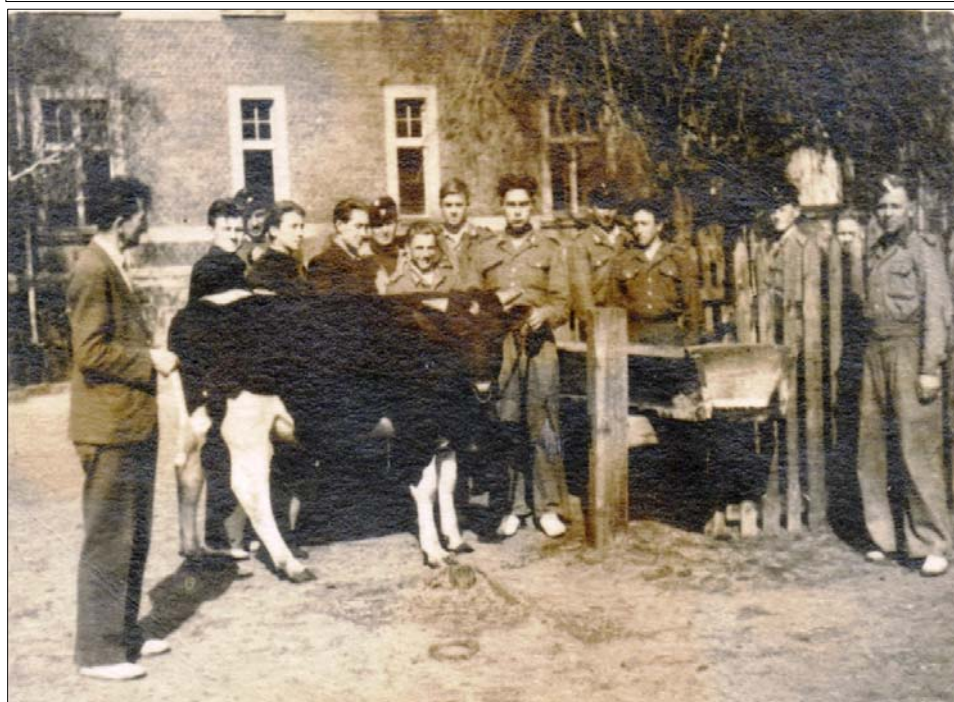
Dla pełnego obrazu więzi krasnosielskiej gminy ze szkołą rolniczą w Szczytnie, warto też przypomnieć, że w latach czterdziestych Urząd Gminy w Krasnosielcu często doraźnie wspomagał finansowo biedniejszych uczniów tej szkoły, pochodzących z naszego terenu.



Całe Gimnazjum w Szczytnie w trakcie egzaminów końcowych pierwszego rocznika tej szkoły – uczniowie oraz rada pedagogiczna, 1948 rok. Zdjęcie ze zbiorów Ludwika Brzezińskiego.



Zajęcia praktyczne z ogrodnictwa przy inspektach.



Profesor Naworski (z lewej) prowadzi lekcję na temat „Ocena i opis pokroju buhaja”, 1947 r.

Powstanie szkoły i jej rozwój

Od bardzo fragmentarycznych dziejów niektórych absolwentów przejdźmy do krótkiego przedstawienia dziejów szkoły.

Do organizowania średniej szkoły rolniczej w Szczytnie jej pierwszy dyrektor Stanisław Jurewicz(2) przystąpił już we wrześniu 1945 roku, ale zajęcia dydaktyczne rozpoczęły się dopiero w połowie września 1946 roku. Okres przygotowawczy, w porównaniu z innymi szkołami tego typu, powstałymi w 1946 r. na Warmii i Mazurach, trwał wyjątkowo długo. Bezpośrednio po wojnie przygotowanie obiektów, nabór kadry, a przede wszystkim rekrutacja uczniów nie były ani proste, ani łatwe.

Napływowa ludność wiejska miała, zwłaszcza w drugiej połowie roku 1945 i pierwszej połowie roku 1946 na głowie problemy ważniejsze niż edukacja. Można postawić tezę, że ostatecznie o rozpoczęciu pracy tej szkoły zdecydowała młodzież krasnosielskiej gminy, bowiem w pierwszym roku istnienia szkoły to oni stanowili dwie trzecie uczniowskiej społeczności. W powstającym w tym samym czasie w Szczytnie Liceum Pedagogicznym i Gimnazjum Ogólnokształcącym też była liczna reprezentacja krasnosielczan. Co skłaniało tych młodych ludzi, by po naukę wędrować do tego uroczego mazurskiego miasta położonego nad dwoma jeziorami? To tu jak w mickiewiczowskiej Świtezi można wieczorami zobaczyć „gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą”. I nie zrażało nas (też należałem do tej zbiorowości), że główna ulica tego miasta, obecnie Odrodzenia, a przed 1956 r. Stalina, a przed 1945 r. Hitlerstrasse leżała w gruzach. Ważne było, że przy ul. 1 Maja funkcjonowała piekarnia Gerwatowskiego, z której uczniowie dyżurni w dużym koszu codziennie przynosili smaczny chleb, spożywany najczęściej tylko z czarną, zbożową kawą stanowił podstawę wyżywienia w internacie.

A może zafascynowała nas postać Juranda ze Spychowa i jego nieszczęśliwej córki Danusi? A już na poważnie, to myślę, że byłoby dobrze gdyby zagadkę tej edukacyjnej migracji krasnosielskiej młodzieży kompetentnie wyjaśnili profesjonalni historycy, badający dzieje naszej Ziemi.

Z przyjętych do dwóch nielicznych klas we wrześniu 1946 r. - jedna, złożona raczej ze starszych uczniów tzw. przyspieszona, realizowała 3-letni program w ciągu 2 lat. Jej uczniowie ukończyli szkołę w 1948 r. Druga - idąca normalnym rytmem, zakończyła naukę w 1949 r. Przyjmowanie do tej klasy trwały kilka tygodni i dlatego znaleźli się w niej potem również starsi uczniowie jak np. Tadeusz Zalewski pracujący w czasie okupacji przymusowo u Niemca w powiecie szczytniejskim. W szkole pełnił odpowiedzialną funkcję księgowego Spółdzielni Uczniowskiej, która prowadziła stołówkę. Do grupy rozpoczynających naukę nieco później należał zapewne też Edward Puczel - żołnierz 24 Brygady AK „Dryświaty” na Wileńszczyźnie. Jego kolega Witk Minksztym pochodzący z tamtych stron twierdzi, że E. Puczel brał udział w likwidacji bunkrów i posterunku litewsko-niemieckiego w Gajdach 9.04.1944 r. Po szkole szczytniejskiej zdał maturę w Liceum Rolniczym II stop-



Grupa uczniów klasy II na wycieczce w Gdyni 21.07.1947 r. W rzędzie siedzących pierwsza to pełniąca obowiązki dyrektora A. Tuszowska, ostatni - nauczyciel Naworski. Zdjęcie ze zbiorów W. Minksztyma.



Uczniowie klasy II, od lewej: E. Puczel, W. Minksztym i trzeci, nierozpoznany, ćwiczą jazdę na nartach, 02.03.1947 r.

nia w 1951r. w Tczewie, a następnie w 1955 r. ukończył Wydział Rybacki w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie.

Przez cały czas trwania była to niewielka szkoła. Pod koniec roku szkolnego 1947/48 liczyła 42 (uczniów (1), a rok później, w czerwcu 1949 r. ok 65 uczniów. Podobną wielkość miały szkoły rolnicze w II RP, które były wzorem przy organizowaniu pierwszych szkół po wojnie.

W roku szkolnym 1948/49 szkoła zmieniła swoją nazwę, a częściowo również charakter. Do klasy I i II przyjęto ok. 12 dziewcząt i tym samym dawne Męskie Gimnazjum Rolnicze stało się szkołą koedukacyjną i przyjęło nazwę Liceum Rolnicze I stopnia. Wśród pierwszych adeptów zawodu rolnika nie mogło zabraknąć dziewcząt z naszej gminy. Były to, w klasie II Jadzia Wiszowata z Biernat, a w klasie I Czesia Dudkówna i Jadzia Szewczakówna z Nowego Sielca. Przyjęcie do szkoły płci pięknej wpłynęło korzystnie na tzw. „łagodzenie obyca-

jów” części męskiej. Po kilku miesiącach doszło też do zawarcia pierwszego szkolnego małżeństwa Stacha Z. z klasy trzeciej z Janką K. z klasy pierwszej.

W drugiej połowie sierpnia 1949 r. wszyscy uczniowie szkoły niespodziewanie otrzymali pisma informujące, że zostali przyjęci do Liceum Agrotechnicznego w Karolewie koło Kętrzyna, że rok szkolny rozpocznie się 15 września. I to był koniec pierwszej na Mazurach średniej szkoły rolniczej.

Zasoby materialne szkoły

Szkoła była zlokalizowana w Szczytnie przy ulicy Polnej 16, na skraju miasta po przeciwnej stronie stacji kolejowej, stąd w cytowanej na wstępie szkolnej piosence „tu za torem stoi ...”. Dysponowała dwupiętrowy budynkiem, w którym oprócz izb lekcyjnych, niewielkiej

biblioteki i świetlice, mieścił się internat męski, kuchnia i stołówka oraz mieszkanie dyrektora. W pobliżu przy sąsiedniej ulicy Marii Curie-Skłodowskiej, w jednym z bloków był mały internat żeński, złożony z 3 pokoi oraz niewielkiego mieszkania nauczycielki, opiekującej się internatem, Anny Tuszowskiej. Przy szkole istniało też gospodarstwo szkolne o powierzchni trzydziestu kilku hektarów użytków rolnych. W skład gospodarstwa wchodził też ogród warzywny, stajnia, obora z chlewnią i stodoła. Z inwentarza żywego gospodarstwo posiadało dwie pary koni, kilka krów z buhajem i kilka świń.

Gospodarstwo zatrudniało jednego robotnika. Większość prac polowych i przy obsłudze inwentarza żywego wykonywali uczniowie w ramach dyżurów, zajęć praktycznych i praktyk pod nadzorem instruktora rolnego i nauczycieli przedmiotów zawodowych.

Kadra pedagogiczna

Jeszcze w pierwszym roku szkolnym, pierwszy dyrektor Stanisław Jurewicz został przeniesiony do Ministerstwa Rolnictwa. Obowiązki dyrektora przez pewien czas pełniła nauczycielka tej szkoły Anna Tuszowska. Prawdopodobnie na początku roku szkolnego 1947/48 dyrektorem został mianowany inż. Henryk Neyman i to on kierował szkołą już do końca jej istnienia, czyli do września 1949 r. Uczył w szkole organizacji gospodarstw. Był dobrym gospodarzem, bardzo przyjaznym młodzieży. Rozwinął gospodarstwo szkolne. Starał się poprawić warunki bytowe młodzieży, budować i rozwijać tradycje szkoły i jej rangę w środowisku, czego wyrazem było na przykład już po kilku miesiącach od objęcia stanowiska, ufundowanie sztandaru szkolnego. Spośród 5 szkół, istniejących w mieście, Gimnazjum Rolnicze pierwsze o to zadbało.

Nauczycielami pozostałych przedmiotów zawodowych byli inż. Rotkiel i do 1948r. Naworski. Anna Tuszowska uczyła ogrodnictwa, a także przedmiotów przyrodniczych (botanika, zoologia) i wprowadzonej w 1948 r. ekonomii politycznej.

Przedmiotów ścisłych (matematyka, fizyka, chemia) uczył Witold Węglowski -repatriant z Wileńszczyzny. Wcześniej był nauczycielem w szkole rolniczej w Opsy w powiecie bractawskim w województwie wileńskim. Był to bardzo dobry nauczyciel. Stawiał uczniom wysokie wymagania, ale też dużo wymagał od siebie. Był zawsze gotowy, aby pomagać młodzieży. Tadek Matyjasik napisał o nim szkolną fraszkę:

„Pan Węglowski uczy nas
co zasada, a co kwas.
A gdy „nie rozumiem” powie
Przelatuje ucznia mrowie”.

A to dlatego, że najczęściej gdy uczeń źle odpowiadał, pan profesor mówił „nie rozumiem co mi mówisz”. Jego żona prowadziła szkolny sekretariat i uczyła języka rosyjskiego.

Uczniowie z pierwszego półtora roku istnienia szkoły dobrze zapamiętali nauczyciela języka polskiego, historii i przysposobienia wojskowego, Józefa Krukowskiego (3) Każda jego lekcja była lekcją patriotyzmu, chociaż bez wielkiego patosu. Był przedwojennym ofice-



Profesor Rotkiel (w środku) w towarzystwie uczniów Mariana i Witolda Minksztyków, przy poletkach doświadczalnych z gęstością siewu zbóż.



Uczniowie, Edward Puczel (z lewej) i Witold Minksztym, podczas zajęć z przysposobienia wojskowego.

rem rezerwy w stopniu porucznika. Prowadzone przez niego zajęcia z przysposobienia wojskowego nie wiele różniły się od ćwiczeń prowadzonych w koszarach a nocne alarmy i ćwiczenie natarcia piechoty w warunkach nocnych, dawały podstawę do przypuszczeń, że przygotowuje młodzież do rzeczywistej walki o pełną suwerenność kraju.

Osobiście wydaje mi się to mało prawdopodobne. Był działaczem jedynej wówczas opozycyjnej partii - Polskiego Stronnictwa Ludowego, któremu przewodził Stanisław Mikołaj-

czyk. Z partii tej kandydował do Sejmu Ustawodawczego w 1947 roku. Tuż przed wyborami został aresztowany, a po zwolnieniu już do szkoły nie wrócił. Nie jest wiadomo, czy został zwolniony w trybie natychmiastowym, czy sam zrezygnował z pracy w szkole. Można przypuszczać, że w tamtych warunkach bardziej prawdopodobne było to pierwsze. Podobno wyjechał w rodzinne strony na Lubelszczyznę.

Później przez pewien czas przedmiotów humanistycznych uczyła wspomniana wcześniej Anna Tuszowska, a następnie do końca istnienia szkoły, Janina Neyman, zaś przysposobienie wojskowe prowadzili oficerowie z miejscowej jednostki wojskowej.

Nauka, praca, rozrywka

Plan i program nauczania szkoły oparty był na programie przedwojennego gimnazjum rolniczego i obejmował 17 przedmiotów ogólnokształcących, 10 teoretycznych przedmiotów zawodowych, zajęcia praktyczne, a w okresie wakacyjnym praktykę w gospodarstwie szkolnym, bądź w innych dobrze prowadzonych gospodarstwach. Niektóre przedmioty prowadzone były przez 3 lata, inne tylko przez 1 rok. Trzeba tu dodać, że uczniowie praktycznie nie mieli żadnych podręczników. Czasami docierały do szkoły jedynie niektóre drukowane wykłady Korespondencyjnych Kursów Rolniczych im. St. Staszica prowadzonych wówczas w SGGW w Warszawie.

Świadectwo ukończenia potwierdzało praktyczne i teoretyczne przygotowanie absolwenta do pracy w rolnictwie.

Dzień pracy ucznia był prawie całkowicie wypełniony od godziny 6:00 do godziny 19:00. Tuż po pobudce obowiązkowa była gimnastyka poranna, a także poranny apel kończący się wspólnym odśpiewaniem pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”. Po lekcjach i obiedzie zwykle w godzinach 15-17 odbywały się zajęcia praktyczne, organizowane w 4 grupach: porządkowej, rolnej, hodowlanej i ogrodniczej. Z zajęć praktycznych zwalniani byli tylko dwaj uczniowie pełniący aktualnie funkcje intendentów i magazynierów szkolnej stołówki, wybierani na te funkcje na okres miesiąca na zebraniu Spółdzielni Uczniowskiej.

Po zajęciach praktycznych obowiązywała nauka własna, czyli odrabianie zadanych lekcji w klasach szkolnych. Dopiero po kolacji był czas wolny do capstrzyku o godzinie 21:30. Capstrzyk kończył się odśpiewaniem pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Obie pieśni, poranna i wieczorna, nie były oczywiście wyrazem nadzwyczajnej pobożności młodzieży. Była to raczej kontynuacja zwyczajów przejętych z przedwojennych szkół rolniczych. Do jesieni 1948 r. uczniowie w szyku zwartym ze sztandarem chodzili też w każdą niedzielę do kościoła na mszę świętą.

Czasu wolnego więc uczniowie nie mieli za dużo, ale godzili się z tym. Taki wybrali zawód i wiedzieli, że dobry rolnik miał niewiele czasu wolnego. Niewiele ma go zresztą także dziś, mimo olbrzymiego postępu technicznego.

W sobotnie wieczory, zwłaszcza w okresie jesienno-zimowym, klasy kolejno przygotowywały wieczornice: śpiew, recytacje wierszy, inscenizacje krótkich utworów literackich, inter-

resujące pogadanki wypełniały wieczór. Od czasu gdy szkoła stała się koedukacyjna, często też (z wyjątkiem adwentu i wielkiego postu) organizowano wieczorki taneczne. W szkole nieźle działało również koło Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Nie zajmowało się wielką polityką, czy ideologią. Zajmowało się koleżeńską pomocą słabszym uczniom, zabawą, trochę sportem. Dominującą rolę spełniała też powszechna organizacja młodzieżowa Służba Polsce, do której w tamtych czasach przynależność młodzieży była obowiązkowa. Związek Młodzieży Polskiej został ogólnie zorganizowany w zimie 1949 r. Do końca trwania szkoły był raczej mało widoczny w szkole. Traktowano go jako coś formalnego. Wobec ogólnego nacisku szkoła musiała zgodzić się na istnienie związku w szkole, ale na przewodniczącego wybrany został kolega o najmniej- szym autorytecie w zespole, raczej da żartu.

W okresie wiosenno-letnim w dni wolne od pracy organizowano czasem całonocne wy- cieczki za miasto: na przykład dwoma wozami konnymi jechało się do odległej o kilkanaście kilometrów miejscowości Kulka, nad ukryte w lesie cudowne jezioro o kształcie prawie idealnego koła i o niezwykle czystej wodzie.

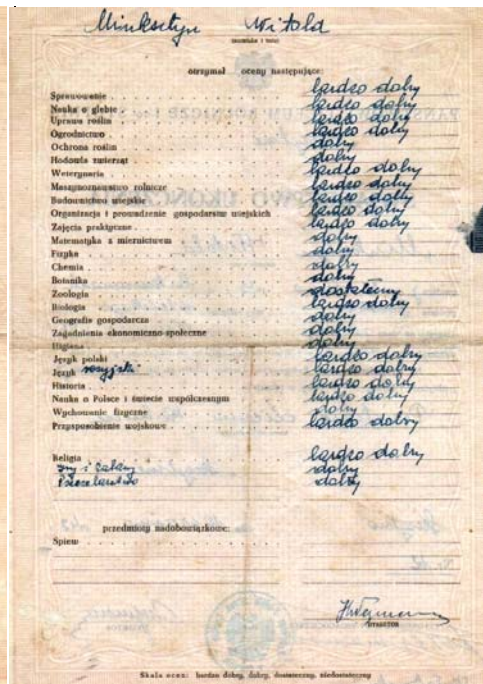
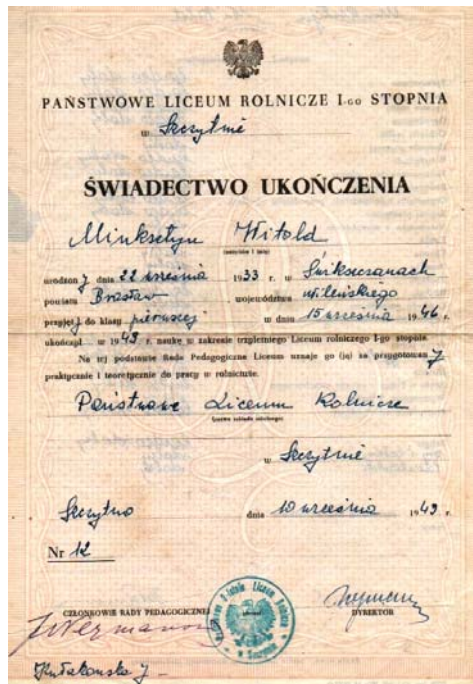
W końcu czerwca 1949 r. młodzież wesolą szkolną zabawą żegnała trzeci w historii szkoły rok szkolny. Nikt, ani uczniowie, ani pedago- dzy, nie przypuszczali, że był to również ostat- ni rok w krótkich dziejach szkoły, że od tego dnia pozostanie ona tylko w ich pamięci. Pa- mięć tę trzeba uchronić od zapomnienia, cho- ciażby dlatego, że była to pierwsza średnia pol- ska szkoła rolnicza, tworzona w trudzie i znoju powojennego krajobrazu, a ludzie, którzy z niej wyszli, swoją pracą dobrze służyli ludziom na ziemi mazurskiej i mazowieckiej, a niektórzy również na innych ziemiach naszego kraju.

Pożegnanie szkoły

15 września 1949 r. drogą od stacji kolejowej we wsi Kruszewiec w kierunku Karolewa ma- szerowała mniej więcej czterdziesto-osobowa grupa młodzieży. Na czele pochodu niesiony był sztandar z wyhaftowanym godłem Polski i napisem „Państwowe Gimnazjum Rolnicze w Szczytnie”. Na drugiej stronie sztandaru wi- doczny był wizerunek Czesłochowskiej Ma- donny. Było to swego rodzaju spontaniczne, wcześniej nie planowane i z nikim nie uzgad- niane pożegnanie ze szkołą. Uczestnicy tej przypadkowej manifestacji łudzili się jeszcze nadzieją, że zapoczątkowana przed trzema laty tradycja ich szkoły będzie kontynuowana. Już następnego dnia przekonali się, że jest to nie-



Jedni z pierwszych absolwentów: Franciszek Kurowski (1927 -2013) oraz Ludwik Brzeziński.



Świadectwo ukończenia Liceum Rolniczego I stopnia (dawne Gimnazjum w Szczytnie).

możliwe chociażby dlatego, że nastąpiło wtedy połączenie czterech szkół z różnych miast Warmii i Mazur, piąta istniała od dwóch lat na miejscu w Karolewie. Każda z połączonych w duży zespół szkół miała swój dorobek, żadna więc nie mogła dominować.

Pożegnanie szkolnego sztandaru

Symbol honoru i godności szkoły - sztandar - wystąpił publicznie jeszcze tylko raz. W paź- dziernikowe niedzielne popołudnie 1949 r. pod tym sztandarem wszyscy uczniowie nowo po- wstałego karolewskiego Zespołu Liceów Rol- niczych uczestniczyli w poświęceniu i pierw- szej mszy świętej odprawionej w karolewskim kościele. Była to wcześniej przez pół wieku świątynia protestancka. Od tego nabożeństwa stała się świątynią katolicką. Po mszy poczet przekazał sztandar dyrektorowi H. Neymano- wi.

Historia zatoczyła koło. Przed niespełna dwoma laty to dyrektor Neyman na schodach szkolnej kaplicy w Szczytnie wręczał uczniom uroczyste poświęcony sztandar. Teraz uczniowie uznali, że w warunkach narastającej ateizacji tylko dyrektor może godnie zaopie- kować się tym ważnym symbolem. Widziałem go 9 lat później, w 1958 r. na honorowym miejscu w mieszkaniu państwa Neymanów, których przypadkowo odwiedziłem w Brwi- nowie. Nie wiadomo niestety, jakie były jego dalsze losy. Jedno jest pewne: że do końca ży- cia dyrektora i jego małżonki, był w dobrych rękach. Mam nadzieję, że później także był pod dobrą opieką. Dzisiaj, gdyby się odnalazł, byłby bardzo cennym ważnym eksponatem w sali tradycji Zespołu Szkół Rolniczych w Ka- rolewie.

Od autora

Nie odnaleziono dotychczas żadnych mate- rialów archiwalnych, związanych z opisywaną wyżej Szkołą. Byłem tam uczniem w klasie II w roku szkolnym 1948/49 i powyższy tekst oparłem na własnej pamięci oraz pamięci mo- ich przyjaciół: Ludwika Brzezińskiego z Ma- kowa Mazowieckiego, Ryszarda Kurowskiego z Ostrołęki i Witolda Minksztyma z Brwinowa. Byli oni tam dłużej, a dwu z nich jest jej ab- solwentami. Telefonicznie kilkakrotnie zasię- gałem u nich „języka” i za przekazane mi in- formacje serdecznie im dziękuję.

Wiele istotnych szczegółów jak na przykład imion niektórych osób nie udało się nam nie- stety odtworzyć. Być może po opublikowaniu tego tekstu odezwą się jeszcze inni absolwenci tej szkoły i uda się zebrać na jej temat więcej informacji. W tym celu podaję kontakt e- mailowy, na który można przekazywać infor- mację:

redakcja@lidzbark-rolnicza.pl

Warto też dodać, że dziejami tej szkoły zain- teresowana jest również badająca od wielu lat historię polskiego szkolnictwa rolniczego pani prof. dr Alicja Kicowska. Przekazane ewentu- alne informacje mogą również posłużyć do na- ukowego opracowania i upamiętnienia tego, co związane było z czasami naszej młodości.

Bibliografia:

1. Fragment Wspomnień Ludwika z rodu Brze- zińskich. Lata 1928-2012 Krasnosielcki Ze- szyt Historyczny Nr 13-14 2013
2. Alicja Daniela Kicowska. Średnie szkolnic- two rolnicze na Warmii i Mazurach w latach 1945-1975 Olsztyn 1986
3. Alicja Daniela Kicowska. Szkoła rolnicza w Polsce w latach 1944-1989. ART Olsztyn 1998



Jan Dudek - historia życia

Sławomir RUTKOWSKI

Jan Dudek – bohater niniejszej opowieści urodził się 16 września 1916 roku na Kaleni, jak zwyczajowo miejscowi nazywają północną część Drążdżewa, w rodzinie chłopskiej Stanisława i Heleny, z domu Butler - Dudków.

Drewniany dom w którym przyszedł na świat już od półwiecza nie istnieje, został zastąpiony nowym, murowanym, postawionym w roku 1974 przez Antoniego i Zofię Dudków – bratanka naszego bohatera i jego żonę. W pamięci żyjących członków rodziny pozostała informacja, że Helena będąc brzemienną z Janem, przynosiła jedzenie budowniczym domu, w którym on kilka miesięcy później się urodził. Sam dom stanął na świeżo kupionej parceli odkupionej przez Dudków od niejakiego Skórki, a było to do niedawna jeszcze, przedostatnie domostwo Drążdżewa po wschodniej stronie drogi prowadzącej na Jednorożec¹.

Sami Butlerzy mieszkali wcześniej w tzw. Koszarach – działce przylegającej bezpośrednio do terenu, na którym po II wojnie światowej powstało Kółko Rolnicze w Drążdżewie – obecnie mieszka tam Jan Dudek syn Bolesława. Warto tu dodać, że Helena Butler była córką Adama Butlera – jednoroziaka z urodzenia, drążdżewiaka z zamieszkania, wymienianego z nazwiska wśród kilku pomagających powstańcom styczniowym podczas bitwy na Polskiej Kępie w roku 1863. Jego grób znajduje się na cmentarzu drążdżewskim (o czym wielokrotnie wspominał Tadeusz Kruk w *Więściach* i *Krasnosielskich Zeszytach Historycznych*).

Stanisław Dudek /na zdjęciu poniżej/ – pierworodny syn Jana, tak opowiada o losach wojennych ojca:



– Ojciec we wrześniu 1939 roku służył w wojsku polskim, a dokładnie w wojskach ochrony pogranicza we wschodniej części kraju, bo jak ruskie wkroczyli 17 września 1939 r. to dostał się do ich niewoli.

W niewoli sowieckiej dość szybko oddzielono polskich oficerów od żołnierzy niższej szarży. Ponieważ jednak żołnierze idąc do niewoli w obawie przed represjami przeważnie zdejmowali oznaki stopni, to sowieci, do ich oddzielenia zastosowali następujący sposób: ustawili wszystkich w szereg i kazali pokazać ręce; tych ze spracowanymi dłońmi uznawali za nie oficerów. Ojciec wiadomo – ręce miał sterane, zatem dość szybko Ruscy przekazali go Niemcom². Pozostałych w rękach Sowietów – polskich oficerów, spotkał straszny los w Katiu i innych podobnych obozach.



Jan Dudek, lata 50-te XX wieku.

Ojciec w niewoli niemieckiej, chociaż był żołnierzem to z jakichś powodów został wysłany na roboty przymusowe do Niemiec, a dokładniej do Nadrenii. Tym sposobem znalazł się w gospodarstwie rolnym Joachima Berga – młodego Niemca o przekonaniach antyhitlerowskich, służącego w wojsku niemieckim w stopniu oficerskim.



Jan Dudek i Joachim Berg. Fot. z okresu okupacji hitlerowskiej wykonane w Nadrenii.

kim w stopniu oficerskim.

Ojciec zawsze bardzo dobrze wypowiadał się o tym Niemcu, jego żonie i dwójce ich dzieci. Mówił, że szanowali go, i choć ciężko u nich pracował to traktowany był po ludzku, a nawet przyjacielsku. Dość powiedzieć, że jak amerykańanie go wyzwolili po 5 latach, to Joachim Berg zaproponował mu by został u nich, mówiąc że źle miał nie będzie.



Panny z Kujaw: trzecia z lewej Regina Kęszyk ur. w 1925 r. – przyszła żona Jana Dudka, druga z lewej to najprawdop. Władysława Rozicka, wyszła za Gorącego - wyjechali do Szczecina. Pozostałe to najprawdop. panny Rozickie. Fot. wykonane w latach 40-tych XX w.



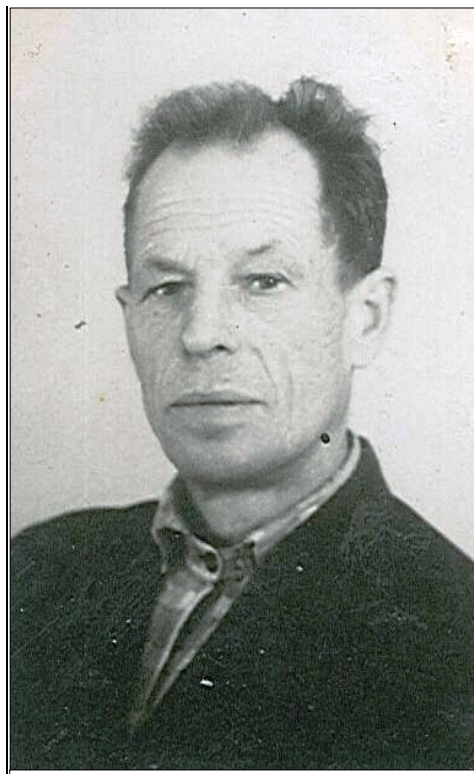
Jan Dudek w Marsylii, Francja. Fot. z 1945 lub 1946 r.

Bauer³ ten miał dość duże gospodarstwo rolne i ojciec wszystko w nim wykonywał, a że z gospodarstwa pochodził, to na wszystkim się znał. Obchodził i doił 10 krów, uprawiał ziemię, no i wykonywał wszystko co w takim gospodarstwie trzeba było robić. Ojciec raczej nie był gadatliwy i nie opowiadał za dużo o tym co przeszedł, czasem tylko przy jakiejś okazji przywołującej wspomnienia coś opowiadał. Kiedyś, gdy jechałem z nim wozem wzdłuż Orzyca na łąki, powiedział że jak wioził u Berga taki wóz siana wzdłuż brzegu pobliskiej rzeki, ale z dużo wyższą skarpą niż tu, to wóz się wywrócił i wpadł do rzeki. Innym razem wspomniiał też, że żona Berga chwaliła się swoim sąsiadkom - Niemkom, że ma najładniejszy w całej wsi warzywniak i ogródek, a wszystko to za sprawą Joana – jak mawiali tam na Ojca, który wszystko z niezwykłą sta-



Jan Dudek. Fot. 1948 rok.

rannością piele i uprawia. Kiedyś wspomniiał jak Berg mu powiedział, że choć bicie świń jest surowo zakazane, to oni będą je na własne potrzeby w tajemnicy przed władzami razem bili po nocach, i że Ojcu zaufa, - „a jak byś mnie zdradził to kula w łeb i ja, i ty”. A świń tych nie bili jak to u nas jeszcze do niedawna bywało - czyli ogłuszając obuchem siekiery, bo by mogły w czasie szlachtowania kwiczeć, tylko skręcali im łby, żeby wszystko po cichu załatwić. Mówił, że wtedy już w gospodarstwach niemieckich tam mieli mechaniczną snopowiązałkę i kosiarkę na konie. Doglądał też maciory na wyproszeniu, Joachim dał mu paczkę cygarretów i czekoladę, i zaufał przy pilnowaniu jej



Jan Dudek. Fot. 1972 rok.

proszenia się, co było dowodem zaufania do jego wiedzy i staranności.

Sam Joachim Berg jakiś czas był na froncie, ale później wrócił i razem już pracowali, chyba został ranny. Z ojcem był też jakiś Francuz, ale ojciec o nim nic nie mówił. W okolicznych gospodarstwach byli też inni Polacy, ale mieli gorzej niż mój ojciec. Niektórzy z nich byli bardzo źle traktowani przez tych niemieckich gospodarzy, tak że często chodzili głodni i byli pomiatani jak podludzie. Ojciec nie raz dawał im chleb, inne jedzenie albo papierosy.



Stoją od lewej: Regina Kęszczyk i Tadeusz Ptak.
Fot. Najprawdopodobniej sprzed II wojny światowej.



Po prawej: Regina Kęszczyk, poniżej prawodop. Otylia Wójcik (ur. 1928) później Topa.



Regina Kęszczyk – siedzi po prawej. Siedząca po lewej to Apolonia Król, zmarła w USA.

Niewola skończyła się wkroczeniem wojsk amerykańskich do Nadrenii. Każdy z oswobodzonych miał prawo wyboru, czy chce wracać do kraju, czy jechać w świat. Rodak z Drążdżewa, który służył u bauera niedaleko wybrał wyjazd do Ameryki, a mój ojciec parę miesięcy był we Francji, w rejonie Marsylii, a potem zdecydował się wrócić do rodzinnej wsi. W samej Marsylii otrzymali ubranie podobne do mundurów, a pracą, którą wykonywał było nadzorowanie jakichś pracowników.

Wysłał list do domu i zimą z 1945/46 r. wrócił pociągiem do Jastrząbki, gdzie wyjechał po niego jego starszy brat Józef /możliwe, że było to o rok później/. Syn Józefa – Antoni opowiada, iż dobrze że ojciec zabrał zapasowy kożuch, bo Jan wrócił ubrany jak letnik z tej Francji i zamarłby na naszym mrozie.

Słów kilka o rodzinie Jana Dudka, otóż miał dwóch starszych braci: Franciszka i Józefa oraz młodszą o 4 lata siostrę Józefę, na którą wszyscy wołali Stanisławą.

Z Józefą Stanisławą wiąże się opowieść i nieszczęśliwa śmierć Henryka Bąbały, z czasów okupacji hitlerowskiej. Sam Bąbała uciekł z okupowanej Warszawy wraz ze swoją matką z domu Skowrońska, pochodzącą z Drążdżewa-Kaleni oraz całą rodziną, wszyscy zostali przyjęci przez szwagra matki - Józefa Nowińskiego wraz z rodziną. Sama posesja Nowińskich leżała ledwie 200 metrów od domostwa 24-letniej podówczas Józefy Stanisławowej. Henryk wzięty na roboty przymusowe do Prus – uciekł, podobno dwukrotnie. Żandarmi mieli powiedzieć, że raz mu darowali, ale drugi już nie darują. Był więc usilnie przez nich poszukiwany.

Ukrywał się w Kaleni, a to na polach, łąkach czy zaroślach, miał też sprytną kryjówkę w stodole. Henryk podkochał się właśnie w Józefie i często wieczorami do jej domu przychodził. Czasami schodzili się też sąsiedzi w długie jesienne i zimowe wieczory, rozmawiano przy świeczce i szczelnie zasłoniętych



Jan Dudek z żoną Reginą i drugim synem - Januszem. Fot. z 1969 r.

oknach, grano w karty. Razu pewnego żandarmi przyszli do Dudków szukając Bąbały – przyszli w dzień, z psem, znienacka – trzeba dodać tutaj, że okupanci niemieccy kazali zabić wszystkie psy w wioskach, pewnie by nie ostrzegały mieszkańców przed obcymi². Matka Stanisławy - Helena przytomnie otworzyła okno, i Bąbała uciekł przez nie do lasu, gdzie żandarmi już go nie gonili.

Innym razem znów żandarmi wieczorem zapukali do drzwi, tym razem nie było już czasu na ucieczkę, schował się więc w piwniczce pod chałupą. Żandarmi weszli, przeszukali i nie znaleźli go, gdy wyszli i byli za drzwiami podobno ktoś z obecnych nazbyt głośno powiedział „już poszli” i to dało powód do powtórniego, już dokładniejszego przeszukania. Tym razem odnaleziono nieszczęśnika i zaprowadzono na posterunek żandarmów w Drążdżewie, znajdujący się w stojącym do dziś drewnianym domu Chrzanowskich przy rondzie pod wyniosłym jesionem. Tam był przetrzymywany kilka dni i przesłuchiwany, matka donosiła

mu obiady. Któregoś dnia został zastrzelony przez komendanta posterunku zwanego Joanem. Podobno gdy matka Bąbały spytała tegoż dlaczego go zabił, ten miał odpowiedzieć, że jak codziennie, więziony wynosił kubek z nieczystościami po nocy /jako że łazienek wtedy nie było/ by wylać je do rzeki, to zaczął uciekać – więc strzeliłem do niego i dlatego zginął. (O losach H. Bąbały pisze Tadeusz Kruk w *Wieściach znad Orzyca* nr 6(74) z czerwca 2013 roku, s. 17).

Stanisław Dudek dalej opowiada historię swojego ojca:

- Bieda wtedy była w Polsce, tzn. po wojnie. Ojciec jak wrócił z tej niewoli to najął się do pracy koło Karniewa, najpierw na tartaku, a potem przy krowach w Spółdzielni Produkcyjnej w Karniewie. Tam głównie je doił i obchodził, mówiło się wtedy na takich ludzi „szwajcarzy”. Razu pewnego zaszarżował na niego wielki byk i gdyby nie jego pies Burek, mógłby zginąć. Potem robił na stacjach kolejowych przy przeładunku towarów.



Genowefa Kęszczyk z Kujaw – siostra Reginy, ze Stanisławem Rykowskim – Gajowym z Karolewa. Fot. sprzed 1939 r.



Asysta obrazu świętego przed drewnianym kościołem w Drążdżewie. Pierwsza z lewej od góry to Regina Kęszczyk, późniejsza żona Jana Dudka. Fot. sprzed II wojny światowej.



Jan Dudek z kolegą na tle drewnianego domu. Fot. lata 50-te XX wieku.



Czesław Kęszczyk – ojciec Reginy,
ur. w 1897 r. zmarł 1 stycznia 1950 r.



Czesław Kęszczyk, uczestnik
kampanii 1920 roku.

W 1952 roku, mając 36 lat ożenił się u Kęszczyków na Kujawach, jego żoną została Regina wówczas 27 letnia dziewczyna. Tam w drewnianym domu teściów Jana, w styczniu 1954 roku urodził się jego pierworodny – Stanisław, zapewne na cześć dziadka – potem urodziło im się jeszcze dwóch synów: Janusz i Mieczysław. Posesja ta dziś nie

istnieje, budynki zostały rozebrane. Znajduje się na przeciwko gospodarstwa Dziombów, pomiędzy Kowalewskimi i Czarneckimi. Cztery lata później - w roku 1956, sprowadził żonę z synem do rodzinnego domu. Tam w chałupie dwuizbowej mieszkały 3 rodziny; w dużej izbie brat Józef z rodziną, a w drugiej, mniejszej izbie pozostałe dwie rodziny tj. 6 osób. Ciasnota nawet jak na tamte czasy była niemała.

W 1960 roku Jan na działce obok postawił drewniany dom, do którego się przeprowadził. Jednocześnie też siostra Stanisława z mężem Bolesławem Rakowskim wybudowali obok kolejny drewniany dom dla siebie. Stawiał go Kurowski Piotr z Gościńca. Nie sądzony jednak był zbyt długi żywot tego budynku, bo już w roku 1984 syn Jana – Stanisław z żoną Danutą z d. Sito /dziewczyna z Kujaw/, wybudo-



Siostry Płuciennikówny, od lewej: Władysława wyszła za Króla, Julianna wyszła za Kęszczyka – matka Reginy, Marianna wyszła za Wywigacza.

wali na jego miejscu murowany, piętrowy dom, w którym obecnie mieszkają z synem Tomkiem jego żoną Sylwią z domu Płuciennik i dwoma synami.

- Ojciec jak zakończył pracę w Karniewie to zaczął pracować na stacji kolejowej w Wielbarku. Wstawał w nocy z niedzieli na poniedziałek i na pieszo chodził 15 km na stację do Parciak, albo czasami Jastrząbki. Zimą było prawie dwa razy krócej, bo szedł na skróty – z domu nad Orzyc, dalej na Polską Kępę i przez zamrzniętą rzekę do Parciak. Cały tydzień pracy w Wielbarku i powrót w sobotę wieczorem ... i tak tydzień w tydzień, rok w rok.

Książeczka pracy mówi o zatrudnieniu od 1 września 1952 roku w charakterze „wyrzyna-cza, ładowacza drewna” w Zakładzie Przetwórstwa Węgla w Wielbarku. Jego praca polegała głównie na ładowaniu drewna na wagony



Jan Dudek, w okresie prac w melioracji.
Fot. Lata 70-te XX w.

i rozładowywaniu z nich różnych, przywożonych towarów. Często pracowano do późna, by Zakład nie płacił wysokiej tzw. opłaty osiowej za przestój wagonów. Przy przeładunku pracował do połowy marca 1967 roku.

Od 15 czerwca 1967 r. pracował meliorując i utrzymując należyty stan urządzeń melioracyjnych w rejonie Przasnysza i Dąrdziewa. Formalnie od 1967 r. zatrudniony był w Rejonowym Przedsiębiorstwie Melioracyjnym w Przasnyszu, potem od września 1978 r. w Rejonowym Związku Spółek Wodnych w Przasnyszu i wreszcie od 4 lutego 1980 r. w Rejonowym Przedsiębiorstwie Melioracyjnym w Ostrołęce, gdzie pracował aż do przej-



Zdjęcie rodziny Dudków w dniu I komunii św. Joanny Dudek – córki Antoniego, od lewej: Bolesław Rakowski, Zofia Dudek z domu Gajek – żona Antoniego, z synem Mirosławem na rękach, Jan Dudek, poniżej Janusz Dudek, Józefa Stanisława Rakowska z d. Dudek, poniżej Cezary Dudek, Danuta Dudek z d. Sito, obok Stanisław Dudek – jej mąż a syn Jana, poniżej Regina Dudek z d. Kęszczyk, poniżej Joanna Dudek, Antoni Dudek – bratanek Jana i Małgorzata Dudek. Fot. Na posesji Dudków, 1977 rok.



Regina Dudek z d. Kęszczyk, Fot. 1985 r.

ścia na emeryturę w marcu 1981 roku, mając ukończone 65 lat. Razem więc przepracował zawodowo 41 lata tj.: 6 lat u „Niemca” i na obczyźnie oraz 35 w PRL, z czego 15 przy przeładunku towarów i 14 w melioracji.

Po przejściu na emeryturę dalej dorabiał jeszcze w melioracji, konserwując rowy w naszej okolicy – wspomina dalej Stanisław Dudek. Był bardzo solidnym pracownikiem. Kierownik Spółki Wodnej w Krasnosielcu – Chrzanowski, gdy przydzielał pracownikom odcinki rowów do oczyszczenia, odmulenia i wykarczowania, na te najgorsze, gdzie najwięcej korzeni i najbardziej zaniedbane wysyłał Jana, mówiąc – „Dudek, idź tam a tam” i ... Dudek szedł, robotę zawsze wykonał wzorowo. Chrzanowski z reguły też jakoś w wypłacie mu to odwzajemniał, choć niby wszystkim płacono od oczyszczonego metra bieżącego rowu. Wszyscy, kogo bym nie spytał mówią o nim – „lubił solidnie pracować”.

- ojciec ciężko i dokładnie pracował. Dużo palił papierosów. Wtedy moda była na palenie, a kupić można było albo *Popularne* albo *Klubowe* z filtrem. Ojciec palił te pierwsze, jak potem kupowaliśmy mu te droższe z filtrem to filtry odlamywał twierdząc, że papierosy palone przez filtr są za słabe.

Jan Dudek zmarł w roku 2000, pochowany został na cmentarzu w Drażdzewie.

*Dzieje Jana Dudka
i pokrótce jego rodziny spisał
Sławomir Rutkowski*

¹ - do końca lat 80-tych ubiegłego wieku ostatnią zabudowaną posesją Drażdzewa po wschodniej stronie drogi prowadzącej do Jednorozca, były zabudowania stojące przy rozwidleniu z dróżką prowadzącą na Posilenie, jak miejscowi nazywają najbliższą część Drażdzewa Nowego. W roku minionym znów po 30 latach przerwy w miejscu tym wybudowano nowy dom mieszkalny – historia zatacza koło.

² - jak podaje Wikipedia: Na mocy porozu-



Julianna Kęszczyk z d. Płuciennik – matka Reginy.

mienia zaproponowanego przez Ławrientija Berię - Sowieckiego komisarza bezpieczeństwa państwowego I rangi i ludowego komisarza spraw wewnętrznych, uzgodnionego w dniu 11 października 1939 r. z władzami III Rzeszy, przekazano stronie niemieckiej ponad 42 tysiące polskich jeńców, których miejsce zamiesz-



Pogrzeb Bolesława Rakowskiego. Fot. luty 1979 r. podczas tzw. zimy stulecia.



Halina Wróblewska i Regina Dudek.
Fot. 1980 r.

kania znajdowało się na terenach Rzeczypospolitej zagrabionych przez Rzeszę Niemiecką. Jednocześnie Niemcy przekazali stronie sowieckiej - swojemu ówczesnemu sojusznikowi, prawi 14 tys jeńców na zasadzie wzajemności. Wymiany dokonano pomiędzy 24 października i 23 listopada tegoż roku.

³ - bauer po niemiecku rolnik

⁴ - zarządzenie o wybicju zwierząt domowych w okupowanej Polsce: psów, gołębi ...



Stanisław Dudek w czasie przepustek podczas odbywania służby wojskowej 1974/5.

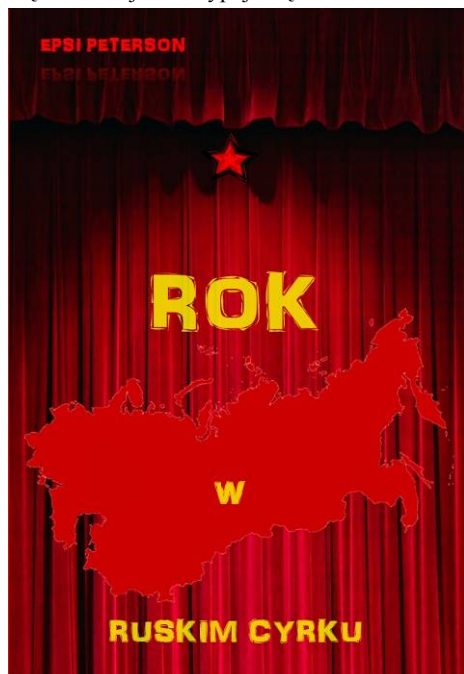


Rok w ruskim cyrku

Epsi PETERSON

Od Redaktora Wydania

Jest rok 1990. Ledwie minęło kilka miesięcy od upadku w Polsce komunizmu. Ruscy, Rosjanie, Sowietci ... przestali budzić u nas strach. Ich władza nad nami odeszła, jeszcze wprawdzie ich wojska stacjonują u nas, ale siły i woli wojowania w nich nie ma już. Imperium zła – według jednych lub Święta, Wielka, niezwykczona Rasia – rozsypuje się.



W Polsce dalej mamy kryzys ekonomiczny, pensje śmiesznie niskie, ale jest nadzieja, że będzie lepiej - musi przecież być lepiej, bo w końcu żyjemy już w wolnym kraju. Władza przestała przeszkadzać zwykłym obywatelom w zarabianiu pieniędzy na własną rękę ...

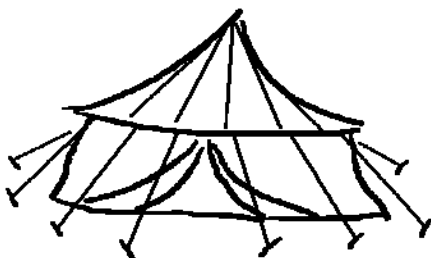
Jednym z takich Polaków jest autor niniejszego tekstu. Rezygnuje on z ciepłej posady na rzecz ryzykownej, ale dającej nadzieję dobrego zysku, wielomiesięcznej pracy w głębi tego raczej nieulubianego imperium. Spotyka się z obcą kulturą i ludźmi żyjącymi w innym, egzotycznym dla Europejczyka świecie. Czy rzeczywiście spotka się tam z wrogością, co go zaskoczy pozytywnie, a co wzbudzi strach, jak ułożą mu się relacje ze zwykłymi obywatelami tego niezmierzonego kraju? ...

Pytać tak można w nieskończoność, a odpowiedzi szukać jedynie w zdaniach i szkicach nakreślonych - również ręką tegoż, pragnącego zachować póki co anonimowość Autora – do czego Państwa niezmiernie zachęcam.

Sławomir Rutkowski

Rok w ruskim cyrku

Cyrk. Co o nim wiesz? Niegdyś fascynujący i tajemniczy świat wyjątkowej rozrywki. Obecnie, raczej cień dawnej świetności wysublimowanej sztuki. Czy dziś w dobie powszechnej telewizji i Internetu, ktokolwiek jeszcze chodzi do cyrku? Zapewne tak. Jednak



co tam można takiego zobaczyć, czego nie puszczali już na Discovery czy nie zamieszczono na YouTube? Żyją sztukę? Mamy to przecież w teatrze, a i to interesuje niewielu. Żywe zwierzęta? To natomiast mamy w Zoo lecz mimo to rzadko tam bywamy. Ile razy bowiem, można zachwycić się słoniem czy małpą? Szczególnie kiedy jest ona w klatce. Człowiek dzisiejszego świata znacznie mniej jest zainteresowany tym co mógłby w cyrku zobaczyć, nawet jeśli nigdy tam nie był. Bo kogo zachwycą akrobacje czy inne pokazy, jeśli ma je na co dzień w postaci programów takich jak „Mam talent”. W dodatku pojadając chipsy popijane piwem w każdej chwili można sobie zmienić kanał jeśli już się znudzi. A przy tym nie trzeba ruszać się z wygodnego fotela, ani wydawać żadnych dodatkowych pieniędzy. Czy w związku z tym można powiedzieć, że cyrk znika z naszego życia? Sądząc po liczbie działających cyrków w kraju raczej nie. Jest ich obecnie aż kilkanaście. Oczywiście są wśród nich większe i mniejsze, dobre i słabe. Nie są to te same cyrki, jakie znali nasi ojcowie, ale jedno je łączy i nie da się tego w żaden sposób skopiować ani doświadczyć nigdzie indziej. Jest to wyjątkowa i niepowtarzalna cyrkowa atmosfera. Zapach popcornu wymieszany z zapachem trocin, którymi wysypywany jest maneż. Charakterystyczna muzyka, kolorowe światła, zwierzęta i kostiumy artystów. A to wszystko pod ogromnym namiotem otoczonym cyrkowymi wozami. Do tego ludzie od, których dzieli nas jakaś niewidzialna granica. Niby zwyczajni a jednak całkiem inni. Czyli pewnego rodzaju surowość i namacalny realizm oraz prawdziwość formy w jakiej zawiera się cała ta cyrkowa rzeczywistość. Do niej zalicza się także niezwykle cyrkowe życie, niegdyś owiane niemal legendą. Jeśli do tego dodamy inną le-

gendę jaką niewątpliwie jest dawny ZSRR to otrzymamy niezwykle i niepowtarzalny, a dziś już zaginiony świat. Ktoś kto zechce się weń zagłębić ujrzy niecodzienny i zaskakujący obraz, którego mogli doświadczyć tylko nieliczni. Czy taka historia kogokolwiek zainteresuje? Sprawdź, bo może się okazać, że zainteresuje właśnie Ciebie.

W tamtym czasie w Polsce funkcjonowało wiele państwowych cyrków. Jednak wśród nich jedno się różniło od pozostałych. I nie chodziło o wyjątkowy program, który w każdym cyrku zmieniał się co sezon. Wtedy zresztą wszystkie cyrki utrzymywały dość wysoki poziom artystyczny. Oczywiście różnice wynikające z rozmiarów namiotu czy kolorystyki taboru nie były przecież niczym wyjątkowym. Było jednak coś, o czym zwykły cyrkowy widz nie miał pojęcia. Nie miało to zresztą żadnego wpływu na to co oglądał podczas występów. Szeptano o tym jedynie po cichu na cyrkowej bazie. Lecz oficjalnie nie się na ten temat nie mówiło. Było to coś co niewątpliwie mogło mieć wpływ na życie pracujących w nim ludzi. Nie od dziś wiadomo, że w społeczności cyrkowej podobnie jak w filmie, teatrze czy telewizji nie brak osób o odmiennych preferencjach seksualnych. I ten fakt specjalnie nikogo by nie dziwił wszak środowisko artystów było z tego znane od wieków. Jednak tu problem, jeśli można tak powiedzieć był bardziej powszechny. Chodzi o to, że w tym właśnie cyrku według obiegowej opinii takich osób było znacznie więcej niż gdzie indziej. I dotyczyło to nie tylko artystów. Mówiło się nawet „cyrk pedałów”. Prawdopodobnie działało się tak dlatego, że powszechnie uważano, iż takie preferencje przejawiał jego dyrektor. Elegancki i zadbany, niewysoki kawaler po 50-tce. Zawsze z nienaganną szpakowatą fryzurą, starannie ogolony w wyprasowanej koszuli. A trzeba pamiętać, że czasy te były całkiem inne niż teraz. Bowiem na początku lat 90-tych ubiegłego stulecia nie było marszów równości, transwestytów czy tęczy na Pl. Zbawiciela w Warszawie. Dziś wydaje nam się to całkiem normalne kiedy ktoś oficjalnie przyznaje się przed kamerami, że jest homoseksualistą. A są nawet tacy, którzy się tym chwalą. Czy to nas dziwi lub gorszy? W dzisiejszych czasach już raczej nie. Ale wtedy było to tabu nieakceptowane przez zdecydowaną większość społeczeństwa i tępięne przez kościół. W takim właśnie cyrku przyszło pracować bohaterowi tej opowieści, który podobnie jak większość miał te same uprzedzenia i podobne nastawienie do tego zjawiska. Trzeba więc przyznać, że perspektywa wielu miesięcy pracy w tak specyficznym

środowisku mogła rodzić obawy czy wręcz przerażać. Jednak z upływem czasu nasz bohater zaakceptował fakt, że wśród załogi są też tacy, którzy sprawy dla niego oczywiste postrzegają dość osobliwie i nieco inaczej. Okazało się nawet, że jedni i drudzy mogą bez problemu razem funkcjonować nie wchodząc sobie w drogę. Tym samym pewne stereotypy przestały mieć znaczenie a rzeczywistość okazała się być z goła inną niż się powszechnie uważało. A w natłoku codziennych spraw, obowiązków, zdarzeń i sytuacji nie było nawet czasu aby się nad tym specjalnie zastanawiać. Mijały więc kolejne dni sezonu a młody człowiek rzucony w wir tego cyrkowego świata został przezeń wciągnięty bez reszty. Z czasem jednak zatęsknił za rodziną i normalnym życiem.

Jeszcze dwa miesiące temu nawet o tym nie myślał. Nie było czasu na takie rozterki. Ale teraz kiedy nagle jeden z kierowców nie wytrzymał i po prostu chce dać nogę, tęsknota za domem mogła stać się całkiem realnym uczuciem. Okazało się bowiem, że Rysiek chce wrócić do kraju. Jednak wcale nie dlatego, że nie poradził sobie fizycznie, ten na oko, trzydziestoletni dobrze zbudowany i rosy mężczyzna o kręconych włosach i jasnym spojrzeniu. Widać było, że na co dzień ciężka praca nie robi na nim takiego wrażenia jak na innych. To psychika wzięła górę. Siła czy wytrzymałość nie zawsze, a może nawet rzadko kiedy, idzie w parze z odpornością psychiczną. Rozstanie z rodziną, zbliżająca się Wielkanoc i świadomość dzielącej go odległości od domu była widocznie ponad jego siły. Kiedy o tym mówił chcąc zapewne jakoś się usprawiedliwić, nie potrafił ukryć łez. Widocznych, mimo dość późnej pory.

– Panie kierowniku... Pan odsprzeda mi tę maszynę – proszę – proszę. Nic jeszcze nie kupiłem, a chciałbym zrobić prezent żonie.

W tych kilku słowach kiedy opowiadał o rodzinie, można było wyczuć, że ona i dzieci bardzo wiele dla niego znaczą. Tak wiele, że wstyd z powodu paru łez nie był dla niego w tej chwili w ogóle istotny. A przecież właśnie rozmawiał bądź co bądź z przełożonym w poważnej sprawie dotyczącej powrotu do Polski. Bez jego bowiem poparcia nie byłoby to w ogóle możliwe. Owszem być może mógłby uciec jak to robią w innych cyrkach w Europie. Ale jak uciec w Azji? Tak wiele tysięcy kilometrów od kraju. Bez paszportu? Bez znajomości języka? Nie... to nie wchodziło w grę. I jeśli nawet przez ten krótki czas nie zdążył jeszcze obdarzyć przełożonego zbyt wielkim szacunkiem czy zaufaniem, to teraz stał przed nim niemal jak dziecko, bezbronny, bezradny mimo, że wyższy o głowę i starszy o dobre kilka lat. Skazany na jego decyzję, od której wszystko teraz zależy.

Kierownik dotychczas nie musiał prowadzić takich rozmów. To pierwszy przypadek w tym sezonie i to już po 2 miesiącach od wyjazdu. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru stwarzać jakichkolwiek problemów człowiekowi, który uczciwie stawiał sprawę. I chyba darzył go nawet sympatią, więc tym bardziej chciał pomóc. Zresztą od zawsze miał jakiś dar do prawidłowej oceny ludzi. A tego człowieka od pierwszych dni oceniał pozytywnie. Nie każdy bowiem jest taki jakim się wydaje na początku



Warszawa - Chirchik – 4500 km.

znajomości. I tak właśnie, zdarza się przecież



Kazachskie stroje.

dość często. Ale Rysiek nigdy nie wzbudzał w nim żadnych negatywnych odczuć czy emocji. Jego szczere i jasne wyznanie zasługiwało nawet na pewien szacunek. Dlatego kierownik ze zrozumieniem wysłuchał a potem odparł:

– Oczywiście... nie ma sprawy, rozumiem... A co do maszyny, to ja sobie jeszcze przecież kupię nie jedną - dodał.

Uśmiechając się klepnął Ryśka w przyjacielskim geście po ramieniu, chcąc w ten sposób trochę rozładować napięcie tej niecodziennej sytuacji. I z tą chwilą jasne oczy Ryśka rozbleśły nowym blaskiem. Wyjął z kieszeni przygotowane pieniądze i już po chwili wracał ucieszony do swojej działki¹, niosąc nowiutką maszynę do szycia w brązowej walizce. W dodatku miał już z głowy trudną rozmowę i bez stresu mógł snuć plany na powrót - na przyszłość.

Kierownik odprowadził go wzrokiem, kiedy tak szedł przez środek placu mijając równo ustawione traktory, samochody i cyrkowe wozy. Była piękna noc choć jeszcze nadal chłodna. Niebo rozsiane gwiazdami tak jak chyba nigdzie indziej. A w dodatku wszędzie było czuć to niewiarygodnie czyste i świeże powietrze. To wszystko sprawiało, że był zadowolony, ale też czuł się jakoś dziwnie. Szczególnie po tej rozmowie. Dotarło chyba do niego, że mimo wszystko jest tutaj też czas na rozmyślanie o rodzinie, o domu, o kraju. Jest czas i miejsce na tęsknotę za bliskimi. Czyli na to czego od wyjazdu sam jeszcze nie doświadczy-

ł. Mimo, że nie raz myślał o przeszłości pozostawionej gdzieś tam tysiące kilometrów i o przyszłości, która każdego dnia niosła nowe wyzwania, zaskakiwała i nie dała się w żaden sposób przewidzieć.

Ale historia tej maszyny była całkiem inną i dość osobliwą. Szczególnie dla kierownika, bo dopiero teraz niesmak, który towarzyszył mu przez wiele tygodni po jej zakupie gdzieś zaczął zniknąć. Może z powodu dobrego uczynku jaki niewątpliwie właśnie zrobił. Przez co jak się okazało pomógł nie tylko komuś, ale i sobie.

Otóż pewnego dnia przejeżdżając przez niewielkie miasteczko, a raczej wioskę w okolicach Kyzylordy w południowym Kazachstanie, dostrzegli niewielki sklep. Nie wyróżniał się on niczym szczególnym spośród okolicznej zabudowy pomalowanych na biało niewysokich budynków. Większość z nich miała niebieskie wykończenia okien. Także drzwi i bramy, które wykonane były zazwyczaj z jednolitej blachy, malowano tu na niebiesko. A właściwie prawie błękit. Był to jeden z wielu sklepików, które zawsze przyciągał ich uwagę. Chociaż tutaj raczej się go nie spodziewali. A właściwie nie spodziewali się żadnego sklepu. Dlatego skoro już był, to tym bardziej należało zajrzeć do środka. Kiedy dysponuje się gotówką kilkakrotnie większą od średniej miesięcznej pensji miejscowej ludności chęć robienia zakupów jest chyba czymś naturalnym. Poza tym raczej nie było towaru poza ich zasięgiem finansowym. Tym bardziej, że cały sens wyjazdu polegał głównie właśnie na tym, żeby przywieźć jak najwięcej tego, czego w Polsce wtedy jeszcze nie było. Albo było trudno dostępne lub zbyt drogie. Chociaż jak się okazało w tym właśnie czasie zbliżał się koniec ery złotych interesów robionych na handlu wszelkimi dobrami przywiezionymi zza wschodniej granicy, a same ruble w Polsce nie miały prawie żadnej wartości.

Obecnie mówimy sklep ze sprzętem RTV i AGD. Wtedy był to sklep ze sprzętem domowym lub wielobranżowy. A tam, nazywał się po prostu магазин² i był to sklep ze wszystkim. Kierowca zatrzymał niebieskiego Tarpana

¹ Część mieszkalna wozu cyrkowego.

² Z ros. czytaj - магазин – sklep.

z zieloną plandeką w części ładunkowej, tuż przy niewielkich schodkach. Zaraz po wejściu do środka okazało się, że jak w większości przypadków, sklep głównie świeci pustkami. Jakaś jedna lodówka i to na talony, a poza tym żelazko, garnki, inny drobny sprzęt domowy trochę chemii gospodarczej. Po prawej wystawiony był typowy asortyment naszego sklepu żelaznego, młotki, gwoździe i inne narzędzia. Po drugiej jednak stronie w oczy rzucała się brązowa walizka z maszyną do szycia.

– Tak... to mógłby być dobry zakup. – Pomyślał kierownik.

Ekspedientka od razu bezbłędnie rozpoznała иностраницев³, gdyż ich wygląd zewnętrzny różnił się diametralnie od wyglądu tubylców, którzy zazwyczaj ubierali się w tradycyjne stroje składające się głównie z obszernej tuniki, szerokich szarawarów i wierzchniego płaszcza, często bogato zdobionego oraz nakrycia głowy. Czasem było to coś w rodzaju małego turbanu i kamizelki z baranej skóry. Nie były to stroje typowo muzułmańskie, ale nie mniej charakterystyczne. Choć zdobienia na niektórych częściach garderoby mogłyby wskazywać na bogactwo to był to region raczej ubogi. A bogactwo spotykanych orientalnych wzorów i ornamentów, wynikało głównie z tradycji i kultury właściwej dla Środkowej Azji.

W ogóle kraina ta łączyła w sobie bogate dziedzictwo różnorodnych grup etnicznych co odzwierciedlało się również w architekturze, bowiem spotkać tu można było zarówno gliniane lepianki jak i prawdziwe pałace czy meczety. Nie bark też było bardziej nowoczesnej architektury, szczególnie w większych miastach. Jednak i ona zazwyczaj zachowana była w swoistym stylowym klimacie regionu. Silny wpływ na całokształt wywierały też liczne plemiona koczownicze, gdzie w niektórych społecznościach nadal żywe były pozostałości wierzeń przedislamskich i całe bogactwo związanych z nimi symboli.



Jurta na tle Autau Dżungarskiego.

W tym właśnie rejonie częstym widokiem były znane z literatury, czy filmów jurty. Charakterystyczne namioty koczowniczych plemion, stanowiące powszechny element krajobrazu. Podobnie jak stada wypasanych kóz, owiec czy baktrianów⁴. W naturalny więc sposób zróżnicowanie tych wszystkich kultur i tradycji znajdowało odbicie także w strojach. Dlatego równie dobrze można było tu spotkać pasterza w burce z owczej skóry jak i kupca w typowo muzułmańskich szatach, czy też wieśniaka w charakterystycznej kamizelce i czapce z wielbłądziej wełny. Kierownik zaś z kierownicą ubrani byli w typowe stroje europejskie. Dość ciasno skrojone dżinsowe spodnie i koszulki z nadrukiem, a na nogach

sportowe buty powszechnie w tamtych czasach zwane adidasami. Nic dziwnego, że rzucali się od razu w oczy. Również samochód jakim zazwyczaj jeździli był w tamtych stronach wyjątkowy i zawsze wzbudzał zainteresowanie.

Sprzedawczyni jak większość kobiet ubrana była w kwiecistą, kolorową długą sukienkę wykonaną z jedwabiu. A na ramionach miała coś w rodzaju chusty. Zaczęła do tyłu i spięte złotymi grzebieniami kruczoczarne włosy i także same oczy, które błyszczały jak u śmiejącego się małego dziecka. Jak większość zamężnych kobiet w tym regionie ekspedientka miała wstawione na przedzie złote zęby. Co świadczyło o jej statusie społecznym no i o tym, że jest mężatką. Nie każdy bowiem wie, że zgodnie z panującym tu zwyczajem kobiety po ślubie wyrwały sobie zęby a potem wstawiały nowe, ze złota. Oczywiście ich ilość zależała głównie od zamożności męża. Uśmiechała się więc przyjaźnie swym złotym uśmiechem, wyczuwając możliwości dorobienia paru rubli na boku. Po krótkiej rozmowie okazało się, że walizka jest niestety pusta i stanowi jedynie element wystawy. A może był to taki znak, że tu można kupić швейную машину⁵, ale na specjalnych zasadach. Nie miało to jednak większego znaczenia dla miejscowych, gdyż i tak nie mieli zbyt wiele pieniędzy. Już sama oficjalna cena była dość wysoka.

– Jeśli wam bardzo zależy – powiedziała, to mogę sprawdzić, bo być może jeszcze jedna by się znalazła.

Kierownik już wiele razy prowadził podobne rozmowy i w takich przypadkach negocjacje nie stanowiły żadnego problemu. Polegały głównie na uśmiechach, porozumiewawczych spojrzeniach no i wymianie kilku zdań dla zachowania bardziej oficjalnej formy. Czasem padła też nieoficjalna cena. Jasnym było, że należy się więcej i na to wszyscy byli przygotowani. Zazwyczaj dziesięć rubli, a czasem dziesięć procent. Nie było ścisłych reguł. Poszli więc na zaplecze. Za sklepem po drugiej stronie małego podwórka stała blaszana wiata zamknięta na dwie kłódki. Tam po otwarciu blaszanych drzwi za dodatkowym zabezpieczeniem w formie stalowej siatki było królestwo owej sprzedawczyni. Poza maszynami do szycia były też lodówki, pralki, odkurzacze i wiele innego chłodliwego towaru. Aż gorąco się robiło z wrażenia na taki widok. Kierownikowi zabłyszczały oczy i mimowolnie się uśmiechał.

– I kto by pomyślał? W takiej dziurze? – przemknęło mu przez myśl. Ale nieprzewidywalna rzeczywistość tego kraju już nie raz go w podobny sposób zaskoczyła.

– To ile kosztuje? – Zapytał dla formalności.

– 133 ruble. – Z wymownym uśmiechem odpowiedziała, sięgając po walizkę.

Nie mogła przecież podać innej ceny niż państwowa jednak oczywistym było, że liczy na więcej. Więc na pewno wpadnie dycha, a może nawet dwie – co zależało od zamożności kupującego oraz od stopnia wdzięczności jaką poprzez to okazywał sprzedawcy za towar spod lady. W tym przypadku mogła liczyć na sporą wdzięczność biorąc pod uwagę z kim ma do czynienia. Kierownik bez namysłu sięgnął do kieszeni i sprawnie odliczając odpowiednią

kwotę wręczył jej zapłatę. Dumny z siebie i zadowolony dodał pytająco:

– Tak powinno być dobrze?

Kobieta wzięła pieniądze, jednym spojrzeniem sprawdziła kwotę i... popatrzyła głęboko w oczy kierownika. Złoty uśmiech zniknął z jej twarzy i beznamiętnie powiedziała:

– Tak... tak jest dobrze.

A on poczuł nagle dziwny chłód, a może nawet pewien rodzaj strachu. Ale to uczucie zaraz minęło, wraz z trzaskiem zamykanych drzwi do zaplecza i zostało zastąpione innym nie mniej przerażającym i nieprzyjemnym. Po chwili wsiadli do samochodu i odjechali. Ekspedientka odprowadzała ich swym chłodnym spojrzeniem. Kierowca oczywiście niczego się nie domyślał. W końcu już nie raz brał udział w takich zakupach. Scenariusz i efekt był zazwyczaj podobny. Tym razem sam akurat nie kupował maszyny. Poza tym to jego szef miał monopol na załatwianie takich spraw no i doskonale znał język, znacznie lepiej od niego. Dlatego też pogwizdując rażno zmierzał z powrotem do cyrku i był chyba nawet zadowolony, że jego przełożony sprawił sobie taki fajny zakup. A do tego była spora szansa, że przed wyjazdem do następnego miasta podjadą tu znowu i wtedy zrobią konkretne zakupy. Taki zresztą był oczywisty plan. Kierownik jednak nie okazywał równie wielkiego zadowolenia. Zamyślił się a w jego głowie narastał wstyd i niesmak po tym co się stało. Zorientował się zaraz po tym jak opuścił sklep, ale jakoś nie honor było wracać. Nie przemógł się i chyba nawet stchórzył. Choć wtedy taka decyzja, uratowałaby całą sytuację. Teraz tego żałował, jednak było już za późno.

Maszyna bowiem kosztowała niecałe 133 ruble. Dla niego to było niewiele choć dla zwykłego Rosjanina w tamtych czasach były to prawie 2 wypłaty. Jednak on zapłacił zaledwie 135, a nie 150 jak zamierzał. Te 12 rubli więcej byłoby uczciwą stawką za sprzedaż towaru spod lady, ale nie te marne 2 ruble, które dostała sprzedawczyni. Stąd właśnie pojawił się w jej oczach taki chłód, na przemian ze zdziwieniem na pożegnanie. Poczuła się po prostu oszukana i wykorzystana. Zapewne nawet była zła, że dała się tak podpuścić dla tych marnych groszy. Gdyby wiedziała nigdy nie przyznałaby się, że ma towar na zapleczu, czekając na okazję dającą godziwy zarobek. Jednak nie mogła nawet pisać słowem o tej ewidentnej niesprawiedliwości. Wszak to, że towar przechowywany był na zapleczu, a nie wystawiony w sklepie nie był zgodne z prawem, nawet w tym kraju. Najgorsze było to, że mogła pomyśleć, iż иностранецz od początku chciał ją oszukać i to dla kierownika było najgorsze, gdyż w żadnym razie nie miał przecież takiego zamiaru.

Dlatego, już sama myśl o popełnionej gaffe była dla niego niewymownym cierpieniem psychicznym i nieopisanym wstydem. Wstydem przed samym sobą, ale i całym światem. Mimo, że wiedział o tym tylko on. A przecież uczciwość to jedna z cech, których posiadania był zawsze w pełni świadom. Jak to się więc mogło stać? Wciąż zadawał sobie pytanie. Prawdopodobnie w zwiłku banknotów nie rozpoznał prawidłowo nominalów. I była to po prostu zwykła pomyłka. Jednak dość brzemienne w skutki. Nieprzerwanie rozmyślał o tym... niewiele mówiąc w drodze powrotnej.

³ Z ros. czytaj - inostraniec – obcokrajowiec.

⁴ Dwugarbny wielbłąd.

⁵ Z ros. czytaj - szweijnaja maszina - Maszyny do szycia

Oczywiście kolejna wizyta w tym sklepie była już od tej chwili wykluczona.

I teraz w wyniku rozmowy z Ryśkiem wspomnienie tamtego zdarzenia odchodziło w niepamięć. Za to docierało do niego powoli, że jego też w końcu może dopaść skrajne uczucie tęsknoty za rodziną i krajem. Przecież może nie dać rady. Mimo, iż w przeciwieństwie do wielu innych był w pewien sposób zahartowany i rozłąka nawet w święta nie była mu obca. Wszak w ciągu ostatnich kilku lat nie jedno święta spędził poza domem. Chociaż dawno temu również i dla niego stanowiło to poważny problem.

* * *

Tak właśnie było przed kilku laty. Kiedy po godzinie 18 czuł, że nie jest tam gdzie być powinien o tej właśnie porze. Wciąż bowiem jeszcze nie wrócił do domu po pracy, jak większość ludzi. Perspektywa następnych kilkunastu godzin takiego stanu była równie przytłaczająca co fakt, że jest to nieuchronne i zupełnie od niego niezależne. I gdyby nawet bardzo chciał to nie był w stanie tego zmienić. Do dziś dobrze pamięta jak w tamtym czasie zagadnął do niego porucznik Jaworski, szef III zmiany:

– Co...? Tęskno za domem...?

Młody człowiek nie zdążył nic odpowiedzieć nieco zaskoczony.

– Nie martw się... jakoś to wytrzymasz i w końcu przyzwyczaisz się. - Pocięsał.

Wtedy właśnie chyba pierwszy raz w życiu poczuł taką tęsknotę, spotęgowaną dodatkowo faktem, że ktoś to zauważył, że ktoś zwrócił na to uwagę. Bezbłędnie bowiem rozszyfrował młodego człowieka, który oparty o drzewo przed budynkiem strażnicy sączył z butelki mineralną wodę wpatrzony gdzieś w dal. Był jesienny, ale ciepły wieczór, wokół było już dość ciemno i tylko latarnie rozświetlały przytłaczającą, przykurzoną scenę ogromnej fabryki oraz ceglane mury budynków starego zakładu. Była to w tym dniu pierwsza taka chwila wytchnienia kiedy mógł pomyśleć o domu i czekającej go przyszłości. A przed nim jeszcze wciąż kilkadziesiąt podobnych do tego dni, które składały się na te dwa lata jakie jeszcze go czekały. Ta perspektywa go przerażała co było dodatkowo potęgowane uczuciem tęsknoty za domem. I właśnie to, zauważył całkiem obcy człowiek, który zapewne kiedyś sam czuł się podobnie. A nie był to przecież byle kto, tylko sam szef zmiany, oficer.

Jednak teraz już po kilku latach z pewnym bagażem doświadczeń nie powinno to jakoś specjalnie wpłynąć na jego stan emocjonalny. Kierownik bowiem nie cierpiał z tego powodu i nie czuł też przygnębienia czy swistego lęku jaki towarzyszy często w podobnych sytuacjach. Mimo to mimowolnie myślał o tym, że jednak jest bardzo daleko od wszystkiego co jeszcze niedawno było dla niego jedynym światem.

No właśnie... przez te ostatnie dwa miesiące nie było czasu aby się nad tym w ogóle zastanawiać. Ogrom nowych obowiązków z mnożącymi się problemami, ogrom wciąż nowych zadań i zdarzeń był przytłaczający. Nie pozostawiał miejsca na normalne, zwykłe myśli czy marzenia. Nawet te o seksie czy w ogóle jakikolwiek odpoczynku. Widocznie w takich sytuacjach mózg wycisza wszelkie inne potrzeby skupiając się na tu i teraz. Mobilizując w ten sposób wszystkie swoje siły na wytrwa-

niu, przetrwaniu i osiągnięciu zamierzonego celu. A późną nocą po całym dniu tej swoistej walki, wytężonej pracy, natłoku emocji i informacji padał zmęczony jak nigdy przedtem nie mając już siły na nic więcej. Nie było nawet czasu wspomnieć o bliskich a szczególnie o córce, za którą gdzieś w głębi serca bardzo tęsknił. Mimo, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Teraz z perspektywy minionych lat można by się nad tym zastanawiać jak to jest w ogóle możliwe żeby przez tak długi okres nie myśleć w ogóle o tym co jeszcze niedawno było jedyną treścią życia. Okazuje się, że można. Liczyło się tylko to, aby sprostać kolejnemu wyzwaniu, zrealizować kolejne zadanie i chłonąć doświadczenie tam gdzie to tylko jest możliwe. Bo przed nim było jeszcze wiele miesięcy tej walki. Na szczęście był młody, otwarty na świat i chociaż niedoświadczony, to dość pewny siebie, pełen wiary, że jednak da radę. I mimo wszystko odważny. A może tylko nieświadomy i po prostu głupi? Nawet teraz po latach trudno jednoznacznie to ocenić. Ale przecież nie był to nie pierwszy raz kiedy dawał sobie radę tam gdzie inni się poddali mimo, że byli znacznie lepiej przygotowani od niego.

Kierownik Administracyjny Cyrku to jednak całkiem coś innego niż np. Inspektor do spraw ppoż. w Hali Targowej na „Koszykach” w Warszawie. Gdzie przyszło mu niegdyś objąć posadę po pewnym kapitanie pożarnictwa. Chociaż sam był wtedy zaledwie kapralem. Wtedy też sobie poradził i stał się nawet autorytetem dla dyrektora hali w sprawach dotyczących przepisów ppoż. Oczywiście musiał sobie wypracować, a właściwie wywalczyć taką pozycję. Bo nie było łatwo. Olbrzymia odpowiedzialności, z której do końca sobie nie zdawał sprawy oraz brak wiedzy i doświadczenia nie sprzyjały osiągnięciu sukcesu. Do dziś pamięta starcia z tamtejszym kierownikiem technicznym. Który za wszelką cenę starał się umniejszyć roli jaką pełnił ten młody człowiek. Mało tego... próbował wykorzystać go nawet do zadań, które z racji funkcji raczej nie mieściły się w jego zakresie obowiązków. W takich przypadkach ulubionym argumentem inspektora było stwierdzenie:

– Ależ panie kierowniku... już sama nazwa mojej funkcji jasno określa moje zadania. Inspektor jak sama nazwa wskazuje ma za zadanie inspekcjonowanie, a nie przygotowanie obiektu do inspekcji. Dlatego fizyczne rozmieszczenie gaśnic czy też wysłanie ich do napełnienia czy legalizacji musi pan wykonać we własnym zakresie. I przykro mi, że będzie pan to musiał zrobić ośobiście. – Kierownik nie miał żadnych podwładnych, którym mógłby zlecić takie zadanie.

– Ja jednak panu w tym nie pomogę. Mogę jedynie wskazać miejsca gdzie ustawić gaśnice.

– No ale pana poprzednik się tym zajmował. – Próbował mimo wszystko kierownik.

– Ja jednak jak już powiedziałem nie będę. A w razie czego możemy się przejść do dyrektora by wyjaśnić tę kwestię. – Pewny swych racji proponował inspektor.

Mówiąc te słowa odczuwał nie małą i nie skrywaną satysfakcję, gdyż po kilku tego typu akcjach kierownik techniczny nie miał żadnych argumentów do dyskusji. Fakt, że tymi sprawami zajmował się poprzedni inspektor nie był wystarczającym powodem aby nie miało się to

teraz zmienić. I taka też była interpretacja tej sytuacji przez dyrektora hali, u którego młody inspektor zyskał miano fachowca w swojej dziedzinie. A nie było to aż takie trudne biorąc pod uwagę ogrom nieprawidłowości i ogólny bałagan w tym również w zakresie ppoż. Jednak zanim tak się stało nasz bohater wertował stopy dokumentów pozostawionych przez poprzednika w biurku zgłębiając potrzebną wiedzę. Dawał sobie z tym radę mimo, że w tym samym czasie kończył policealne studium w systemie zaocznym co też wymagało zaangażowania i czasu. Mimo to w swej pracy, którą traktował niemalże jak misję był tak dokładny i skrupulatny, że zaczęło to w końcu przeszkadzać dyrekcji. Bo jak się okazało im potrzebny był jedynie kozioł ofiarny na wypadek jakiejś tragedii, a nie ktoś kto robi tam porządek. A tym bardziej nie zapalony i bezkompromisowy reformator. Do tragedii mogło tam dojść w każdej chwili. Złe zabezpieczone magazyny, zawalone przejścia w korytarzach, kable pod napięciem wystające ze ścian, nie przestrzeganie przez pracowników zakazów palenia, to tylko niektóre nieprawidłowości jakich w hali na Koszykach było mnóstwo. Jednym z największych jednak zagrożeń był system ogrzewania. A była to zima, więc system ten był eksploatowany na najwyższych obrotach. Dokładniej chodziło o kotłownię i dwa przestawne piece na ropę umieszczone w piwnicach. Zasilane one były z dwóch podziemnych zbiorników każdy po 8 ton. Codziennie więc dochodziło do samozapłonu instalacji zasilającej i w takich przypadkach na bieżąco reagował palacz za pomocą agregatów górniczych. Czyli zestawów gaśnic śniegowych na dwukółowym wózku, bardzo skutecznych i łatwych w użyciu. Jednak palacz często bagatelizował swe obowiązki i potrafił nawet wyjść sobie na miasto podczas swojego dyżuru pozostawiając rozgrzane piece bez nadzoru. Dlatego inspektor musiał go stale kontrolować i upominać. Właściwie to należało zamknąć kotłownię, która na pierwszy rzut oka przypominała piekło. Czarń, brudno i gorąco. Z palenisk buchały płomienie i śmierdząca ropa. Ale nawet mimo tego to jak zamknąć ją w środku zimy? Kto by się na to zgodził? Przecież głównym zadaniem hali był handel. A bez ogrzewania cały ten ogromny obiekt nie mógłby funkcjonować. Jak się później okazało cała hala miała być remontowana za kilka miesięcy. A był to obiekt za bytkowy więc remont nie był prostą sprawą.

Dla dyrekcji zatrudnienie inspektora było warunkiem funkcjonowania tej Handlowej Hali gdyż w niedalekiej przeszłości miał tu miejsce poważny pożar i taki warunek postawiła straż pożarna w zaleceniach po pożarach. Ogrom nieprawidłowości i niezgodności z przepisami powodował, że młody inspektor stopniowo i konsekwentnie dążył do ich usunięcia czyli do poprawy sytuacji za wszelką cenę. Uznając stan zabezpieczenia obiektu za oczywisty priorytet. To jednak nie do końca odpowiadało dyrekcji, która chciała jedynie jakoś przetrwać do zapowiadanego remontu nie robiąc przy tym zbędnej ich zdaniem rewolucji. Inspektor o tym oczywiście nie wiedział. Dlatego też po kilku miesiącach nie przedłużono z nim umowy uznając zapewne, że lepiej nie mieć inspektora w ogóle niż mieć takiego, który tylko mnoży problemy i żąda ich rozwiązywania.

Zbiegło się to również z zakończeniem okresu grzewczego więc można być prawie pewnym, że chodziło jedynie o to, aby w razie tragedii można było kogoś pociągnąć do odpowiedzialności. Inspektor w czasie tych kilku miesięcy wystosował dziesiątki pism oraz protokołów pokontrolnych co stanowiłoby w razie czego wystarczający dowód na to, że w ramach możliwości robił wszystko, aby do tragedii nie doszło. Ponadto prowadził bieżące szkolenia dla pracowników a nawet udzielał im pisemnych upomnień za łamanie przepisów ppoż. Poza tym i tak za całokształt odpowiadał dyrektor. Na szczęście dla nich wszystkich nie się takiego nie wydarzyło w czasie tych kilku miesięcy. A młody człowiek zdobył kolejne jakże ważne doświadczenie na przyszłość. I teraz mógł je w pełni wykorzystać.

Nie miało to jednak aż tak wielkiego znaczenia bo to nowe wyzwanie było całkiem inne. Było też o wiele bardziej poważne. Szczególnie dlatego, że dotyczyło instytucji jaką jest cyrk w dodatku występujący poza granicami kraju. Poważne tym bardziej, dla kogoś kto o funkcjonowaniu cyrku wiedział tak niewiele. A w zasadzie nic. Dodatkowo w tym konkretnym przypadku nawet nie byłoby jak i gdzie uciec, schować się czy choćby przeczekać w razie poważnych kłopotów. Ale nie... wrócić, poddać się i nie dać rady? To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Poza tym jaki to wstyd? Ryśkowi to jakoś nie przeszkadzało i Wielkanoc spędzi z rodziną.

Myśli o powrocie czy ucieczce, zapewne zaprzętały głowę nie jednemu, bo praca w cyрку nie jest lekka a nie każdy o tym wiedział przed przyjazdem. Jednak wydawało się, że takie rozwiązanie nie jest w ogóle możliwe do realizacji. Zbyt wiele przeszkód i przeciwności. Wstyd przed kolegami, rodziną a czasem i strach przed nieznanym powodował, że jedynie na myśleniu się kończyło. Powrót do Polski z tak odległego miejsca na Ziemi nie był zwykłą wycieczką. Szczególnie dla tych, których przywieziono tam jak w przysłowiowej „bańce po mleku”, po czym wyciągnięto dopiero na miejscu, w zasadzie bez większego ich udziału czy zaangażowania. Po prostu, zostali przywiezieni do pracy. Tyle tylko, że tysiące kilometrów od domu.

Ale nie tylko sama praca, w cyрку była ciężka. Ciężko się tu po prostu żyło. Już same warunki i fakt ciągłego przemieszczania się z miejsca na miejsce dla wielu był niezwykle uciążliwy. Specyficzne warunki socjalne i sanitarne nie mieszczą się obecnie w świadomości większości ludzi. Jednak można było do tego przywyknąć, a nawet to polubić, czy wręcz poczuć satysfakcji i zadowolenia. Brak sztywnych ram regulujących i określających tryb pracy i życia, oczywiście poza spektaklami. Mimo, że w zasadzie jest się ciągle w pracy to jednak można poczuć się na pewien sposób wolnym, tak ... oczywiście tylko na pewien sposób.

* * *

Kilka miesięcy wcześniej po 3:00 w nocy podjechał po niego kierowca jednego z czterech Jelczy, którymi zaraz potem mieli udać się aż na granicę z Niemcami. Ciemno i zimno, bo przecież był to dopiero koniec stycznia. Dobrze, że wziął koc i termos z gorącą herbatą. Nigdy by nie pomyślał, że przygotowania do sezonu rozpoczynają się jeszcze zimą. No, ale

w tym przypadku nie był to byle jaki sezon. Pierwsza praca w ZWC i od razu wyjazd. Co prawda tylko do ZSRR, ale jednak. Ktoś inny musiałby odpracować na bazie co najmniej 2 lata, zanim mógłby ubiegać się o zagraniczny kontrakt. A tu już po dwóch miesiącach pracy taka okazja. Nie była to jednak żadna niespodzianka czy zaskoczenie. Od początku było wiadomo, że w tym roku cyrk ponownie jedzie do Rosji, jak potocznie mówili wszyscy o ówczesnym Związku Radzieckim. Przecież gdyby nie to, to kierownik nie zwolniłby się z dotychczasowej pracy, którą lubił i w której w pełni się realizował. Jednak tu rysowała się przed nim - złudna, jak się później okazało, szansa na zarobienie większych niż do tej pory pieniędzy. A poza tym ten wyjazd miał otworzyć mu drogę do kontraktów na zachodzie, gdzie praca była co prawda cięższa, ale też płacili w dolarach. A w tamtym czasie moc dolara była znacznie większa niż teraz.

Podróż do granicy przebiegała bez najmniejszych problemów. Oczywiście poza tym, że w Jelczu, którym jechał nie działało ogrzewanie i było po prostu zimno. Wtedy jeszcze nikt nie przejmował się zbytnio czasem pracy kierowców. Szczególnie w cyрку, gdzie w trakcie sezonu praca po kilkanaście godzin dziennie była normą. Dlatego postoje regulowane były jedynie poprzez częstotliwość potrzeby sikania. Czym jednak byli bliżej celu tym bardziej, świeżo upieczony kierownik się denerwował. Na zewnątrz nie dawał jednak nic po sobie poznać, starym wyjadaczom z Julinka⁶. Póki co nawet nie zastanawiał się jak się dogada z niemieckim treserem. A przecież będzie musiał z nim jakoś porozmawiać. Podobnie jak nad tym co i jak będzie musiał tam załatwiać. Wynikało to chyba z braku życiowego doświadczenia, które teraz po latach bardzo ceni.

Na miejscu okazało się - i to na całe szczęście, że w zasadzie nawet nie trzeba będzie niczego załatwiać. Chodzić, szukać czy dopytywać. Niemiec stał już po naszej stronie granicy od kilku godzin i czekał. Piękne białe niebieskie, jak nowe wozy cyrkowe w porównaniu z tymi polskimi, wydawały się - i nie bez powodu, jak jakiś ekskluzywny tabor rodem z RFN⁷. Tak też zresztą było. Niemiec był z żoną - i z nią też razem występował, na oko o wiele lat młodszą od niego. Typowa niemiecka uroda, lekko falujące długie blond włosy i niebieskie oczy. Ogólnie dość ładna, wydawała się być znacznie bardziej sympatyczna od niego. Ale chyba zabronił jej nawiązywania jakichkolwiek kontaktów, bo prawie w ogóle się nie odzywała. Zresztą dotyczyło to całego sezonu. Tak więc uśmiech, czy wymiana grzecznościowych pozdrowień np. na dzień dobry, należały do rzadkości. On był w wieku sporo po trzydziestce, dobrze zbudowany z dość wydatnym zarostem w formie wąsów i bokobrodów. Prowadzili razem tresurę tygrysów i niedźwiedzi brunatnych. W sumie jak się później okazało był to miły człowiek, ale mimo to na początku dało się wewnątrz odczuć, jakąś kulturową przepaść i niedostępność. Na pierwszy rzut oka surowy i twardy gość. Z którym lepiej nie mieć na pieńku. Swoją drogą należało podziwiać Starego, że zwerbował do

swojego cyrku artystów takiego formatu, bo cóż znaczylby cyrk bez dzikiej tresury?

Kierowcy podczepili wozy i po krótkim odpoczynku zgłosili gotowość do powrotu. Nie było zresztą na co czekać, bo robiło się późno, a do bazy kawał drogi. Ta niecodzienna wycieczka, fakt tak wczesnego wyjazdu oraz poczucie dobrze wypełnionej misji wzmogły u kierownika nieodpartą potrzebę odpoczynku. W kabinie w przeciwieństwie do jazdy w tamtą stronę było ciepło a silnik przyjemnie huczał dając dodatkową zachętę do snu. Poza tym po tak długiej podróży nie było już za bardzo wspólnych tematów do rozmowy z kierowcą. Tym bardziej, że szefowi nie wypadło przecież rozmawiać z pracownikami jak kolega z kolegą, no i nie na każdy temat oczywiście. Tak mijały kolejne kilometry i godziny podróży. Za oknami szybko przemykał szaro-biały krajobraz, ale na szczęście nie padało i warunki do jazdy były dobre.

I nagle, szok...! Gdzieś tak po godzinie 17:00 kiedy byli już zaledwie niecałe 60 km od Julinka... Kierownik odkrył z przerażeniem coś co sparaliżowało na chwilę całe jego ciało i umysł. Zerknął bowiem mimowolnie na kierowcę, który od dłuższej chwili też milczał.

Nie ... - Pomyślał. Zdawało mi się! Zerknął więc raz jeszcze i kolejny raz. Boże... co jest? - Sam siebie zapytał, szukając w myślach szybkiego wytłumaczenia, dla tego co właśnie zobaczył. A jednocześnie szybkiej reakcji, która w tej właśnie chwili będzie najbardziej odpowiednia, skuteczna i niezbędna. Ten prawie 50 letni doświadczony kierowca, który już z nie jednego pieca jadł chleb i nie jeden sezon przejeździł w cyрку, miał teraz zamknięte oczy. Tak właśnie - były zamknięte. Mimo to wciąż jechał równo z prędkością ponad 70 km/h, Jelczem z przyczepą. Za nimi jechały jeszcze trzy takie zestawy. A w kabinie jednego z nich siedział Niemiec z żoną. Czy kierowcy otwierały się co chwilę, aby natychmiast się ponownie zamknąć. To było skrajne zmartwienie. Kierownik był przekonany, że w takich sytuacjach doświadczony kierowca sam zatrzyma się, żeby odpocząć. Było to przecież oczywiste. Jednak to wyobrażenie miało się bardzo z brutalną rzeczywistością, którą naocześnie przyszło mu teraz doświadczyć. Stało się więc jasne, że kierowca jedzie i przysypia. Na chwilę zamykając i otwierając oczy na zmianę. Kierownik, zdrtwiał z wrażenia i zawołał:

- Halo panie Zawadzki!

Ten natychmiast zareagował ...

- Co jest panie kierowniku?

Musimy się zatrzymać... pan zjedzie na pobocze. - Powiedział tonem nie znośnym sprzeciwu.

Kierowca bez zbędnych komentarzy włączył kierunkowskaz i natychmiast zjechał na bok. Zapewne w tym momencie sam zdał sobie sprawę z tego co się stało. Za nimi zjechały pozostałe samochody. Wszyscy zaraz też wysiedli na zewnątrz. Chłodne powietrze szybko ich orzeźwiło. Rozprostowując kości i przecierając zaczerwienione ze zmęczenia oczy mówili niby to między sobą, a niby to do kierownika...

- Dobrze, że się w końcu zatrzymaliśmy.

Oznaczało to, że w pozostałych samochodach sytuacja musiała być identyczna. Kierownik nie skomentował tego, ale odniósł nieomyślne wrażenie, że za taki stan rzeczy to on

⁶ Nazwa miejscowości i potoczna nazwa bazy cyrkowej.

⁷ Republika Federalna Niemiec.

jest odpowiedzialny. Przynajmniej oni byli o tym przekonani.

Bo przecież to on kieruje całą wyprawą i to on już dawno powinien zarządzić postój. Jednak z barku doświadczenia nawet o tym nie pomyślał, a oni zapewne nie chcąc okazywać słabości nie chcieli samowolnie się zatrzymywać. Zdał też sobie sprawę z konsekwencji jakie mogły być wynikiem zmęczenia tych ludzi. Prawie 1000 km przejechane ciężarowym samochodem, w ciągu jednego dnia w dodatku zimą - to nie jest mało. Zdał sobie również sprawę, że być może niewiele brakowało do prawdziwej tragedii, od której uchronił ich jedynie przypadek, a może boska opaczność. Tragedii, do której mogło dojść na drodze krajowej nr 8 gdzieś pomiędzy Łowiczem a Sochaczewem. Była to więc jedna z pierwszych, ale na pewno nie ostatnia lekcja życia dla tego młodego człowieka. A przed nim jeszcze wiele miesięcy wyzwań, sprawdzianów, problemów i cały bezmiar nieznanej świata.

Mimo wszystko trzeba przyznać, że to całkiem nowe wyzwanie stanowiło też dla kierownika pewnego rodzaju wygrany los na loterii. Bo oto bez większych problemów może wyjechać do pracy, na którą inni czekają latami a jeszcze inni tylko o niej marzą. Oczywiście pomijając fakt, że w tamtym czasie opłacalność wyjazdu do Rosji znacznie spadał jednak nadal było to coś. W dodatku nie jechał tam jako zwykły robotnik, tylko jako zastępca dyrektora poważnego państwowego cyrku, czyli państwowego przedsiębiorstwa rozrywkowego. A najlepsze było to, że dzięki temu będzie miał wielomiesięczną darmową wycieczkę do azjatyckiej części ZSRR. I to chyba było w tym najważniejsze, o czym kierownik przekonał się dopiero na miejscu, kiedy na własne oczy zobaczył na czym polega różnica pomiędzy Europą, w której żył na co dzień a Azją, do której inni nigdy nie pojadą. Nawet pomijając, że te różnice wynikały też z faktu, iż chodziło o dwa całkiem różne kraje, to już sama Azja jako taka robiła odpowiednio wyjątkowe wrażenie na każdym kto się tam znalazł. Mimo, że nie miał zbyt wiele czasu aby zwiedzać tak jak to robią zwykli turyści, to i tak sporo widział i sporo doświadczył. Znacznie więcej niż podczas jakiegokolwiek możliwej wycieczki. A ponadto mógł poznać ten świat jakby od środka, czyli od strony życia zwykłych ludzi bo z racji swojej pracy brał w nim też jakiś udział. To wszystko w połączeniu z niecodziennym cyrkowym życiem dawało potężną dawkę egzotyki i swoistego czaru, którego wrażenie nie opuszczało go przez cały czas jaki tam spędził. Dzięki tej wycieczce utwierdził się tylko w swych niezłomnych poglądach na temat Rosji i Rosjan, pomimo, że tam gdzie był miał tak naprawdę do czynienia z wieloma różnymi narodowościami, kulturalnymi i zwyczajami. Oficjalne jednak był to potężny i nieprzenikniony Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich potocznie zwany Rosją.

Same przygotowania do wyjazdu nie były dla nowego kierownika źródłem jakiegoś szczególnego wysiłku. Poza normalnym stresem związanym z nową pracą i nowymi obowiązkami. Po prostu się uczył. Chłonał wiedzę jak gąbka, a czasu było niewiele. A i tak, w ciągu zaledwie dwumiesięcznej pracy na bazie, dowiedział się znacznie więcej niż niejedną przez pół roku. Taki przyspieszony kurs z zarządza-

nia i administracji cyrkiem, ale była to tylko kropla w morzu tego, czego musiał się jeszcze nauczyć i dowiedzieć.

Większością spraw organizacyjnych zajął się dotychczasowy zastępca dyrektora cyrku, który do samego wyjazdu udzielał rad i wskazówek, pilotując swojego następcę. Pracował w tym cyrku już kilka lat, a w Rosji był już dwukrotnie, więc z doświadczenia wiedział co i w jaki sposób przygotować. Dlatego oczywistym było, że pomagał nowemu kierownikowi jak mógł. Zresztą taki mu postawiono warunek, żeby w ogóle mógł odejść z cyrku i wyjechać do pracy za granicą. Już wkrótce bowiem miał wyjechać na kontrakt do Szwecji. Skoghs Nöjesfält AB⁸ - było to największy w Europie Północnej mobilny park rozrywki, a on właśnie miał tam, być ... kucharzem. Tam też od trzech sezonów pracował brat naszego bohatera, no ale to całkiem inna historia.

W tym czasie wyjazd do Szwecji, Francji czy Włoch był marzeniem każdego, jednak na taki kontrakt mogli liczyć jedynie nieliczni. W minionych latach znane były przypadki, że po dwóch sezonach we Włoszech, czy Anglii ludzie stawiali sobie domy za zarobione tam pieniądze. Jednak taka perspektyw była jeszcze bardzo odległa. Jak się później okazało przemiany w naszym kraju zmieniły te korzystne relacje finansowe i wyjazdy nie były już aż tak opłacalne.



Pas graniczny przejścia towarowego pomiędzy Polską a ZSRR.

Tymczasem dotychczasowy kierownik przez te ostatnie dni musiał jeszcze wyprowadzić cyrk w drogę. Przygotować dokumenty i zadbać o to, aby przekazać wszystko co niezbędne obejmującemu obowiązki, a było tego niemało - od dokumentów dotyczących taboru i pojazdów, poprzez niezliczone druki i sposób prowadzenia dokumentacji administracyjnej, kwity magazynowe, po akta personalne pracowników włącznie oraz przekazanie całego inwentarza.

W ogóle ostatnie tygodnie były bardzo pracowite. Dopilnowanie wszystkich spraw i zadbanie o wszystkie najmniejsze nawet, ale niezbędne szczegóły wymagało poza ogromnym doświadczeniem sporego zaangażowania. Samo oficjalne przekazanie obowiązków i odpisanie protokołów zdawczo-odbiorczych odbyło się pewnego popołudnia w dość charakterystyczny sposób. Czyli przy butelce wódki - i to nie jednej, w dziaлке kierownika. Przy czym inwentaryzacja była warunkowa i tylko na papierze ze względu na fakt, że cyrk nie był kompletny, ponieważ część cyrku znajdowała się w tym czasie w Taszkencie. W tej swoistej

inauguracji brali udział obaj kierownicy i starszy kierowca, który nieoficjalnie zobowiązał się do pomocy w trudnych sytuacjach już tam na miejscu. Miła przyjacielska atmosfera, alkohol i zakąska powodowały, że młody kierownik nawet nie przeczuwał na jak głęboką wodę już niedługo zostanie wypuszczony.

Nie ob było się też oczywiście bez dokładnych wskazówek i rad w jaki sposób postępować, aby wyprostować istniejące nieprawidłowości takie jak np. brak kilkudziesięciu opon w cyrkowym magazynie. Które w poprzednim sezonie zostały sprzedane. Bo był to towar bardzo w tamtym czasie chodliwy. Od tej pory to nowy kierownik podpisywał wszystkie dokumenty i stawiał na nich swoją imienną pieczęć. Tym samym był za wszystko odpowiedzialny mimo, że w tamtym czasie nie był jeszcze do końca tego świadomy. Deklarowana pomoc starszego kierowcy, też jak się później okazało nie wyglądała tak jak powinna. Czasem wręcz można było odczuć, jakby czyhał on na wpadkę zamiast przed nią ostrzegać. Jego brak lojalności w stosunku do młodszego kolegi szła w parze z lojalnością w stosunku do dyrektora, gdyż to od niego zależał wyjazd starszego kierowcy do któregoś z cyrków zachodnich. O taki wyjazd starał się on od dawna i miał obiecać, że nastąpi to właśnie po tym sezonie. Więc o trafności powiedzenia że „bliższa ciału koszula” kierownik przekonał się boleśnie już w trakcie sezonu. A starszy kierowca w przyszłości trafi podobnie jak kierownik do pracy w Szwecji tyle tylko, że do innego cyrku.

Pierwsza niemiła niespodzianka spotkała nowego kierownika w przeddzień wyjazdu. Czyli po tym jak jego wóz znalazł się na wagonie składu pociągu przygotowywanego do wyjazdu. Okazało się, że w środku po przejechaniu tych kilkunastu kilometrów z bazy w Julinku na rampę PKP w Błoniu, jest jak po wybuchu bomby. Misternie i z nie małym wysiłkiem urządzana działka wyglądała teraz jak po przejściu huraganu. Była to kolejna lekcja dla żółtodzioba, którą postanowili dać mu starzy cyrkowi wyjadacze. Nikt bowiem jakoś nie powiedział, że do takiej przejażdżki trzeba się odpowiednio przygotować. Odpowiednio pozamykać szafki, pozostawiać wszystko na podłogę, lub powkładać do miski czy choćby wersalki. Zabezpieczyć specjalnymi pasami meble czyli poprzipinać je do ścian. A już na pewno nie zostawiać wody w wiadrach czy innych odkrytych naczyniach. Efekt braku takiego przygotowania do podróży można sobie łatwo wyobrazić. Dodatkowo należy się domyślać, że dla spotęgowania tego efektu zastosowano odpowiedni styl jazdy podczas transportu. Mimo, iż kierownik dobrze wiedział o co chodziło przyszłym podwładnym, to nie miał do nich żalu. Trudno, niech to będzie taki chrzest bojowy - pomyślał.

W końcu dopiero mieli się poznać no i ewentualnie polubić. A ich przychylność póki co była mu bardzo potrzebna. Jednak już wtedy brak jakiegokolwiek ostrzeżenia choćby w ramach sugestii ze strony starszego kierowcy wydawał mu się co najmniej dziwny.

Wreszcie nadszedł ten dzień - 6 lutego 1990 roku, po południu. Był to powód do nie małych

⁸ Z szwedz. - Skoghs - nazwisko właściciela, Nöjesfält - wesołe miasteczko

emocji i pewnego rodzaju rajzefiber⁹. Przedostatnią noc spędził jeszcze w domu mimo, że większość ludzi, którzy mieli jechać tym pociągiem nocowała już w swoich wozach załadowanych na towarowe wagony. Jeszcze tylko pożegnanie z rodziną i w drogę. Nawet się specjalnie nie bał mimo, że jechał w nieznaną. Pierwszy raz tak daleko i na tak długo. Brak strachu wynikał głównie z braku świadomości co go czeka. O tym, że to kilka tysięcy kilometrów i ponad dwie strefy czasowe różnicy dowiedział się dopiero później.

Jeszcze tego samego dnia nocą kilkadziesiąt wagonów dotarło do Brześcia. Najważniejszy dworzec kolejowy stanowiący główne połączenie transportu kolejowego Europy i Azji. Ważny głównie z tego powodu, że w tym miejscu biegnące na wschód tory kolejowe miały inny szerszy rozstaw i wszystkie towary musiały być przeładowywane na tamtejsze wagony. Czasami jak w przypadku pociągów osobowych wymieniano jedynie podwozia na te z szerszym rozstawem kół. Unoszono wtedy cały wagon na specjalnych podnośnikach i w tym czasie wymieniano sam układ jezdny. Wszystko to odbywało się z pasażerami w środku. Jednak nie wolno było opuszczać pociągu więc rzadko kiedy można było coś ciekawego zobaczyć, no jedynie tyle co przez okno. Ale już sam fakt takiej zamiany był niezwykłym wstępem ciekawej podróży do krainy całkiem innej niż Polska. Oczywiście wcześniej kierownik otrzymał odpowiednie dokumenty i wytyczne potrzebne do przekroczenia granicy. Wiedział więc, co i jak ma załatwić, przynajmniej teoretycznie. Wyglądał przez okno czekając, aż ktoś po niego przyjdzie. Prószył lekki śnieg, a dookoła było białe jak to w zimie.

Było to trochę dziwne uczucie znaleźć się w pasie granicznym otoczonym szpalerem z drutów kolczastych z majaczącą w oddali wieżyczką strażników. Pilnowanym przez żołnierzy z karabinami i psami, które ujadły chyba tylko dlatego, że było zimno. Nikt bowiem bez zezwolenia nie mógł opuścić wagonów, więc póki co nie miały przecież na kogo szczekać - może to po prostu lubiły. Hitlerowskie obozy z okresu II wojny zapewne wyglądały podobnie, przynajmniej, podczas złowrogiego powitania więźniów. Taka myśl chyba każdemu przysłała do głowy na ten widok. Ale spokojnie ... widocznie tak to ma właśnie wyglądać – pomyślał sobie.

W końcu Rosja to potężny kraj i niekwestionowane mocarstwo, a Polska jeszcze wtedy na szczęście była jego sojusznikiem. Z tego powodu oraz w związku z wychowaniem w socjalistycznym duchu młody człowiek nie miał żadnych uprzedzeń do Rosjan ani do samego ZSRR.

W towarzystwie rosyjskich celników i funkcjonariuszy służby granicznej oraz reklamowca z cyrku w roli tłumacza przeszedł przez cały skład. Kolejno sprawdzając wszystkie wozy przyczepy i pojazdy. Jako kierownik to on, miał klucze do wszystkich zamkniętych działek i samochodów. Przy świetle służbowych laterek Rosjanie przeglądali wszystkie zakamarki zaglądając wszędzie gdzie to było możliwe. Trochę się z tym schodziło, bo wcale nie było

łatwo odnaleźć odpowiedni klucz spośród kilkudziesięciu spiętych razem za pomocą drutu. Poza tym na każdy wagon trzeba było się wspiąć a potem z niego zejść, żeby po chwili wchodzić już na następny. Taka gimnastyka powodowała, że w ogóle nie odczuwali zimowego chłodu. Wręcz przeciwnie. Już po kilku wagonach i kierownik i reklamowiec porozpiнали kurtki.

Na koniec dotarli do działki kierownika. Z wejściem od frontu, oknem na bocznej ścianie wozu i małym okienkiem w drzwiach. Już tam na miejscu wóz ten miał dzielić z Ciotką, której działka z bocznym wejściem była z drugiej strony, ale dwukrotnie mniejsza. Była to starsza pani, która rzeczywiście była ciotką poprzedniego kierownika. Dlatego przyłgął do niej ten przydomek i wszyscy w cyrku tak do niej mówili. Jej zadaniem było pranie i prasowanie kostiumów, służbowych ubrań i uniformów obsługi. Ponadto prała też prywatne rzeczy dyrektora. Nie raz dopytywała się czy może coś przeprać też kierownikowi, ale on wołał swoje rzeczy prać sam. A że suszył je często w działce na rozwieszonym pod sufitem sznurku to Ciotka zapewne myślała, że może w ogóle ich nie pierze.

Normalnie w takim metrażu zakwaterowanych było po dwóch pracowników. Z racji zajmowanego stanowiska kierownikowi przysługiwał jak na cyrkowe warunki taki właśnie apartament. Poza nim na taki luksus mogli liczyć jedynie niektórzy artyści, muzycy, budowniczy i starszy kierowca. Dyrektor miał do swojej dyspozycji cały wóz z rozkładaną werandą i łazienką. Był on też znacznie większy od wszystkich pozostałych.

А это мой караван¹⁰ - bez większego przekonania powiedział zapraszając do środka.

Pomieszczenie o wymiarach około 2,5 na 4,5 metra rzeczywiście urządzone było całkiem nieźle czyli prawie jak w domu. Kuchenne szafki, szafa, stolik, lustro z kąpielką do mycia i wersalka, a na podłodze dywan. Mimo niewielkiej przestrzeni wygodne, a nawet przestronne biorąc pod uwagę metraż. Goście pokiwali głowami z zachwytem i wyszli. Dla formalności uchylił jedynie drzwi do szafki pod zlewem. Gdzie jak gdzie, ale tu nie wypadało im niczego szukać.

- Uff... już po wszystkim - pomyślał. Właśnie ta nieszcześna wersalka kryła jego największą tajemnicę podobnie jak spore pudło z ziemniakami stojące obok.

Inni przygotowali się jeszcze lepiej wioząc na handel poza gumami do żucia również ubrania czy kosmetyki. W trakcie sezonu miało się okazać, że dzięki właśnie takim przedsięwzięciom ludziom pewnego razu uda się rozwiązać poważny problem. Jednak i te parę tysięcy gum typu „Bolek i Lolek” jakie miał ukryte kierownik stanowiło dość pokaźny przemysł, a jednocześnie też szansę na niemały zysk. Tym razem miał całkowitą świadomość, że to co robi jest nielegalne i w przypadku wykrycia konsekwencje mogłyby być poważne. Kilka dni wcześniej jeszcze na bazie, pieczolowicie ukrył kilkadziesiąt dużych paczek z gumami, w oparciu wersalki jak i w podwójnym dnie pudła z ziemniakami. Dlatego podczas kontroli drżał ze strachu, że jakimś cudem

to się wyda. Mimo, że Rosjanie znali większość numerów związanych z przemysłem to kontrola w jego wozie była jedynie formalnością. Gdyby o tym wiedział wcześniej mógłby zabrać znacznie więcej towaru. Kilka dni przed wyjazdem, jeszcze na bazie we wszystkich wozach można było usłyszeć pukania i stukania. Wszyscy chowali przemycane towary. W ścianach, w meblach itp. Co prawda podczas kontroli Rosjanie mieli psa, ale chyba jedynie żeby wzbudzać większy respekt czyli dla postrachu. Poza tym nie mogli go przecież za każdym razem wsadzać na wagon i z powrotem zdejmować, bo było ich kilkadziesiąt. Zresztą konsekwencje wykrycia takiego przemytu jak się okazało polegały w zasadzie na konfiskacie przemycanego towaru. O czym przekonał się starszy kierowca.

W wyniku kontroli zarekwirowali mu dużą paczkę kilkudziesięciu „Donaldów”¹¹. Stało się tak dlatego, że zwiedziony rutyną tym razem poszedł na żywioł i pozostawił je praktycznie na wierzchu. Przykryte jedynie swetrem na dnie ubraniowej szafy. Nic więc dziwnego, że celnik przy kontroli, po otwarciu drzwiczek dla formalności zajrzał pod sweter. Nie miał zamiaru nic tam znaleźć, ale skoro tak wyszło to będzie miał do podziału z kolegami dla własnych dzieci. Nie była to wcale mała strata ponieważ gumy zakupione były w Pewexie¹² i w sumie nie były tanie. A strata możliwego zysku była jeszcze większa. Ale taka jest cena liczenia na łut szczęścia, albo rutyny która niewątpliwie mogła mieć miejsce przy trzecim już wyjeździe z cyrkiem do ZSRR.

- Drut...? Jaki drut? - Zapytał zdziwiony.

Chodziło o taki specjalnie wypalany, tak żeby był plastyczny a jednocześnie wytrzymały.

- Niech pan załatwi jakieś 8 ton. Potrzebny będzie nam później do kajłowania.

Drut...? Załatwić...? kajłowanie¹³...?

- O co to chodzi? Czy ja aby dobrze słyszę? - Próbował ogarnąć umysłem tę sytuację.

I tylko takie myśli przyszły mu właśnie do głowy. Podobnie jak i to, że przecież skoro wiadomo było, że będzie potrzebny to należało go zabrać z bazy tak jak wszystko inne. A nie teraz po nocy szukać wiatru w polu. Szybko okazało się jednak, że tu i teraz będzie znacznie taniej. No ale wymagać to będzie jego niewyrobionych jeszcze nowych umiejętności polegających na załatwianiu wszystkiego co tylko będzie w przyszłości potrzebne. A więc następna poważna próba i nowe doświadczenie.

- Dobrze panie dyrektorze. To idę załatwiać. - Powiedział bez przekonania.

Bez planu w głowie i pomysłu jak to zrobić oraz gdzie szukać i z kim rozmawiać. Wiadomo było jedynie, że na kolei na pewno drut jest i on ma go znaleźć oraz sprawić, aby jego odpowiednia ilość znalazła się na wagonie ich pociągu.

Na szczęście bez większego trudu odnalazł odpowiednią osobę w postaci starszego zmiany

⁹ Z niem. Rajzefiber – zdenerwowanie pojawiające się przed podróżą

¹⁰ Z ros. – czytaj – a eta mój karawan – a to jest mój cyrkowy wóz.

¹¹ Powszechna nazwa gum do żucia z tamtego okresu produkowanych na zachodzie.

¹² Pewex – sieć komercyjnych sklepów z okresu PRL, w których zagraniczne produkty kupowało się za obce waluty np. dolary.

¹³ Mocowanie cyrkowych wozów do transportu za pomocą klinów i drutu.

na tamtejszym towarowym dworcu, a raczej rampie i bocznicę. Póki co bardzo niedoskonałym rosyjskim dogadał się jakoś i przedstawił o co chodzi. Rosjanin okazał się być skory do pomocy. Sukces więc był bliski. A jego cena wydawała się stosunkowo niewielka. Otóż za 8 ton drutu w kilku wielkich zwojach miał dać zaledwie 8 butelek polskiej wódki. Po jednej za tonę. Nikt oczywiście nie wnikał czy kierownik ma wódkę na taki cel. I czy w ogóle ją ma? Miał jedynie to załatwić i tyle. A jak...? To już była wyłącznie jego sprawa. Przyzwyczajony przez lata do rozkazów, albo poleceń im równych nie pomyślał nawet, że mógłby tego zadania nie wykonać. Na szczęście w tę podróż zabrał, ze sobą prawie 30 butelek polskiej wódki. Jak to się mówi w Rosji:

- На всякий случай.¹⁴

Poszli więc do wozu gdzie gruby, ubrany w papachę, waciak i gumofilce szef rampy włożył sobie zapłatę za poły ubrania spiętego na zewnątrz paskiem.

- Подождите, у меня есть одно условие¹⁵.
- Powiedział.

Jedną butelkę wypijemy tu jako potwierdzenie dobrze ubitego interesu!

Jego zaczerwieniona od mrozu twarz zaczęła się uśmiechać jak gdyby był pewien, że to co teraz robią jest jak najbardziej normalne i konieczne. Nie pomogły żadne wykryty kierownika, że w ogóle nie pije, że jeszcze ma dużo pracy, że ma słabą głowę itd. Rosjanin gotów był w przypadku odmowy unieważnić umowę, a na to kierownik cyrku nie mógł sobie pozwolić. Jako gospodarz domu odkręcił więc butelkę Wyborowej i polegając na potocznej i obiegowej opinii, że Rosjanie piją szklankami nalał 2/3 szklanki podając grubemu uśmiechniętemu kolejarzowi. Opinie te jak się szybko przekonał były nie tyle błędne co niepełne. Otóż okazało się, że tu w Rosji pije się szklankami ale każdy sam sobie nalewa. Dlatego prawie pełną szklankę wódki przyszło nagle wypić komuś, kto jeszcze nie tak dawno prawie w ogóle nie brał alkoholu do ust. Ale wtedy nie było już odwrotu. Starając się trzymać fason jednym haustem wychylił szklankę zimnej jak lód gorzały. I już po dwóch kolejkach zagryzając polską suchą kiełbasą opróżnili butelkę, a następnie udali się na miejsce załadunku drutu. O dziwo podczas picia wydawało się, jakby to była woda i dopiero po kilku minutach wypita wódka dała znać o swoim działaniu. Gdy doszli na miejsce załadunek drutu dobiegał już końca.

A to numer - pomyślał kierownik.

To ten Rusek wiedział od początku jaki będzie finał tej transakcji. I od razu nakazał suwnicowemu załadować zwoje drutu. Gdyby kierownik bardziej się upierał to może nie musiałby wypijać tej ćwiartki wódki. Ale skąd mógł wtedy o tym wiedzieć? Po wymianie miłych słów, pozdrowień i uścisków z nowo poznanym другом¹⁶, kierownik poszedł zameldować o sukcesie Staremu, czyli dyrektorowi. Chwiał się już mocno na nogach i wybełkotał zaledwie.

- Panie dyrektorze, załatwiłem ten drut...

- To niech pan się teraz położy - jakby z troską, zadysponował dyrektor.

Co ciekawe, następnego dnia nie miał nawet kaca choć do takich ilości naraz nie był przyzwyczajony. Ale był to dopiero początek jego przygoda z wódką, a konsumpcja na wielką skalę miała się dopiero zacząć.

Czas płynął leniwie, a pociąg nadal stał i nie wiadomo było kiedy ruszy w drogę. Od rana nic się nie działo, a zbliżała się już 14:00. Tyle, że cyrk był już na rosyjskich wagonach, no i po ich stronie granicy. Nikt nie wiedział jak długo jeszcze i na co przyjdzie czekać. W końcu okazało się, że Rosjanie z nieznanym powodów nie podczepili jeszcze 3 ostatnich wagonów. Na jednym z nich była przyczepa kempingowa i Wołga Jurka zwanego Waciarzem. Ten przydomek został mu nadany z powodu cukrowej waty, którą kręcił i sprzedawał w trakcie spektakli. Na pozostałych dwóch wagonach był jeszcze jeden z magazynów i cyrkowy sprzęt.

Zniecierpliwiony dyrektor zawołał kierownika i wydał kolejne polecenie.

- Przecież nie będziemy tu stać do wieczora. Niech pan idzie i sprawdzi co się stało no i niech pan to załatwi.

Od tej chwili te słowa miały być już nieodłącznym elementem większości wydawanych poleceń dyrektora. Młody kierownik zachęcony wczorajszym sukcesem śmiało ruszył na poszukiwanie dyspozytorni, a w niej dyspozytora ruchu na węźle. Dworzec towarowy w Brześciu jest ogromny, a rozległe torowiska i rozjazdy wydawały się nie mieć końca. Mimo to zarówno dyspozytornia jak i dyspozytora udało się znaleźć bez trudu. Był to szczupły, wysoki mężczyzna o szczerym spojrzeniu. Bez wątplenia domyślał się w jakiej sprawie przybył do niego posłaniec z cyrku, który przez całą noc ładowali na ruskie wagony. Wyjaśniając więc na czym polega problem w przyjaznym geście pokazał niedwuznacznie, że chodzi o jedną, małą flaszkę polskiej wódki. Wszystko stało się jasne. Kierownik nawet ucieszył się, że w taki prosty sposób załatwi kolejną już sprawę. Jednak trzeba było wrócić do wozu i przynieść kolejną butelkę Wyborowej. Jak tak dalej pójdzie to mi się wódka skończy zanim jeszcze dojedziemy - pomyślał, zżwoło przemierzając ośnieżone torowiska.

Ciekawostką i nie małym zdziwieniem dla niego był fakt, że tu na torach pracowały głównie kobiety. Opatulone w waciaki w małych grupkach odśnieżały i smarowały liczne zwrotnice. Podobnie zresztą było na drogach, np. przy wylewaniu asfaltu. W Polsce kierownik nigdy nie widział kobiet tego typu pracach. I chyba nikomu coś takiego nie mieściłoby się w głowie. Warunek załatwienia sprawy był tym razem podobny - przyniesioną butelkę mieli rozpić tu i teraz. Sceneria dość ciekawa. W końcu nie często przychodzi pic wódkę z dyspozytorem ruchu, stojąc pośród sterowniczych szaf i pulpitych ogromnej nastawni kolejowej w Brześciu. Podczas konsumpcji, pod kolorowe cukierki podobne do naszych landrynek, dyspozytor wykonał jeden telefon i podszedł do okna mówiąc.

- Вот, и ваши вагоны¹⁷ - wskazując ręką i uśmiechając się.

Kierownik mało nie przetarł oczu ze zdziwienia - bo cała sprawa została załatwiona w ciągu 2 minut. A jeszcze niedawno wydawać by się mogło, że zaistniał jakiś poważny problem w związku, z którym wagony czekały na podczepienie do pociągu. I nikt nie miał na to wpływu. Teraz na jego oczach po dość oddalonym i jednym z wielu torze ogromnego węzła kolejowego niewielka lokomotywa pchała ostatnie 3 wagony składu w stronę cyrkowego pociągu.

W sumie było ich aż 75 i był to najdłuższy pociąg jakim do tej pory zdarzyło mu się jechać. Potem jeszcze przez wiele lat przy każdej okazji liczył wagony w pociągach towarowych w Polsce. Jednak zawsze nie było ich więcej niż 45. Najwyraźniej u nas są inne normy, które to regulują. Teraz odjazd pociągu był już tylko kwestią godziny może dwóch. Zaś cel podróży to niewielkie miasteczko w Uzbekistanie gdzieś daleko za Uralem, które nazywało się Chirchik.

A kraina ta położona w środkowej Azji już niedługo miała urzec młodego człowieka swą niepowtarzalnością, egzotyka i niespotykanym pięknem.

Prąd włączany był dwa razy na dobę, rano i wieczorem na 4 godziny. Służyły do tego potężne agregaty ustawione na wagonach obsługiwane przez dwóch elektryków. Zasilane prądem wozy były podłączone do nich na stałe kablami więc prąd był tak, jakby wozy stały gdzieś na placu. Czyli normalnie w gniazdkach. W tym czasie trzeba było szybko nagrząć w działce i przygotować coś do jedzenia czy też ewentualnie się umyć. Ponadto w każdej działce była butla z gazem i kuchenką. Poza kierownikiem i elektrykami, tym osobliwym pociągiem jechał dyrektor cyrku, wspomniany już Waciarz, reklamowiec, starszy kierowca, kierowcy oraz pracownicy techniczni. Ci ostatni mieli za zadanie okresowo na postojach podciągać druty za pomocą, których były przymocowane wozy. Do tego jeszcze kilka tresur wraz z pielęgniarzami do zwierząt.

Cała egzotyka tej wyprawy wynikała głównie z tego, że z założenia miała ona trwać co najmniej dwa tygodnie. Poza tym wszystko w ciągu tego czasu było w nieustannym ruchu drgając i podskakując w rytm stukających kół towarowych wagonów. A wagony towarowe są z założenia inaczej resorowane niż osobowe bo obliczone na znacznie większe obciążenie.

Wyjątkowość takiej podróży polegała na tym, że przez niemal 24 godziny na dobę wozy, w których mieszkali chwiłali się i podskakiwały dość mocno na oponach i resorach mimo, że były skrupowane grubym, skręconym drutem oraz specjalnymi klinami wbitymi pod kołami. Wewnątrz już w innym rytmie podskakiwały wszystkie meble i sprzęty. Do tego dochodził nieustanny huk pędzących na stalowych kołach wagonów.

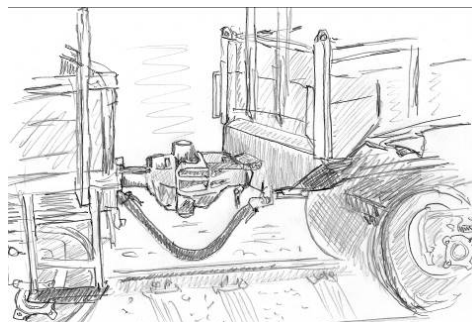
¹⁴ Z ros. - czytaj - Na всякий случай - na wszelki wypadek

¹⁵ Z ros. - czytaj - Подаждитe, у мienia jest adno uslowie - Poczekaj, mam jeszcze jeden warunek.

¹⁶ Z ros. - czytaj - другом - przyjacielem.

¹⁷ Z ros. - czytaj - вот и ваши вагоны - a oto i wasze wagony.

Najgorzej było nocą w czasie snu. Kiedy do tego wszystkiego dochodziło podskakiwanie leżącego na łóżku człowieka, a w nim już w innym, własnym rytmie podskakującego żołądka i innych organów wewnętrznych. Zapewne dla kogoś kto tego nigdy nie doświadczył będzie to dość trudne do wyobrażenia.



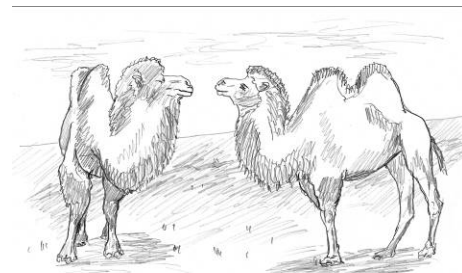
Połączenie rosyjskich wagonów towarowych.

Wszystkie te niekontrolowane ruchy potęgowane i wzmagane były pracą sztywnego zawieszenia rosyjskich wagonów. Które w dodatku w przeciwieństwie do polskich miały całkiem odmienny system amortyzacji połączeń. Nie stykały się bowiem ze sobą poprzez ruchome dwie pary buforów, ale były szczipione niemal na sztywno przez pojedyncze zaczepy. Coś na kształt dwóch gigantycznych stalowych dłoni odwróconych odwrotnie do siebie i zaczepionych zagiętymi palcami. Takie rozwiązanie przy tak długim składzie powodowało, że podczas ruszania pociągu ostatnie wagony w ułamku sekundy potrafiły przemieścić się o prawie metr. Było to wynikiem potężnego szepnięcia przez lokomotywę a następnie narastającej kumulacji luzu w zaczepach pomiędzy poszczególnymi wagonami. Na szczęście o tym fakcie zawsze ostrzegał przeraźliwy huk co pozwalało się przygotować i czegoś przytrzymać. Pociąg co jakiś czas zmieniał kierunek tak, że ci którzy teraz jechali na początku, następnego dnia mogli już jechać na końcu składu i doświadczać co trochę owych szarpnięć. Skład ciągnęły dwie ogromne lokomotywy spalinowe gdyż na całej trasie nie było trakcji elektrycznej. Tor zaś w znakomitej większości trasy był pojedynczy. Jedynie od czasu do czasu była mijanka składająca się z dwóch torów, które po pewnym odcinku łączyły się ponownie w jeden. Pociąg z cyrkiem był tak długi, że podczas mijania innych rosyjskich pociągów przejeżdżał powoli jedną stroną takiej mijanki podczas gdy mijany pociąg chował się na drugiej jejnite. I dopiero jak cyrkowy pociąg całkiem przejechał, ten drugi mógł jechać dalej. W przeciwnym razie był blokowany przez pozostałą część cyrkowego pociągu, która stała jeszcze przed mijanką.

Na domiar złego podczas podróży nie przystosowane do tego wozy cyrkowe po prostu przepuszczały do środka pędzące zimne powietrze poprzez swoje liczne nieszczelności. Tak, że po nocy zamarzała woda w wiaderkach czy innych pojemnikach. I nie pomagało doraźne uszczelnianie czym się dało (np. kocem) ścian, okien czy drzwi. Do snu zaś należało się ubrać jak na bieguna północny i spać w czapce, swetrze oraz dwóch parach ciepłych skarpet, przykrytym na głowę dwiema kołdrami i kocem. Konstrukcja wozów cyrkowych zakładała bowiem, że użytkowane one będą jedynie w se-

zonie, czyli od wiosny do jesieni a nie zimą. Poza tym normalnie nigdy nie pędziły z takimi prędkościami jak teraz.

W takich oto warunkach przyszło tym wybrańcom losu podróżować przez dwa tygodnie non-stop praktycznie z nielicznymi tylko i krótkimi postojami. Pozostała część pracowników cyrku miała przylecieć na miejsce za 3 tygodnie samolotem do Taszkientu. Byli to głównie artyści, oraz pozostała część administracji i technicznej obsługi cyrku. Czym dalej jednak na południowy wschód tym stopniowo robiło się nieznacznie cieplej. Tak, że w końcu któregoś dnia oczom podróżujących ukazały się stada baktrianów, czyli dwugabnych wielbłądów pasących się na bezkresnych stepach Kazachstanu i Uzbekistanu. Można je było z przyjemnością i zachwytem podziwiać z okien swoich wozów do woli. Była to bowiem jedna z niewielu rozrywek podczas tej podróży.



Baktriany.

Od czasu do czasu w oddali można było dostrzec ogromnego stepowego orła, którego rozpiętość skrzydeł dochodzi prawie do 2 metrów. Kiedy indziej dało się zaobserwować rodzinę stepowych lisów. Zdarzało się, że po stepowej równinie przemierzał jakiś jeździec na charakterystycznym niedużym koniu. Badania dowodzą, że ich udomowienie w tym rejonie miało miejsce ponad 5000 lat temu.

Byli to myśliwi, którzy polowali ze specjalnie przygotowywanymi do polowań orłami właśnie na lisy. Takiego ptaka wybierano z gniazda kiedy jeszcze był bardzo młody i osławiano wykorzystując potem jego naturalne zdolności łowieckie do polowań.

Częściej można było zobaczyć stada owiec, czy kóz pilnowanych przez pasterzy, a w niedalekiej okolicy zazwyczaj znajdowały się charakterystyczne dla Azji okrągłe namioty zwane jurtami. Wejścia do owych namiotów w tych stronach były zawsze skierowane na wschód.

Ogromna przestrzeń i stepowy krajobraz mogły zachwycać swoją niecodziennością ludzi ze środka Europy, którzy do tej pory nie mieli okazji doświadczyć takiego ogromu przestrzeni. Zapewne podobny zachwyt towarzyszy ludziom, którzy po raz pierwszy zobaczyli morze. Dodatkową osobliwą atrakcją były nieliczne miejscowości i ich egzotyczna architektura oraz wspomniane już stada zwierząt. W pobliżu tych miejscowości najczęściej gdzieś na wzgórzach rozciągały się nieduże cmentarze składające się zazwyczaj z kilkunastu grobowców. Czasem było ich tylko kilka. Były one nie mniej charakterystyczne i ciekawe od pozostałej architektury. Wykonane z rudoczerwonej cegły wyglądały jak małe pałace czy meczety często z wieżyczkami i zdobieniami. Z daleka wyglądało to jak małe dziwne miasteczko. Podziwianie tego wszystkiego by-



Myśliwy z orłem.

ło ułatwione dzięki temu, że pociąg towarowy składający się z tak wielu wagonów nie pędził z jakąś zawrotną prędkością. A raczej toczył się w równym tempie ok. 50 km/h. - Szkoda, że nie mam aparatu – często myślał kierownik z zalem.

Podobnie tak jak wtedy kiedy za oknami wśród bezkresnych stepów rozciągały się białe niczym pokryte śniegiem obszary. Trudno uwierzyć, ale w tym rejonie jakby z ziemi na wierzch wychodziła prawdziwa sól. W tak dużych ilościach, że można by ją zbierać łopatami do wiader. I trzeba przyznać, że jest to niezwykle widok. W rzeczywistości była to pozostałość po niegdyś olbrzymim i słonym Jeziorze Aralskim, położonym na granicy Kazachstanu i Uzbekistanu. Niestety z biegiem czasu jezioro niemal doszczętnie wyschło wskutek zaborczej gospodarki ZSRR. Tak intensywnie nawadniano pola bawełny, że jezioro zaczęło wysychać, a w końcu zabrakło w nim wody. W jego miejscu powstała swoista pustynia pokryta grubą warstwą soli. Jednak tej soli nikt nie zbierał gdyż zawierała ona mnóstwo szkodliwych substancji, które przez lata spływały do jeziora z intensywnie nawożonych chemicznie pól. A po latach badania wykazały, że substancje te są tak szkodliwe, iż spowodowały poważny wzrost zachorowań miejscowej ludności.

Innym równie ciekawym i niesamowitym widokiem były szyby naftowe, które w małych grupkach można było spotkać wprost na rozległym stepie. Dziwny był to widok a niektóre nawet pracowały. Jednak wokół nich nie było ani żadnych zabudowań ani też żadnych ludzi. Dość wielka z pozoru prosta maszyna na pustkowiu, która porusza się mimo, że w pobliżu ani śladu życia. Jak działa taki szyb kierownik nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że służy do wydobywania ropy bo nie raz widział coś takiego w telewizji. Rejony te były bogate nie tylko w złoża ropy ale i gazu. Zresztą cały ZSRR to nieprzebrane bogactwo wszelakich naturalnych zasobów surowców i w tym zakresie był to całkowicie samowystarczalny kraj. Jak działa taki szyb? Otóż prosta konstrukcja zapewnia też prosty sposób działania. W wywierconym uprzednio szybie umieszcza się pompę z zespołem zwrotnych zaworów napędzaną za pośrednictwem specjalnego napędowego pręta, który na górze zamocowany jest do głowicy. Jest to ta część przypominająca olbrzymi młot. Głowica zaś poruszana jest za pomocą specjalnie połączonych ramion z przeciwwagą napędzanych silnikiem. Wydobyta w ten sposób ropa kierowana jest rurociągiem do zbiornika, który może być położony daleko od miejsca wydobywania gdyż pracująca pompa wytwarza dość spore ciśnienie. Tak właśnie pracowały szyby naftowe w Kazachstanie.

Mimo, iż z daleka nie było widać dokładnie ani rurociągów ani elektrycznej trakcji do zasilania silników. Jednak wyglądało to niesamowicie kiedy na pustkowiach dzień i noc poruszały się maszyny bez żadnego nadzoru jakby same z siebie. A jeśli chodzi o szyby naftowe w ogóle to najciekawsze jest to, że najstarszy znany na świecie, powstał w Polsce w roku 1852.



Szyb na stepach Kazachstanu.

Pewnego dnia mimo ciągłego huku pędzącego pociągu, nagle dało się słyszeć wyraźne wystrzały. Okazało się, że ktoś ostrzelał pociąg. Niektórzy potem nawet twierdzili, że widzieli wylaniającego się z wysokich traw człowieka trzymającego karabin i mierzącego do pociągu. Ale nie wiadomo do końca, czy była to prawda czy tylko ich fantazja. Zaraz na najbliższej stacji skład się zatrzymał, a przybyła na miejsce Milicja prowadziła coś w rodzaju dochodzenia. Przepytano więc tych, którzy mieli coś w tej sprawie do powiedzenia i przeprowadzono oględziny składu. Bardziej jednak chodziło o formalności, bo przecież zaatakowano polski transport, który teraz będąc na terenie ZSRR był pod specjalnym nadzorem. Szans na ujęcie sprawców raczej nie było żadnych, bo w tym rejonie posiadanie broni było powszechne. Ale pozory sprawowanej ochrony gości były zachowane. Oczywiście wystąpiło też realne zagrożenie, z którego jednak nie każdy zdawał sobie sprawę. W przeciwnym razie Rosjanie by aż tak nie panikowali. Postanowiono jednak tego zbyt nie nagłaśniać, żeby nie wywoływać zbędnej paniki. Po dokładnych oględzinach okazało się, że wyraźne ślady po kulach są między innymi na autobusie, a w tym wybite dwie szyby. Oraz na antychy cyrkowych wozach. Co byłoby gdyby napastnik trafił w okno przez, które właśnie podziwiał okolice któryś z jadących pociągiem ludzi? O tym lepiej było nawet nie myśleć.

Jednak od tej pory kierownik już nie tak chętnie godzinami gapił się w okno. Przeglądał papiery, dokumenty i porządkował dotychczas zdobytą wiedzę przygotowując się do nowych obowiązków. Ćwiczył też pisanie na maszynie, z którą dotychczas nie miał styczności, a jako pracownik biurowy był w takową wyposażony. Tak był tym pochłonięty, że już wtedy nie miał za bardzo czasu na rozmyślanie o domu. Zresztą od wyjazdu minęło zaledwie kilka dni.

Czas podróży dodatkowo umilano sobie wspólnymi biesiadami suto zakrapianymi alkoholem, którego każdy zabrał ze sobą spory zapas. Dzięki temu czas szybciej mijał, było ciepłej, a i głowa się cieszyła. Wymagało to jednak nie lada sprawności fizycznej, gdyż w celu odwiedzin innego członka wyprawy trzeba było przejść często przez kilka pędzących wa-

gonów. A w rzeczywistości nie wygląda to wcale tak gładko jak pokazują na filmach, kiedy to super bohater sprawnie przeskakuje z wagonu na wagon. Na szczęście do starszego kierowcy kierownik miał wyjątkowo blisko. Ponieważ jego wóz jechał na sąsiednim wagonie. Ładując cyrk specjalnie o to zadbano. A z nikim innym póki co kierownik nie był na takiej stopie, aby razem pić wódkę. Nasz młody bohater już wtedy miał żelazną zasadę, że wódki nie pije się z byle kim. I tak mijały kolejne dni podróży.

Czasami pociąg zatrzymywał się. Jednak nigdy nie było wiadomo czy za chwilę nie ruszy. Mimo to kiedy stał dość długo zachęcało to podróżnych do wycieczek do bardziej odległych wagonów. Czasem nawet do sklepu kiedy pociąg zatrzymywał się w obrębie jakiejś małej stacji. Jednak najczęściej postoje były w szczerym polu. Tak było też wtedy kiedy podczas jednego z takich postojów kierownik usłyszał głos dyrektora, który zszedł ze swojego wagonu i przyszedł aby zaprosić go na obiad.

– Panie kierowniku – zawołał Stary, uśmiechając się nieznacznie. – Może wpadłby pan do nas na obiad? Posiedzimy, pogadamy...

Zaskoczony kierownik oczywiście chciał się jakoś wykręcić, bo ani nie był na to przygotowany ani nie miał ochoty na wspólną gościnę. Czyli z dyrektorem i jego przyjaciółmi. Jednak nie wypadało odmówić więc tylko zapytał...

– A czy mogę wziąć ze sobą starszego kierowcę? – co prawda zabrzmiało to na pewno głupio, ale trudno.

Czułby się wtedy bardziej pewnie. Stary odpowiedział, że oczywiście i że w takim razie czekają. Czekają, ponieważ jechał wraz z pracownikiem od reklamy, czyli reklamowcem i Jurkiem zwanym Waciarzem. Ci trzej znali się już od dawna i w tym też składzie byli w Rosji w poprzednim sezonie, a że dyrektor miał wóz składający się z kilku pomieszczeń to podróżowali razem. Chyba nie bez znaczenia był też fakt, że wszyscy oni byli zdeklarowanymi homoseksualistami. Przynajmniej taka panowała opinia. Kierownik w ogóle nie czuł się jeszcze zbyt pewnie w towarzystwie dyrektora bo znał go zaledwie od dwóch miesięcy i to jedynie na gruncie służbowym. A tu nagle prywatny obiad. W dodatku w takim towarzystwie. Dwóch pozostałych podróżnych nie znał w zasadzie w ogóle. Więc taka wizyta na prywatnym gruncie nie była dla niego delikatnie mówiąc zbyt komfortowa. Mało tego z wiadomych względów się jej po prostu obawiał. Tym bardziej, że nie raz znajomi na bazie niby to żartem mówili żeby uważał tam na miejscu, bo nigdy nic nie wiadomo. Wcześniej nie miał do czynienia z ludźmi kochającymi inaczej, więc strach i niepokój przed taką wizytą był raczej uzasadniony. Dlatego wstąpił po starszego kierowcę, którego sam wprosił do dyrektora. Czuł, że to nie było zbyt grzeczne, czy eleganckie, ale wolał to, niż wspólny obiad z trójką pedałów. Jednak tamten nie miał ani ochoty ani zamiaru mu towarzyszyć. Tłumaczył się bólem głowy, a poza tym faktem, że tak naprawdę Stary zaprosił tylko kierownika – co niestety było prawdą.

– Ja tam nigdzie nie idę, ale ty to co innego – przekonywał.

– Ty to musisz, bo w końcu jesteś kierownikiem – a zabrzmiało to dość złośliwie.

Wyglądało na to, że starszy kierowca ma niezły ubaw widząc przerażenie na twarzy młodego człowieka. Sam nie raz powtarzał:

– Mnie to nikt nie ruszy, bo jestem za stary, ale ty to lepiej uważaj.

Czas mijał więc chcąc nie chcąc kierownik niechętnie udał się do oddalonego o kilka wagonów wozu, Starego.

Urządzona ze smakiem działka była dość przestronna, a jednocześnie przytulna. Wóz dyrektora był dwa razy dłuższy od normalnej działki. Na podłogach dywany, meble i duże okna sprawiały, że można było poczuć się jak w normalnym domu, a nie w cyrkowym wozie. Kierownik usiadł obok reklamowca na kanapie, a na dwóch fotelach Jurek i Stary. Po jakiś kilkunastu minutach pociąg ruszył. No cóż, można było się tego spodziewać, że nie będzie stał tam wiecznie. Jednak ten fakt mimo miłej atmosfery spowodował, że kierownika przeszedł dreszcz, a na ciele wystąpił zimny pot. Co będzie pomyślał jeśli następny przystanek wypadnie dopiero jutro? Ta myśl nie dawał mu spokoju już do końca. Nie miał bowiem ochoty na nocleg u Starego wraz z jego przyjaciółmi. Sam obiad był dość smaczny. Widać było któryś z nich umiał całkiem niezłe gotować. Jedną z potraw był strogonow¹⁸. Przygotowany w iście mistrzowski sposób. I tak też podany. Potem deser i kawa. W trakcie, towarzyskiej rozmowy o wszystkim i o niczym. Czas mijał a pociąg nadal jechał.

Było już dobrze po 18:00 i kierownik czuł, że ta wizyta trwa stanowczo zbyt długo. Wtedy Waciarz zaproponował, że włączy film na wideo. Towarzystwo się ożywiło. Tym filmem okazał się być anglojęzyczny pornol. Oczywiście nikt nie był zaskoczony tym faktem poza kierownikiem, który kolejny raz oblał się zimnym potem. Bo taki obrót sprawy w ogóle nie mieścił się w ramach wąskiego jeszcze światopoglądu młodego człowieka. Choć mówiąc o wieku należy dodać, że reklamowiec był raptem starszy od niego o 4 lata. W czasie projekcji podano drinki i kanapki z kawiozem, a Waciarz tłumaczył nieliczne kwestie z filmu.

Kierownik jeszcze bardziej niż wcześniej czuł się nieswojo, jakby miejsce, na którym siedział było rozgrzane do czerwoności. Co tu robić myślał w duchu? Ale szansy, aby stamtąd wyjść nie było żadnej. Jego wóz był oddalony o kilka wagonów pędzącego pociągu, a za oknem zrobiło się ciemno. Sytuacja stawała się coraz bardziej nieciekawa. Zaś wizja spędzenia tam nocy stawał się coraz bardziej realna. Wciąż szczerze żałował, że przyjął zaproszenie i przysięgał sobie, że to pierwszy i ostatni raz.

Nagle gdzieś po półgodzinnym oglądaniu filmu wszyscy usłyszeli charakterystyczny pisk hamulców, a zaraz po nim huk hamujących wagonów. Pociąg wreszcie zatrzymał się. Kierownik o mało nie podskoczył z radości. Jednak nie dał nic po sobie poznać.

– To ja już chyba panów pożegnaj – niby to od niechcenia powiedział. Jednak w środku czuł się jakby wygrał los na loterii. Dyrektor oczywiście namawiał go żeby jeszcze został, twierdząc że przecież jeszcze nie jest tak póź-

¹⁸ Polędwica krajana w długie i wąskie paski, smażona z cebulą i pieczarkami. Nazwa dana od nazwiska rosyjskiego dowódcy wojskowego i polityka z czasów napoleońskich, Pawła Stroganowa.

no. Zachęcał też mówiąc, że mają jeszcze kilka filmów. Jednak wtedy nic nie mogło zatrzymać kierownika. Pożegnał się więc, zeskoczył z wagonu i szybko udał się w kierunku swojej działki. Pociąg mógł ruszyć w każdej chwili. Była 18:55 gdy wszedł do środka. Po chwili, pociąg ruszył w dalszą drogę, a za 2 godziny wyłączali prąd.

* * *

Podczas jednego z kolejnych postojów ok. 6 nad ranem rozległo się donośne walenie w ścianę wozu, a przy tym jakieś okrzyki po rosyjsku. Zdziwiony i zaspany kierownik wyjrzał przez szybę okna. Okazało się, że to kontrola weterynaryjna. Okresowo bowiem sprawdzano stan i sposób przewożenia cyrkowych zwierząt. Zazwyczaj była to formalność i sprowadzała się do podpisania kilku dokumentów. Zazwyczaj też zajmowali się tym opiekunowie zwierząt i rzadko angażowano przy tym kierownika. Zwierzęta zaś były pod stałą i dobrą opieką pielęgniarzy. Tym razem jednak weterynarz a po rosyjsku ветврач¹⁹ upierał się aby naocznie skontrolować tresurę Niemca, czyli tygrysy i niedźwiedzie.

Żadne uzasadniania czy przekonywania nie pomagały. Tłumaczenie, że to przecież treser z Niemiec i fakt, że to polski cyrk nie miały dla niskiego, okrągłego człowieczka z papierową teczką w ręce, żadnego znaczenia. Prawdopodobnie te fakty były dla niego taką samą abstrakcją jak gwiazdy na niebie, do których podobne były jego czarne błyszczące z ciekawości oczy. Należy też dodać, że w tamtych rejonach bardziej niż gdzie indziej w Rosji, jakkolwiek funkcja dawała pełniacę ją osobie przerośnięte poczucie władzy. I nawet zwykły cieć podkreślał, że on tu jest gospodarzem więc jeśli tylko cokolwiek od niego zależało z niemalą satysfakcją dawał temu wyraz. Dlatego skośnooki Uzbek tak się uparł, że trzeba było obudzić Niemca, który na pewno z tego powodu nie będzie zadowolony. I owszem Niemiec bez żadnych ogródek zaczął grzmieć w swoim ojczystym języku narzekając na całą sytuację. Miało to na celu wystraszenie weterynarza i po części przyniosło taki efekt. Jednak jego ciekawość była o wiele silniejsza od strachu. I nadal nie miał zamiaru odpuścić. Okazało się, że w życiu nie widział tygrysów, a to była jedyna taka okazja. A w Azji tygrys to jakby pewien symbol podobnie jak u nas wilk. Niewiele go widziało, ale każdy wie, że żyje w naszym kraju. I z tak błahego powodu treser zamiast smacznie spać przytulony do młodej żony musiał wstać i przeszkakiwać z wagonu na wagon. Niemiec mógł otworzyć boczne klapy, a wtedy weterynarz nie musiałby nawet podchodzić do wagonu, ale nie... Specjalnie otworzył małe drzwiczki od frontu wozu. Otwierały się one tak, że trzeba było wejść na wagon i obejść je z drugiej strony. Inaczej nic nie było widać. Niemiec wiedział co robi... Uzbek jakby się wystraszył.

– Czy one na pewno są za kratami? – zapytał z lekkim przerażeniem.

– A po co? – niby to ze zdziwieniem odrzekł Niemiec.

I z nieskrywaną satysfakcją zaczął poganiać ciekawskiego wietwacza do wejścia na wagon. Z wymownym gestem powtarzał kommt,



Tygrys w cyrkowej klatce.

kommt mensch²⁰, czyli chodź, chodź człowieku, wskazując drogę.

Niewątpliwymi strach nie przemógł jednak nieodpartej ludzkiej ciekawości i z drżącymi nogami weterynarz wgramolił się, aby zobaczyć to czego być może już nigdy w życiu nie zobaczy. Na szczęście dla niego tygrysy były oczywiście w klatkach. On zaś otworzył usta z wrażeń i powiedział:

– Ooo! тигры!²¹...

Jego oczy jakby na te chwile przestały być skośne i zrobiły się okrągłe jak 5 złotych.

Wkrótce potem dziękując, z wyraźnym zadowolaniem i ulgą, że zwierzęta były jednak dobrze zamknięte podpisał niezbędny protokół i oddalił się. A kierownik tylko uśmiechnął się porozumiewawczo do tresera i wrócił do siebie.

* * *

W planowanym czasie czyli po dwóch tygodniach od wyjazdu dotarli wreszcie na miejsce. Niewielka bocznicą kolejowa w miasteczku Chirchik w Ташкентской области²². Dlaczego tam? Bo w Taszkencie na zimę pozostawiono część cyrku i niektóre zwierzęta, których nie opłacało się transportować do kraju, a potem z powrotem tutaj. Jednym z takich zwierząt była słonica Sumatra i tresura Cwietanowa składająca się między innymi z różnego rodzaju koniowatych, małp i psów.

W końcu znaleźli się ponad 4 tysiące kilometrów o domu z różnicą w czasie ponad 4 godziny. Wtedy była tam 23:20, a w Polsce jego 5 letnia córeczka dopiero skończyła oglądać dobranockę i szykowała się do snu. Jednak kierownik o tym nie myślał. Przemieszczał się po placu rozładunkowym w nadziei, że może choć w części pojmie co się tu dzieje i że jego skromna osoba może jednak się na coś przydać. Musiał głupio wyglądać z tym parasolem podczas gdy wszyscy inni uwijali się jak w ukropie przy rozładunku pociągu, taplając w błocie i ociekając strugami rzęskiego deszczu. Mimo to chociażby z obowiązku musiał tam być i nadzorować prace, o których póki co nie miał jeszcze bladego pojęcia. Na szczęście dla niego, wszystko działo się jakby samo.

²⁰ Z niem. – czytaj - kom, kom mensz

²¹ Z ros. – czytaj - тигры - tygrysy.

²² Z ros. – czytaj – Taszkienkaja oblast – Taszkiencki rejon.

Warkot traktorów ściągających kolejno wozy z wagonów, ludzie pracujący przy wyładunku i podjeżdżające wciąż Jelcze, które przewoziły przyczepy dalej – to właśnie był rozładunek po przerzucie pociągiem. A nie był to jedyny taki przerzut jaki ich czekał. Wielki plac w całości wypełniony z pozoru bezładnym ruchem i pracą ludzi i maszyn.

Wszystko to w ciemnościach rozświetlanych reflektorami pojazdów i dwiema latarniami, które mizernym światłem oświetlały rampę. Zimno, deszcz i wszechobecne spaliny z ciężarówek i traktorów. To wszystko mogło przypisać nie jednego o zawroty głowy. Gdyby to było w kraju to może przeszła by mu myśl, żeby przed tym wszystkim uciec. Ale nie tam i nie wtedy. Wyczerpany tą stresującą sytuacją i mimo, iż niewiele robił, potwornie zmęczony postanowił w końcu udać się do swojej działki. Która jako jedna z pierwszych zjechała z pociągu. Warkot pracujących traktorów wcale nie umilkł, a ludzie nadal biegali po placu ciągnąc liny, podczepiając i przepychając kolejne wozy cyrkowe i przyczepy. Czuł jednak, że mimo wszystko nie da rady i musi się choć na chwilę zdrzemnąć. Poza tym i tak nie miał żadnego wpływu na to co się dzieje i niewiele z tego jeszcze rozumiał. Był tam po prostu zbędny i cały rozładunek odbywał się w zasadzie bez jego udziału. Rzucił się więc w ubraniu na łóżko i po chwili zasnął. Była wtedy 4 nad ranem, a prawdziwa przygoda miała się zacząć dopiero od jutra.

Następnego dnia ok. godziny 11 jako ostatni zjechał z placu rozładunkowego do miejsca stacjonowania cyrku. Tak już miało być zawsze, że to on jedzie ostatnim kursem. Miał wtedy pewność, że wszyscy bez przeszkód opuścili dotychczasowe miejsce postoju. Poza tym mógł przypilnować, aby wozy opuszczały plac w odpowiedniej kolejności. Jadąc przez wąskie uliczki wśród niskiej zabudowy mijali sklepy, a wśród nich taki z napisem Книги.²³ Słońce już całkiem nieźle przygrzewało, choć nadal powietrze było dość ostre. Poprosił kierowcę aby się zatrzymał.

– Skoczę tylko na chwilę do księgarni – powiedział.

Koniecznien i jak najszybciej chciał mieć kontakt z nową intrygującą go rzeczywistością i kulturą Azji. I już teraz nadarzał się ku temu okazja. Przebrany za suche ubrania już nie czuł zmęczenia, mimo że spał zaledwie 2 godziny. Inni przecież nie spali w ogóle. Auto stało na skarpie, a niżej znajdował się wspomniany sklep. Trzeba było przejść naokoło, gdyż z góry skarpa wydawała się dość stroma. Księgarnia taka jak w Polsce, książki, pocztówki, płyty gramofonowe. W sumie nic ciekawego. Tym bardziej, że wszystko po rosyjsku. Nawet nie wiedział o co zapytać, ani co chciałby kupić. Rozglądał się więc ciekawie wokół i cieszył się, że tu w ogóle jest.

– Przecież nie kupię sobie ruskich książek – pomyślał, ale może chociaż jakąś płytę na pamiętkę...

Niezbym poprawnym jeszcze rosyjskim zapytał więc o jakąś dobrą muzykę. Zapewne z racji tego, że był иностранцем jedna z ekspedientek po krótkiej konsultacji z koleżanką wyjęła spod

²³ Z ros. – czytaj – книги – książki.

lady płyte zespołu „Ласковый май”²⁴. Ten zespół z piosenką „Белые розы”²⁵, był w tym czasie modny również w Polsce. Trochę zdziwił się, że gdzie jak gdzie, ale tu w Rosji taka płyta jest chowana pod ladą, ale później okazało się, że takie praktyki to norma. Wszystko co stanowiło jakakolwiek wartość, na którą był jakimkolwiek popyt było chowane pod ladą. Kierownik kupił też płytę Krisa Rea i Pitera Gabriela. W tamtym czasie niewiele wiedział o ich twórczości. Ale potem okazało się, że propozycja ekspedientki była bardzo dobrym wyborem. Czyli pierwsze zakupy się udały – pomyślał i zadowolony raźnie ruszył z powrotem. Niesiony tym dobrym humorem jak na skrzydłach postanowił zwinnym skokiem pokonać niewielki rowek dzielący skarpe drogi i chodnik przy sklepie. Zamiast obchodzić go naokoło. Ow rowek to powszechny tam rynsztok, którym zazwyczaj płynęły ścieki, a teraz również woda z wczorajszej ulewy. Ziemia po zimie i deszczu była tak rozmoczona, że czarna glinianą nawierzchnia nie zapewniała odpowiedniego podparcia dla stopy przy skoku i kierownik wpadł do wody mocząc prawą nogę, aż do kolana. Swoją drogą nie przypuszczał, że może być tam aż tak głęboko.

– No tak... to wracamy - powiedział kierowca nie mogąc powstrzymać śmiechu.

Tym samym cały plan godnego wkroczenia na teren cyrku legł w gruzach. Nieszczęsny skoczek kazał zatrzymać auto przy samych drzwiach działki, gdzie natychmiast się przebrał, a brudne wysychającym już szlaniem spodnie rzucił ze złością w kąt za szafę. Podobnych sytuacji było później znacznie więcej, a jedna z nich już w następnym mieście. Kiedy to wystrojony w nowe szare, sztruksowe spodnie próbował przejść po rozłożonych deskach na wszechobecnym żółtawym błocie. Jedna z desek podskoczyła i pokaźną strugą błota ochlapała nowe spodnie od góry do dołu.

W takim tempie zabraknie mi ubrań już po tygodniu – pomyślał, zły sam na siebie.

Parę chwil wcześniej podszedł do niego jeden z miejscowych gapiów. Miejscowy, ale nie był to rdzenny mieszkaniec Uzbekistanu. Był to raczej Rosjanin, który tam po prostu z jakiegoś powodu mieszkał. Przyjazd cyrku był na tyle niezwykłym wydarzeniem, że kręcących się po terenie cyrku ciekawskich było wielu. A naród tam bardzo wścibski i nie respektujący za bardzo żadnych zakazów wstępu. Które w rosyjskim języku były umieszczone w widocznym miejscu. Działo się tak szczególnie wtedy kiedy kierowcy nie zdążyli postawić jeszcze ogrodzenia. Którym zazwyczaj cały teren cyrku był ogrodzony. Po chwili rozmowy w potoku pytań padło jedno, które bardziej niż inne zaskoczyło kierownika. Mianowicie niewiele starszy człowiek zapytał:

– A dlaczego ty jesteś w takich słabych spodniach? - i miał tu na myśli zapewne fakt, że w jego ocenie nie były ani modne ani specjalnie ładne. Bo przecież wtedy jeszcze były czyste.

Poza tym sztruksowy gruby materiał być może nie był dla niego niczym godnym uwagi ani też zachwyty. Owszem nie wyróżniały się szczególnie ani krojem ani kolorem, ale prze-

cież i tak nikt tu lepszych nie nosił. Po chwili jednak okazało się, że Rosjanin oczekiwał od иностранца z dalekiego kraju i z Europy, że powinien on być w wycieruchach, które tu jak 20 lat temu w Polsce były synonimem mody, zamożności i dobrobytu. Ale tu i tak znali jedynie wycieruchy rodzimej produkcji o fioletowym zabarwieniu i niskiej jakości, których zdobycie mimo to wcale nie było łatwe. Więc cóż można było odpowiedzieć na takie pytanie poza stwierdzeniem.

– Oczywiście, że mam dzinsy i to nie jedne, ale teraz założyłem te - i tyle.

Kolejne pytanie jeszcze bardziej zaskoczyły kierownika.

– A czemu wy Polacy nie lubicie nas Rosjan?

Na tak postawione pytanie nie było w głowie kierownika żadnej prostej odpowiedzi. Bo przecież on być może jako jeden z nielicznych właśnie do Rosjan i Rosji nic nie miał. Mało tego, darzył ich sympatią i szacunkiem. Mógł co prawda wspomnieć chociażby o Katyniu, czy innych grzechach jakie przez lata nagromadziły się na koncie tego kraju czy narodu, ale jaki to by miało teraz sens? Ten Rusek i tak by w to wszystko nie uwierzył, a na tłumaczenie co i jak, szczególnie w takich okolicznościach nie było miejsca. Kierownik oczywiście zdementował zarzut postawiony wszystkim Polakom zapewniając, że nie jest to prawda. Ale na dalszą rozmowę nie miał już ani ochoty, ani czasu. Pożegnał więc rozmówcę i po rozłożonych deskach udał się na drugą stronę cyrkowego placu.

* * *

Po przyjeździe do Czimkientu, ponad 500 tysięcznego miasta na granicy Uzbekistanu z Kazachstanem zaraz następnego dnia spadł śnieg. Dla miejscowych było to wyjątkowo niezwykle zjawisko, gdyż nie widzieli tam śniegu co najmniej od kilkunastu lat. Oczywiście zaraz się on roztopił ale pozostawił po sobie nieprzebyte błoto sięgające do kostek (a miejscami prawie do kolan) na całym niemal placu cyrkowym. Ludzie jak zawsze w takich przypadkach przechodzili po rozłożonych deskach, a pojazdy co chwila grzęzły. Na domiar złego ciemna miejscowa ludność te nagłe opady śniegu uznała za zły znak i że jest to wina przybyszów. Zaczęło więc narastać wzburzenie społeczne prowadzące w prostej drodze do linczu. Zaczepki, przepychanki i rzucane kamienie stały się normalną praktyką w stosunku do cyrkowców. A że nie były to żarty świadczyć mogły podjęte później kroki przez rosyjską administrację cyrku.

A był to dość dziwny twór, ale niezbędny. Otóż w polskim cyrku, który teraz dla potrzeb propagandy, czy też reklamy nazywał się „Warszawa”, funkcjonowała podwójna administracja. Ze strony polskiej cyrkiem zarządzał dyrektor wraz z kierownikiem administracyjnym i kierowniczką finansową. Natomiast Rosjanie mieli swojego dyrektora, księgową, kasjerki i dwie dziewczyny w roli administratorów do pomocy. Czyli Tatianę i Walę. Ze swej strony załatwiali wszelkie sprawy formalne jak np. przydział i podłączenie telefonów. Czyli takie, których nikt inny nie byłby w stanie załatwić. Do takich trudnych do załatwienia spraw należały też Kamazy, wypożyczane z różnych przedsiębiorstw do pomocy przy przerzutach jak również ochrona milicji, czy nawet wojska w razie takiej potrzeby.

Tak właśnie było i tym razem. W celu ochrony cyrku sprowadzono 13 radzieckich opancerzonych wozów bojowych, które do czasu ustania zamieszek otaczały cyrk. Taka demonstracja siły to dla miejscowych, aż nadto wyraźny sygnał żeby odstąpić od planowanej zemsty za domniemane sprowadzenie śniegu na tę szczęśliwą skądinąd krainę. Tłum nadal gromadził się wokół cyrku, ale po dwóch dniach wojsko mogło już odjechać. W tym czasie strona rosyjska prowadziła rozmowy ze starszyzną, która miała zasadniczy wpływ na poczynania miejscowej ludności. I w końcu udało się zażegnać społeczne niepokoje.

Mimo takich problemów rosyjski dyrektor Aleksiejew wydawał się być bardzo pogodnym i beztrudnym człowiekiem. Wysoki i gruby, łysejący mężczyzna przechadzał się zazwyczaj z założonymi z tyłu rękoma. Zawsze elegancki uśmiechnięty, na powitanie pytał как дела?²⁶, po czym z nie mniejszym zadowoleniem sam sobie odpowiadał как в Польше²⁷ - cokolwiek miało to znaczyć.

Miał sposób bycia i charakter dobrotliwego ojczulka, który zawsze jest skory do pomocy i pogawędki. Nie mieszkał na stałe w cyrku, a raczej tam tylko urzędował i to od czasu do czasu. Pojawiał się jednak zawsze wtedy kiedy były jakieś poważne problemy. Generalnie był wyznaczony do tej funkcji przez Moskwę, a dokładniej przez centralny zarząd cyrków ZSRR czyli Госцирк²⁸. A centralne zarządzanie w tym kraju dało się dostrzec na każdym kroku.

Nie raz przy różnych okazjach można było usłyszeć argumentację, что Москва не пахнет²⁹ – czyli, że Moskwa nie wyraża zgody, czy też dosłownie tłumacząc nie zezwala. W takich przypadkach nie było wyjścia i trzeba było czekać na zgodę z Moskwy.

Właśnie z powodu podwójnej administracji cyrku w taborze były też dwa wozy biurowe. Polski i Radziecki. Obydwa zawsze ustawiane naprzeciw siebie zaraz za frontonem³⁰. Wóz kierownika z racji jego funkcji również był ustawiany z przodu. Zaraz obok wóz kierowniczkę finansową, a następnie starego. Zresztą wszystkie wozy, samochody i przyczepy, a także pomocnicze namioty były za każdym razem rozmieszczone według tego samego schematu z zachowaniem odpowiednich proporcji czy odległości. No chyba, że zdarzyło się trafić na jakiś nie wymiarowy plac. Co bywało bardzo rzadkim przypadkiem. Trudno żeby w tak potężnym kraju nie można było znaleźć dość miejsca na rozstawienie cyrku. Nawet takiego z widownią na ponad 2,5 tysiąca ludzi.

Typowe rosyjskie cyrki były i tak większe, ale też funkcjonowały zupełnie na innych zasadach. Dlatego ten polski cyrk stanowił dodatkową atrakcję ze względu na swą mobilność. I tradycyjny charakter. Mianowicie mógł dotrzeć wszędzie, czyli do miast, w których nie było stacjonarnych cyrków. Gdyż te znajdowały się jedynie w naprawdę wielkich i nielicz-

²⁶ Z ros. – czytaj – kak dzieła – jak sprawy?

²⁷ Z ros. – czytaj – kak w Polsce – jak w Polsce.

²⁸ Z ros. – czytaj – Goscyrk – Centrala Państwowego Cyrku w Moskwie

²⁹ Z ros. – czytaj – szto Moskwa nie razreszajet

³⁰ Głównie, często ozdobne wejście na teren cyrku.

²⁴ Z ros. – czytaj – łaskowyj maj – delikatny maj.

²⁵ Z ros. – czytaj – bieleje rozy – białe róże.

nych miastach. Specjalnie zaprojektowane i wysokie budowle często o owalnym kształcie z areną, widownią, garderobą oraz z całym zapleczem techniczno-administracyjnym. A artyści wraz z obsługą podróżowali pociągami od miasta do miasta. Uprzednio spakowane w specjalne kontenery wyposażenie, rekwizyty i prywatne rzeczy załogi oraz zwierzęta w klatkach wysyłały były pociągami towarowym. Ludzie w komfortowych warunkach podróżowali pociągami osobowymi. A przy dużych odległościach w sypialnych wagonach. Rządziej samolotami, ale tak też się zdarzało.

Taki cyrk zazwyczaj stacjonował prawie miesiąc lub dłużej w jednym miejscu. Dlatego też miasto musiało być duże, żeby nie zabrakło chętnych do obejrzenia spektaklu. Polski cyrk natomiast zmieniał miejsce co tydzień. Zresztą różnic pomiędzy tymi cyrkami było znacznie więcej. Cyrk stacjonarny potrzebował znacznie mniej obsługi technicznej mimo, że był większy. Był też niezależny od pogody, a praca w nim była lżejsza i bardziej komfortowa. Nie potrzebny był też cały tabor. Artyści kwatrowani byli w hotelach i stołowani w restauracji. Nie miał on jednak tego czegoś co cyrk tradycyjny z taborem i szapitem³¹ podwieszonym na masztach z mnóstwem naciągniętych lin dookoła. No, ale też miał swoisty czar i urok. W końcu to cyrk.

* * *

Zbliżał się powoli następny ponad 100 kilometrowy przerzut, którego organizacja tym razem miała spoczywać głównie na barkach kierownika administracyjnego. Do dyspozycji było 8 Jelczy, 3 ciągniki, Żuk, 2 tarpany i autobus. A do przetransportowania ponad 100 wozów cyrkowych. W tym mieszkalne, techniczne, sanitarne, do transportu zwierząt itd. Zarządzanie taborem musiało odbywać się z zachowaniem zasad i przestrzeganiem obowiązujących przepisów krajowych mimo, że warunki pracy były zgoła inne niż w Polsce. Kontrola, zakup i dystrybucja paliwa, ewidencja i kontrola kart drogowych itp. Po powrocie do kraju za sposób prowadzenia dokumentacji zostanie rozliczony, więc lepiej żeby się wszystko zgadzało.

Mimo, że kierownik z całą tą robotą administracyjno-biurową dawał sobie jakoś radę, to w jaki sposób zaplanować i zorganizować przerzut nie bardzo jeszcze wiedział. W tym wszystkim miał mu pomagać starszy kierowca. Jednak z czasem okazało się, że nie można było do końca na nim polegać.

Trudność w przygotowaniu i zaplanowaniu przerzutu polegała głównie na wiedzy jaki samochód może ciągnąć jaką przyczepę i dlaczego. A należało te zależności znać na wyrywki żeby w razie problemów czy awarii, móc na bieżąco coś zmienić. Przy 100 wozach cyrkowych te 8 Jelczy, które były do dyspozycji to raczej mizerna ilość aby sprawnie przetrzeć cyrk o ponad 100 km. Dlatego polscy kierowcy nierzadko podczepiali po 2 lub nawet 3 przyczepy i takimi długimi składami przemierzali Azjatycką krainę. Niekiedy przerzut wymagał aż trzech kursów w tę i z powrotem. Ale równie często rosyjska administracja wspomagała ich poprzez przydział kilku lub nawet kilkun-

stu Kamazów³². Poza tymi typowymi i wielkimi ciężarówkami w Rosji powszechnie używano innych nie mniej typowych ale mniejszych Ziłów. Te jednak ciężarówki najczęściej z niebieskimi kabinami nie nadawały się do transportu ciężkich cyrkowych wozów. Były zbyt słabe zazwyczaj wywrotki. Co ciekawe, już w tamtym czasie większość z nich jeździła z instalacją gazową. Nie tylko wtedy było to niezwykle, bo nawet teraz w Polsce ciężarowe auta nie są zasilane gazem.

Mimo, że Kamazy były wielkie i silne to miejscowi kierowcy nie chcieli jeździć z więcej niż jedną przyczepą. Nie pozwalały na to przepisy, a poza tym po prostu się bali. Większy ciężar powodował też znacznie większe spalanie. A kombinowanie z paliwem było tam na porządku dziennym. Poza tym zazwyczaj chcieli odwalić robotę i wracać do domu czy do bazy. Dlatego gnali z prędkościami, przy których nieumiejętne dobranie podczepionych wozów groziło tym, że się po prostu rozleć już po kilkudziesięciu kilometrach. Szybka jazda powodowała często awarie cyrkowych wozów nie przystosowanych do takich prędkości. Czasem zdarzało się nawet, że urywało się koło bo rosyjski kierowca nawet nie zauważył, że jest zablokowane lub złapało gumę. Kolejność czy sposób podczepiania przyczep też nie była dowolna. Zależała od stanu hamulców, rodzaju zaczepów, stanu ogumienia i wielu innych czynników takich jak np. ciężar wozu czy długość kuplonga³³. Do tego dochodziły wszelkiego rodzaju uzgodnienia i priorytety. Takie np. jak to, że tresury zwierząt jechały zawsze w pierwszym rzucie razem z masztami, a kierownik w ostatnim.

Ten cały ogrom nieznanych jeszcze zasad powodował, że w tamtym czasie kierownik był przekonany, iż nigdy tego nie ogarnie swoim umysłem. Uważał, że aż tyle miejsca to tam nie ma. Jednak ku swojemu zdziwieniu już po dwóch miesiącach planował przerzuty bez większych problemów z dnia na dzień w dowolnych konfiguracjach. Taka umiejętność przyszła sama wraz z nabywaną praktyką.

Właśnie praktyka zdobywana z niemałym trudem potrzebna była do realizacji innego poważnego zadania. Jakim był nadzór i rozliczanie cyrkowego paliwa. Zresztą paliwo to całkiem osobna historia. Cyrkowe pojazdy tankowane były na specjalne talony. Były to niebieskie żółte książeczki, z których odrywało się samokopiujące talony po ich uprzednim wypełnieniu. Służyły one do tankowania pojazdów w ruchu międzynarodowym. W związku z tym podlegały one kontroli, a po powrocie rozliczeniu. W ogóle paliwo to był dość śliski i trudny do ogarnięcia temat. Kierownik raz w miesiącu sporządzał zestawienie zakupionego i zużytego paliwa. Zarówno ropy jak i benzyny. Wtedy robiło się to odręcznie na arkuszach A3 kratkowanego papieru. Kierowcy zaś niedbale prowadzili karty drogowie więc żeby wszystko się zgadzało trzeba było nieźle kombinować. Dlatego takie zestawienie tworzyło się przez trzy kolejne dni, a raczej noce gdyż wtedy śleczął nad tym kierownik. W czasie

dnia nie było czasu ani też warunków do takiej pracy.

Oczywiście rosyjscy kierowcy tankowali całkiem inaczej. Rynek paliwa w tamtym czasie był w ZSRR dość ciekawy i do końca nie zrozumiały. Generalnie pieczę i nadzór nad tą gałęzią gospodarki sprawowało państwo. Jednak funkcjonował też czarny rynek, czyli pseudo prywatny. Żeby nie powiedzieć, że mafijny. Działający często na pograniczu przestępstwa. A że ten rejon Rosji nie należał do bezpiecznych, to na wyposażeniu obsługi stacji benzynowych były karabiny AK-45 potocznie zwane Kałasznikow. Niewiarygodne? A jednak prawdziwe. Za którymś razem podczas tankowania pojazdów cyrkowych kierownik wszedł do pomieszczenia obsługi na stacji benzynowej, aby dokonać formalności związanej z talonami. Kierowcy zaś kolejno tankowali wozy z dystributora. I właśnie wtedy przez uchylone drzwi metalowej szafy dostrzegł dwa karabiny niedbale leżące na półce. Oczywiście zdziwił się, a nawet przestraszył. Bo co to mogło oznaczać nie wiedział. Rzecz jasna zaraz zapytał co to, dlaczego, itd. W odpowiedzi jeden z pracowników stacji sięgnął po karabin i sprawnie się nim posługując wyjaśnił:

- To na wypadek napadu paliwowej mafii.

Niewątpliwie coś takiego jak mafia działała na tym obszarze, o czym kierownik miał się przekonać już całkiem niedługo.

Czarny rynek paliwa wyglądał tu raczej osobliwie. Bowiem w państwie totalitarnego prawa kwitło sobie niemal jawne bezprawie. Można było bowiem spotkać taki oto obrazek jak na skrzyżowaniu dróg gdzieś daleko za miastem stoi sobie cysterna z benzyną. Przejżdżające tamtędy osobowe samochody mogły z niej tankować wprost do swoich baków i to za pośrednictwem zwykłego gumowego węża. Kierowca cysterny i jednocześnie sprzedawca paliwa stał przy niej i nalewał na oko zaginając po tankowaniu wąż. Był to obrazek tak niewiarygodny, że pewnego razu kierownik wraz z kierowcą wracając do cyrku zatrzymali się aby sprawdzić czy jest na pewno tak, jak im się wydawało. Okazało się, że owszem. Paliwo należało właśnie do mafii, a reglamentacja w taki niedbale sposób była spowodowana tym, że mieli oni tyle paliwa, iż nie było rzeczą, aż tak istotną dokładne odmierzanie tankowanej ilości. Chodziło jedynie o to żeby to paliwo jakoś zbyć, bo i tak byli na tym do przodu. A przy dużych ilościach jakie niewątpliwie wchodziły w grę ich dochody były ogromne. Ze względu na kontrole, nie można było wstawić tego paliwa do państwowych stacji. A prywatnych jeszcze wtedy nie było. Okazało się więc, że ten który je sprzedaje określa ilość na oko. W związku z tym i opłata była na oko i oczywiście niższa niż oficjalna cena benzyny. Dlatego każdy kto tamtędy przejeżdżał chętnie tankował.

W związku z tym procederem wydarzyła się pewnego razu ciekawa historia. Otóż podczas wieczornego spektaklu kierownika zagadnął pewien mężczyzna. Był on w towarzystwie kilku innych, a było to w Kazachstanie w okolicach miasta Aksaj. Do kierownika skierował go jeden z kierowców, gdyż tamten pytał wyraźnie o kogoś z kierownictwa. Choć dokładnie poszukiwał kogoś głównego w dosłownym tłumaczeniu lub gospodarza. W Rosji zazwyczaj ważne sprawy załatwiano się z kimś takim,

³¹ Z franc. - namiot cyrkowy

³² Z ros. – rosyjska marka samochodów ciężarowych, produkowanych w centrum Tatarstanu w okolicach Kazania.

³³ Dyszel przyczepy.

A że tam każdy się za takiego uważał nawet cieć na bramie to już inna sprawa.

W trakcie rozmowy okazało się, że poszukuje on dla swojej żony dzinsowej spódnicy. Ale nie takiej jaką można było dostać na miejscu, czyli z fioletowego dzinsu. Chodziło o prawdziwy dzins zachodni taki jakim znamy go my. Specjalnie przyjechał kiedy dowiedział się, że występuje tu zagraniczny cyrk. Liczył, że w takim środowisku coś się dla żony znajdzie. Kierownik nie miał żadnych ubrań na handel i nawet nie miał pojęcia kto w cyrku coś takiego ma. Dlatego próbował zbyć interesanta. Jednak tamten nie dawał za wygraną. Zapewniał przy tym, że mimo iż ma pieniądze, ropę a nawet złoto to i tak żona jest nieszcześliwa, bo nie ma wymarzonej spódnicy. Według jego zapewnień cena nie grała roli. Kierownik w końcu zgodził się poszukać. Tajemniczy gość obiecał, że w zamian zatankuje wszystkie cyrkowe samochody ropą. Dziwna to miała być transakcja i kierownik trochę się obawiał, że coś tu może być nie tak. Jednak to nie był pierwszy raz kiedy rzeczy dziwne były tu na porządku dziennym. Ruszył więc i wypytując kolejno wszystkich członków załogi szukał owej spódnicy. Co ciekawe nawet nie było mowy o rozmiarze. W końcu po jakiejś półgodzinie znalazł spódnice w komplecie z dzinsową bluzą, którą na handel miał jeden z muzyków. Chciał za to ok 300 rubli. Nie sprzedał jeszcze bo znalezienie kupca za takie pieniądze nie było proste. Stało się więc na 280 rublach, bo kierownik wyjawiał że to złoty interes dla cyrku. Zapłacił więc z zaliczki, którą potem będzie musiał jakoś rozliczyć. Jednak teraz wszystkie samochody mogły jechać i zatankować do pełna. Jeszcze tego samego wieczora po ostatnim spektaklu kolumna cyrkowych pojazdów udała się za owymi dziwnymi ludźmi, którzy przyjechali tu kilkoma wołgami. Wiadomo było, że jest to paliwowa mafia i tak naprawdę to kierownik miał stracha, że to może być jakiś podstęp, czy coś w tym rodzaju. Chociaż w tamtych czasach nawet w takim środowisku honorowe zasady były podstawą. Ostatnią decyzję dotyczącą tej transakcji i tak podjął Stary. Chyba nie do końca zdając sobie sprawę z tego co robi. Wiedział on bowiem tylko, że jest możliwość zatankowania samochodów zupełnie za darmo. Dodatkowe paliwo zawsze się przyda chociaż tak naprawdę potem kierownik miał z tym sporo kłopotu. Bo jak rozpisnąć kilometry przejechane na darmowym paliwie nie tankując oficjalnie ani litra. Jednak na przestrzeni kilku miesięcy można było to jakoś rozmyć.

I nie trzeba było przejmować się przepalaniem, które się zdarzało mimo, że i tak cyrkowe jelcze miały zwiększoną normę ze względu na obciążenie i trudne warunki pracy. W rezultacie tej niewiarygodnej transakcji zatankowano ok 4 tys. litrów ropy. Jelcze miały dodatkowe zbiorniki, a poza tym zatankowano jeszcze do kilku 200 litrowych beczek. Taki to był kraj i takie to były czasy. Jeśliby nie fakt, że kierownik sam to przeżył zapewne nie bardzo by chciał uwierzyć gdyby mu to ktoś opowiadał. Bo czy to się mieści w głowie?

Po tygodniu grania w Czimkencie w dniu przerzutu wóz kierownika wraz z trzema innymi pozostał na placu jako ostatni. Kierowcy mieli po niego wrócić dopiero za ok.

3 godziny. Jeszcze nieliczni gapie kręcili się po placu i co chwilę zagadywali dopytując o to i owo. Poza tym nuda, aż piszczyc. Trzeba poczekać. Nie było co robić więc kierownik położył się na wersalce i rozmyślał o różnych sprawach związanych z nowym miejscem postoju. Było już dobrze po południu kiedy do uchyłonych drzwi działki zapukała młoda dziewczyna. Była w wieku kierownika, a może nawet młodsza i była to ekspedientka z pobliskiego sklepu, w którym kierownik kilka dni temu kupował suszarki do włosów i lokówki.

– Przyszłam się z wami pożegnać... powiedziała, a na jej okrągłej i rumianej twarzy za gościł szczery uśmiech.

Kierownik trochę zaskoczony, oczywiście zaprosił ją do środka. Jak się okazało miała na imię Nadia. I rzeczywiście przyszła z czystej sympatii, a może też trochę z ciekawości. Było to o tyle dziwne, że poza tym jednym razem, wcześniej nie mieli przecież żadnych innych kontaktów. No może była na spektaklu któregoś dnia, ale na pewno się nie widzieli. Więc skąd nagle takie pożegnanie? Być może w ogóle nie przyszła konkretnie do niego tylko tak po prostu do cyrku. Z okna sklepu widziała, że pozostały tylko 4 wozy cyrkowe i na pustym wielkim placu, a wokół nich krząta się tylko jedna osoba. Nie mniej było to bardzo miłe, a jej towarzystwo spowodowało, że czas do powrotu kierowców upłynął jakby szybciej. Ciekawe było też to, że było to w godzinach pracy. Ona jednak pozwoliła sobie na to, aby wyjść ze sklepu na prawie godzinę. Rozmawiali więc wypytując się wzajemnie o życie w ich krajach. Śmiali się i popijali przy tym szampa, którego z tej okazji kierownik postanowił otworzyć. Było dość ciepło, a szampan przechowywany gdzieś w zakamarkach działki był nadzwyczaj chłodny i orzeźwiający. Zresztą nie miał nic innego, a zwykła wódka raczej nie wchodziła w grę. I tak w niecałe 30 minut opróżnili butelkę rozmawiając jak starzy znajomi. Po przyjacielsku też się pożegnali jak gdyby znali się już od dawna. Było to niesamowite i dlatego kierownik pamięta to do dziś. Może był to zwykły przejaw niezwykłej otwartości, jaka cechowała mieszkańców tego regionu? A może jeszcze coś innego? Teraz już się nikt tego nie dowie.

Nie tylko szampanem można było schłodzić się w czasie gorącego azjatyckiego lata. Bardzo powszechny i popularny w całej zresztą Rosji był kwas chlebowy. Sprzedawano go wprost ze specjalnych małych beczkowozów. Pomalowane na żółto dwukołowe przyczepki o pojemności ok. 300 litrów można było spotkać prawie w każdym mieście. Element ten należał niewątpliwie do folkloru tego kraju. Był to schłodzony, gazowany napój o orzeźwiającym smaku, brązowej barwie i niewielkiej zawartości alkoholu. Mimo, że w Polsce też czasem można było go spotkać w butelkach to kierownik nigdy go nie próbował. Jakoś sama nazwa nie brzmiała zbyt kusząco. Kwas? I do tego z chleba? To nie mogło być dobre. Jednak tu w ZSRR należało spróbować tym bardziej, że zachwalali go ci, którzy pili go już wcześniej. I oczywiście był to wyśmienity napój na upały. Poza tym można było kupić popularny owo-



Beczka z kwasem chlebowym.

cowy napój pod ogólną nazwą *напиток*³⁴, który był trochę podobny do naszej oranżady. No i oczywiście piwo sprzedawana podobnie jak w Polsce w kioskach czy tym podobnych drewnianych budkach. Pomalowanych zazwyczaj na zielono. Tu smakosze tego trunku kupowali go w słoikach lub innych zbiornikach, tzn. przychodzili ze swoim słojem lub z metalową bańką, a sprzedawczynie nalewały z beczki zimne piwo. Które w razie potrzeby dowożono. Jednak inaczej niż w naszym kraju tutaj nikt nie pił piwa zaraz przed, czy za kioskiem. Kto kupił zaraz gdzieś odchodził. W skrajnym przypadku były to pobliskie krzaki gdzie na kupującego czekali koledzy. Krótko mówiąc a po rosyjsku *короче говорят*³⁵ tam nie pili się piwa pod sklepem. Dlaczego? Tego nie wiadomo. Być może takie zachowanie bardziej niż u nas było ścigane i karane przez milicję.

Czas powoli płynął, a z jego upływem kierownik nabierał coraz większego doświadczenia i pewności siebie. Podwładnym już nie przychodziły nawet do głowy drobne złośliwości, czy inne wygłupy. Takie jak np. ustawienie jego wozu na jednym z pierwszych placów kołem na górce. Powodowało, że cały wóz był przechylony, a z nim wszystko co się tam znajdowało. Jedynym sposobem było podkopać koło bo raz ustawionych wozów już nikt nie przedstawiał. Ale kto miałby to zrobić? Wtedy też młody człowiek pierwszy raz zawiódł się na starszym kierowcy, który miał go wspierać. Stał on sobie w grupie innych pracowników i wtórował im w śmiechu z tej niecodziennej sytuacji. Kierownik poczuł się wtedy tak samo głupio co bezradnie. I mimo, że miał nad nimi pewną władzę, to wtedy jeszcze nie umiał z niej skorzystać. Teraz już nie było mowy o takich żartach, a szacunek dla nowego szefa sam powoli kształtował się wśród załogi. Doszło do tego, że wóz kierownika był zawsze odłączany od prądu jako ostatni. A kiedy ktoś się pomylił od razu dostawał opieprz od elektryka.

– Co ty kurwa robisz? Nie odłączaj, bo kierownik jeszcze suszy głowę...!

Słysząc takie teksty kierownik nie mógł się czuć niedoceniany, czy nieszanowany. Jednak mimo to musiał wciąż zachowywać czujność i uważać na wszystko i wszystkich.

Z suszeniem głowy i prądem wiąże się jeszcze inna historia. Było to w Szwecji podczas kiedy nasz bohater pracował w Cyrku „Starlight”. Był to rodzinny cyrk rodziny Jackson

³⁴ Z ros. – czytaj – *напиток* – napój.

³⁵ Z ros. – czytaj – *короче* gawariat.

z Malmö, ale o tym opowiemy może w dalszej części. W każdym razie i tu wypracował on sobie pewną pozycję i respekt wśród kolegów. Otóż Adam, który zajmował się elektryką, obsługą nagłośnienia, światłami i nadzorował pracę agregatu prądotwórczego, wyłączał go dopiero kiedy obecny kierownik dał znać, że już wysuszył włosy. I robił tak nawet wtedy kiedy właściciel cyrku Horst Jackson dopytywał się dlaczego agregat jeszcze pracuje kiedy już cały cyrk jest gotowy do wyjazdu. Takie traktowanie przez kolegów mogło wzbudzić w młodym człowieku coś w rodzaju pychy, czy zarozumialstwa. Jednak pamiętajmy, iż mimo młodego wieku był on już całkiem doświadczony, bo było to niecałe 2 lata po powrocie z Rosji. Dlatego tak zwana woda sodowa mu nie groziła. Znał swoją wartość, ale też swoje miejsce w szyku. Wręcz przeciwnie z jego doświadczeniem, odpowiednim nastawieniem i zaangażowaniem oraz podstawową, ale jednak, znajomością języka był kimś w rodzaju przywódcy 6 osobowej Polskiej załogi. I starał się tę rolę wypełniać tak dobrze na ile mógł, mimo że nie zawsze to doceniano. I tu kolejny przykład nawiązujący do tych wszystkich górnolotnych stwierdzeń. Jego koledzy od początku deklarowali znajomość języków obcych. Przynajmniej niektórzy. Adam na przykład twierdził, że świetnie zna niemiecki, a to było bardzo pożądane gdyż właścicielem cyrku i szefem był Szwed niemieckiego pochodzenia. Człowiek bardzo pracowity i zaradny. Ponadto znał również świetnie angielski, no i szwedzki oczywiście.

Pewnego razu wyniknął konflikt między załogą a szefem, a raczej jego żoną. Uznała ona bowiem, że ponieważ cyrk nie przynosi oczekiwanych zysków, to i tak będzie dobrze jeśli będzie płaciła połowę stawki wszystkim. Oczywiście większość się na to zgodziła. Niekoniecznie z przekonania, ale raczej z beznadziejności. Jednak nie kierownik. Dla niego od początku było oczywiste, że to jawna niesprawiedliwość. Owszem dla artystów, którzy z definicji zarabiali trzykrotnie więcej od technicznych może i było to jakieś rozwiązanie, ale dla ludzi, którzy bardzo ciężko tyrali za grosze już nie. Podczas licznych dyskusji udało mu się przekonać kolegów, żeby nie godzili się na tak niesprawiedliwe warunki. Podjęto więc decyzję, że trzeba o tym zakomunikować właścicielce cyrku zwanej Babcią. I tu nagle okazało się, że nikt nie czuje się na siłach, aby to jej przedstawić. Nawet Wiesiek, który był tu już trzeci sezon i świetnie znał niemiecki udał głupą i schował się w cieniu kolegów. Poniekąd można to było jeszcze jakoś wytłumaczyć, gdyż jako prawej ręce Dziadka, niezręcznie byłoby mu występować przeciwko niemu. Oczywiście wszyscy okrzyknęli głównym negocjatorem kierownika. Okazało się, że tylko on jako tako zna szwedzki język. On oczywiście się zgodził, czując na sobie pewien rodzaj odpowiedzialności za los kolegów, ale przede wszystkim przekonany o własnej racji. Ustalenia były takie, że do kempingu właściciele idą wszyscy, a kierownik w ich imieniu mówi w czym rzecz. I tak też się stało.

Kierownik zapukał więc wieczorem do drzwi kempingu państwa Jackson. Otworzyła Jana, czyli Babcia. Korpulentna pani po 50-ce z czarnymi oczkami i wiecznie uśmiechniętą twarzą. Dziadek czyli Horst był raczej jej prze-

ciwieństwem rzadko się uśmiechał i przy niej wyglądał dość mizernie. Żeby nie powiedzieć żałośnie, ale też był od niej sporo starszy.

Kierownik zaczął mówić, a argumentując swoje racje wskazał na kolegów, którzy z nim przyszli. Chciał przy tym potwierdzić, iż mają oni takie samo zdanie. Jakie jednak było jego zdziwienie kiedy podczas rozmowy odwrócił się do nich, aby gestem wzmocnić wagę swoich słów.

– Ja pierdolę - pomyślał, – Co jest?

Koledzy, którzy przyszli razem z nim, aby go wspierać w słusznej wspólnej sprawie stali teraz kilka metrów dalej odwróceniem całkiem w drugą stronę. Wyglądało to tak, jakby stali tam przypadkowo i podziwiali gwiazdzone niebo, a nie przyszli razem z nim walczyć o swoje prawa. Nie trudno zgadnąć jak się wtedy poczuł. Zdradzony i oszukany. Po kolejnej chwili rozmowy było już jasne, że Babcia nie wycofa się ze swojego pomysłu ratowania cyrku ich kosztem. Oczywiście później już w woze kierownik nie szczędził im odpowiednich słów w celu dobitnego uświadomienia, iż postąpili jak dzieci i jak ostatnie cipy z Polski. Potwierdziła się wtedy powszechna opinia o solidarności polskich robotników za granicą, a raczej o kompletnym ich braku. Okazało się też, że mimo, iż był z nich najmłodszy to tylko on miał tam jaja. Krótko mówiąc konkretnie ich opierdolił, a oni słuchali go zawstydzeni jak skarcone dzieci. Nie mógł zrozumieć skąd bierze się taka niepoważna postawa dorosłych ludzi. Mowa jaką wtedy wygłosił dała jednak pozytywny rezultat, bo już po trzech dniach doszło do czegoś w rodzaju strajku. Mimo iż w bezpośredniej konfrontacji z właścicielami cyrku nie mógł na nich liczyć, to na szczęście dość skrupulatnie wypełnili oni jego plan, który miał zmusić Babcię do zmiany decyzji.



Flokowanie.

Otóż w następnym mieście postanowił, że nie przystąpią do budowy cyrku. Tak się złożyło, że było to jedno z nielicznych miast gdzie na plac przybyli późnym wieczorem, a budowa miała się rozpocząć dopiero rano. Już poprzedniego dnia kierownik zakomunikował Dziadkowi, że nie przystąpią do pracy za pół stawki. No chyba, że mają postawić tylko połowę cyrku?

Rano każdy z nich ubrał się w normalne wyjściowe ubrania, a nie te robocze, usiedli na pobliskiej ławce i obserwowali jak pod wodzą Dziadka artyści sami próbowali zbudować cyrk. Dla nich praca za połowę stawki i tak się opłacała. Było wśród nich nawet małżeństwo z Polski więc na ich przykładzie łatwo wyobrazić sobie, że jeśli nawet zarobią połowę swojej gaży, to stanowi ona i tak więcej niż pełna pensja technicznego. A przecież po powrocie do

kraju i dla jednych i dla drugich chleb będzie kosztował tyle samo.

Budowa cyrku jak się można było domyślać szła wyjątkowo opieszale i z poważnymi problemami. Nieprzyzwyczajeni do ciężkiej pracy artyści nie dawali sobie rady z wbijaniem floków³⁶, stawianiem masztów itd. Dlatego też tym razem budowa trwała cały dzień, a nie kilka godzin, jak to było zazwyczaj. Strajkująca załoga miała niemałą satysfakcję widząc jak nie dają sobie oni rady. A nie był to przecież koniec problemów. Cyrk bowiem następnego dnia po spektaklu należało rozebrać. I zrobić w niemniej skomplikowany i wymagający siły i umiejętności sposób. Dlatego też cała załoga artystów, których było ponad dwa razy więcej niż technicznych pod przewodnictwem dziadka, borykała się z rozbudową do późnej nocy.

Skoro jakoś dali sobie radę, to w obawie o niekorzystny obrót sytuacji kierownik postanowił zaostrzyć strajk. Artyści bowiem podobnie jak Dziadek z Babcią mogliby sobie pomyśleć, że mimo iż mniej sprawnie oraz znacznie wolniej to być może dadzą sobie radę bez technicznych, oczywiście aby tak zakładać musieliby nie brać pod uwagę, że przy codziennym wykonywaniu tak ciężkiej pracy dojdzie w końcu do sytuacji, że zabraknie im sił na występy. Kiedy więc przyszło do przerzutu okazało się, że tylko nieliczni artyści mają pojęcie oraz uprawnienia do prowadzenia samochodów ciężarowych. Nie pomogły perswazje i prośby Dziadka. Techniczni pod wodzą kierownika byli nieugięci.

Taka postawa dała jednak w końcu pozytywny rezultat. Po pewnym czasie po konsultacjach z artystami Babcia zakomunikowała, że zarobki technicznych nie ulegają zmianie. Był to niewątpliwie sukces i osobista satysfakcja kierownika. Osiągnął on bowiem cel i to z korzyścią nie tylko dla samego siebie. Potem jeszcze długo Babcia z właściwym sobie uśmiechem mówiła na niego striker³⁷, lecz bez żalu w głosie a raczej z sympatią.

Po tych wydarzeniach, które miały miejsce w połowie sezonu w ogóle sympatia Babci do naszego bohatera jakby wzrosła. I dała się wyraźnie odczuć chociażby poprzez ciekawe sprytne i chyba zamierzone działanie Babci. Wiadomą rzeczą było bowiem, że najcięższą robotą było flokowanie, które rozpoczynało się zaraz po tym jak wszyscy dotarli na nowy plac.

Otóż podczas tej części budowy cyrku, Babcia zaczęła wołać kierownika do siebie i zlecała mu wypoziomowanie swojego wozu. Na początku trudno było się dopatrzyć w tym celowego działania, jednak gdy stało się to normą okazało się, że w ten sposób chciał go odciążyć od tej ciężkiej pracy. W tym czasie pozostali nie mieli przerwy. Poziomowanie wozu polegało na odkręceniu składanych na czas transportu nówek i takim ich ustawieniu na nierównym podłożu, aby wóz stał idealnie poziomo.

Do tego celu Dziadek udostępniał kierownikowi specjalnej małej poziomnicy. Cały zabieg zazwyczaj trwał kilkanaście minut, ale czasem mógł trwać dłużej. Szczególnie wtedy kiedy

³⁶ Specjalne duże stalowe szpilki, które po wbiciu w ziemię służyły do wiązania lin napinających namiot cyrkowy i utrzymujących maszty.

³⁷ Z ang. – czytaj – strajker - strajkujący, strajkownic.

plac był wyjątkowo nierówny, a kierownik domyślił się o co w tym chodzi. Przedtem te czynności wykonywał sam dziadek.

Ponadto na zakończenie ustawiania wozu babci zazwyczaj nagradzała go bananem czy innym owocem, których z oszczędności sam nie kupował. Mimo, iż czasem czuł się z tym jak jakaś małpka na zawołanie, to było to jednak miłe z jej strony. Tym oto sposobem kierownika omijała kolejka przy flogowaniu, a przy okazji zawsze zjadł coś smacznego no i mógł w tym czasie szlifować język podczas rozmowy z Babcią. Może przy okazji wrócimy jeszcze do szwedzkiego cyrku.

Tymczasem kontynuując główny watek opowieści wracamy do Rosji. Następnym miastem miał być Turkestan. Już dwa dni wcześniej grupa technicznych z „budowniczym” na czele i odpowiednim wyposażeniem pojechała na flogowanie. Była to tak ciężka robota, że następnego dnia mieli oni zawsze wolne. Podobnie jak kierowcy po przerzucie. Polegała na wyznaczeniu dokładnie miejsc, a potem wbiciu w skalistą często ziemię kilkudziesięciu stalowych flogów. Czyli żelaznych szpilek, do których wiązano potem liny przy stawianiu masztów i naciąganiu szapita. Każdy z nich ważył co najmniej kilkanaście kilogramów, i był grubym prętem zaokrąglonym na jednym końcu o długości ok 80-100 cm i ok. 4 cm średnicy. Technicy wbijali je ręcznie przy pomocy kilkukilowych młotów osadzonych na długich trzonkach. Praca ta wymagała nie tylko siły, ale także opanowania nietawnej techniki operowania ciężkim młotem. Nie można było bowiem pracować nimi jak normalnym młotkiem przy wbijaniu gwoździ czy czegośkolwiek innego. Należało wprowadzić młot w rotacyjny ruch niczym skrzydło wiatraka. I wtedy dopiero przy każdym obrocie miarowo i na zmianę z innymi celnie uderzać. Bo przy takiej sile i szybkości należało oczywiście za każdym razem trafić w główkę floga, a przy tym uważać aby nie wyrzucić krzywdy innym i sobie. Czasem zdarzało się, że trzonek się łamał podczas gdy ktoś trafił nim w stalowy flog. Czasem też dochodziło do tego, że metalowa część młota spadała z trzonka. Aby tego uniknąć przed flogowaniem mocowano młoty w wodzie przez całą poprzednią noc. Jednym słowem praca ciężka i niebezpieczna. A na jeden flog potrzeba było zazwyczaj kilkadziesiąt uderzeń. Szczególnie nowi i mniej doświadczeni technicy wracali po tym z krwawiącymi odciskami na dłoniach. Na zachodzie w największych cyrkach Europy jak Krone w Niemczech, czy Pinder we Francji, do tak ciężkiej pracy używano młotów pneumatycznych. Ale też flogi były całkiem inne. Tu jednak wszystko odbywało się tradycyjnie z wykorzystaniem prostych sprawdzonych od lat metod, doświadczenia i ludzkiej siły.

Właśnie we wspomnianym francuskim cyрку Pinder³⁸ za kilka lat obecny kierownik spotka się z niektórymi członkami załogi, bo jak się okazuje cyrk to jedna wieka rodzina nie znająca granic. Wtedy jednak nie będzie już kierownikiem, a elektrykiem, kierowcą i następnie

technicznym. Ale póki co jeszcze o tym nie mógł wiedzieć a nawet o tym śnić.

Jedną z niewątpliwych atrakcji cyrku poza słoniem i tygrysami były konie. I to zarówno tresura, jak i woltyżerka. Pokazy ekstremalnej jazdy konnej z elementami akrobacji każdorazowo wzbudzały aplauz publiczności i nie mały zachwyt kunsztem jeździeckim. Nie raz po spektaklu można było usłyszeć:

– Молодцы Поляки, лучше, чем наши Козаки.³⁹

Była to wyjątkowo dobra rekomendacja i ocena wysokiego poziomu i talentu naszych artystów. W tym niecodziennym widowisku udział brali młodzi cyrkowi adepci jeździectwa. A był to ich zaledwie trzeci sezon wspólnych występów. W tym, pierwszy poza granicami kraju. Nie ulega wątpliwości, że taki poziom można było uzyskać jedynie poprzez ciągłe ćwiczenia i mozolną pracę. Dlatego też próby przeprowadzane były prawie codziennie. I to nie tylko dlatego, żeby zwierzęta i ludzie nie zapomnieli numeru, ale dlatego, że konie pod wierzch wymagają codziennej odpowiedniej dawki ruchu. W warunkach stacjonarnych, czyli np. na bazie w Julinku w okresie zimowym podcepiąło się je do specjalnej karuzeli, która przez określony czas i w określonym tempie prowadziła kilka koni naraz jak na lonży⁴⁰. Podobno na pomysł budowy takiego urządzenia wpadł pewien Polak.

Treserem i menadżerem tej trupy był niegdyś zawodowy dżokej Leon Kozłowski. Od lat związany z cyrkiem i zasłużony artysta teraz zajmował się głównie tresurą - ujeżdżanie i akrobacje pozostawiając młodszemu. Wraz z nim występowało sześciu młodych chłopaków po szkole cyrkowej, a wśród nich dwaj bracia. Rzeczywiście umieli jeździć i potrafili robić niewiarygodne rzeczy pędząc na galopujących koniach. Wyjątkowe akrobacje jak skoki i zeskoki z pędzącego wierzchowca, przejście w galopie pod brzuchem lub szyją konia, czy jazda na stojąco robiły wrażenie. Szczególnie w połączeniu z perfekcyjnymi kostiumami stylizowanymi na kozackie stroje. Kozłowski prowadził pokaz i ubezpieczał kolegów przy trudniejszych numerach. Był szefem zespołu. W sumie mieli 8 wspaniałych rasowych wierzchowców. Wrażenie robiły też charakterystyczne szachownice z odpowiednio układającej się sierści na końskich zadach. Taką ozdobą wymagała umiejętnego i mozolnego czesania za pomocą szczotki. Stosowano zresztą wiele innych zabiegów tak, żeby konie wyglądały jak z bajki. Jednemu z nich przed każdym występem malowano specjalne czarne łatki na zadzie. To wszystko doprowadzone odpowiednio dobraną dynamiczną muzyką, graną przez orkiestrę na żywo robiło niesamowite wrażenie. Warto było zapłacić te kilkanaście rubli, aby zobaczyć takie show. Jeśli zaś chodzi o orkiestrę to obecnie jedynie w największych cyrkach gra się na żywo, i to też nie we wszystkich.

³⁹ Z ros. – czytaj – maładcy poljaki, łutsze cziem naszy kazaki – Brawo Polacy, są lepsi od naszych kozaków.

⁴⁰ Długa linka na której prowadzi się konia podczas lekcji jazdy.

Pewnego razu po spektaklu do tresera przyszli w gościnę miejscowi miłośnicy koni. Koło stajni kręcili się już od rana chwając i podziwiając cyrkowe araby. Tradycyjnie uroczysta kolacja na część tresera i jego trupy nie mogła się odbyć bez sporych ilości alkoholu. A balowanie trwało do samego rana. Następnego dnia okazało się, że treser nadal nie jest w stanie wyjść do numeru. Widocznie świętowanie w gronie nowo poznanych przyjaciół się znacznie przedłużyło. Jego rolę przejął Jarek jeden z występujących razem braci. Trupa miała opracowane różne warianty występu na wszelki wypadek więc - widownia i tak się nie zorientowała, że coś może być nie tak. Zapowiedziano ich jak zawsze i jak zawsze dali z siebie wszystko.



Woltyżerka na koniu.

Jednak takie poważne naruszenie zasad nie mogło umknąć uwadze Starego. Który jeszcze przed końcem numeru przyszedł do kierownika.

- Pan mi znajdzie Kozłowskiego, bo podejrzewam, że jest pijany... i niech pan z nim przyjdzie do biura.

Kierownik znalazł go bez trudu, gdyż ten spał w najlepsze w swojej działce. W biurze dyrektor jak zwykle w takich przypadkach rozpoczął dobrze sobie znaną grę... Zaczął straszyć Kozłowskiego, że go zwolni dyscyplinarnie, że będzie wracał do Polski na własny koszt itp. Kierownik dobrze wiedział, że to tylko gra bo bez niego cała trupa odmówiłaby występu, a bez koni cyrk wiele by stracił. Jednak treser na tyle był pijany, że w ogóle się nie przejmował konsekwencjami...

- Wiesz co ty mi możesz zrobić? ha ha ha... I jak to pijany – a kto mi udowodni, że ja w ogóle coś piłem? No...? Itd.

Stary mu na to, że ma świadków i że odeśle go do kraju. Ale taka dyskusja nie prowadziła do niczego. Celem bowiem Dyrektora było uzyskanie podpisu tresera pod oświadczeniem o wiadomej treści. Takie słowne przepychanki trwały kilkanaście minut. Wreszcie stary na tyle poważnie się zdenerwował, że kazał kierownikowi wziąć samochód i zawieźć Kozłowskiego na komisariat milicji w celu stwierdzenia stanu trzeźwości. Pijany treser nawet się nie wzbraniał i w ciągu pół godziny byli w komisariacie. Tam po przedstawieniu celu swojej wizyty, co bardzo zdziwiło milicjantów przystąpiono do badania. Polegało ono na dmuchaniu przez słomkę zanurzoną w szklance z jakąś pomarańczową cieczą. Prawdopodobnie był to dwuchromian potasu, który po chwili zmienił barwę na zielonkawą. Wynikiem testu trzeźwości było wydane zaświadczenie na odpowiednim milicyjnym druku z pieczętką. W Polsce żeby można było uznać kogoś za nietrzeźwego

³⁸ Z franc. – czytaj – Pander – Francuski cyrk założony w 1854 roku w Szkocji.

konieczne było badanie krwi. W Rosji wystarczył ten test.

W powrotnej drodze Kozłowski już trochę przetrzeźwiał i zaczęło do niego docierać co się dzieje. Jednak teraz już było za późno. Zaświadczenie z milicji trafiło w ręce dyrektora, który na tej podstawie będzie mógł zrobić z nim co zechce. Oczywiście to zdarzenie wywołało niemałe zamieszanie w całym cyrku. Przez najbliższe dni mówiono tylko o tym. Jednak mimo takich twardych dowodów dyrektor póki co nie zamierzał wyciągać teraz żadnych konsekwencji i postanowił, że zrobi to dopiero po powrocie do Polski. Każde tego typu kroki byłyby zgubne dla przedstawienia i dla cyrku, a tym samym i dla niego jako dyrektora. Nikt bowiem nie przysłał nagle innej tresury na wymianę w trakcie sezonu. Chociaż już nie takie sprawy się w podobny sposób załatwiała. Jedną z nich było wysłanie Jelcza do kraju z zatartym silnikiem od innego wozu. W bazie silnik ten miał przejść remont generalny. Przy tej jednak okazji kierowcy zabrali do Polski rzeczy Starego. Czyli wszystko to co zakupił i zgromadził przez te kilka miesięcy. Nikt nie zważał na odległość, ani na koszty i co najmniej dziwna to była decyzja - na szczęście podjęta przez Starego. Tymczasem w Rosji można było przecież wszystko załatwić i wszystko naprawić. Przy kolejnej awarii to już kierownik miał zadbać o to, aby silnik został naprawiony na miejscu. Tylko jak zdobyć potrzebne części. Owszem sporo ich było w magazynie cyrkowym. Ale nikt nie przypuszczał, że potrzebne będą zawory do Jelcza. Jednak okazało się że i tu można sobie poradzić. Kierownik znalazł państwowy zakład produkujący właśnie zawory do radzieckich maszyn. Ludzie, tam okazali się być tak uczynni, że bez większych problemów przedstawiono całą linię produkcyjną i wyprodukowano zestaw zaworów do Jelcza. To jednak możliwe było tylko w ZSSR. Zrobili to nieodpłatnie z czystej przyjaźni i chęci pomocy gościom z Polski. Ale to całkiem inna historia. W każdym razie Kozłowski mógł póki co spać spokojnie.

Jednak już następnego dnia okazało się, że to nie jedyne kłopoty w jakie się wpakował. Nowi znajomi tresera i miłośnicy koni okazali się prawdopodobnie również złodziejami. Ponieważ rano okazało się, że brakuje jednego z rasowych wierzchowców. Było to tak niewiarygodne, że na wieść o tym kierownik pobiegł naocześnie to sprawdzić, czy tak jest faktycznie. Oczywiście nikt nic nie widział i nikt nic nie wie. A niedawnych znajomych tresera można szukać jak wiatru w polu. Zawiadomiono więc milicję. Około południa pojawił się milicyjny gazik, a w nim dwóch funkcjonariuszy. Rozpoczęło się dochodzenie, zbieranie zeznań, dowodów i szukanie śladów. Ok. 17 było już prawie pewne, że kradzieży mogli dokonać rosyjscy Cyganie, których obozowisko było oddalone od cyrku o parę kilometrów. Dowodzący milicjant zapewnił, że jeżeli jest tak jak myśli, to koń się jutro znajdzie. Nikt oczywiście w to nie wierzył. Przecież jeśli ktoś ukradł konia, to nie po to żeby się do tego przyznać i go teraz oddać. Było raczej oczywiste, że ktoś go wywiózł i jego znalezienie raczej będzie niemożliwe. Jednak jak się następnego dnia okazało milicjant dobrze wiedział co mówi.

Akurat trwała odprawa kierowców rozpoczęta jak zwykle o godzinie 8, gdy ku zdziwieniu wszystkich obecnych do bramy wjazdowej cyrku zbliżał się zaginiony koń. Wyglądało to tak, jakby wracał właśnie ze spaceru. Szedł spokojnie i sam, a oświetlające go poranne słońce podkreślało jego gniade umaszczenie. Wśród porannej jeszcze ciszy dało się słyszeć miarowe stukanie kopyt na kamiennym podłożu. Można by pomyśleć, że się zgubił, a potem w cudowny sposób sam znalazł drogę do domu, ale było oczywiste, że ktoś go musiał tu doprowadzić. Radość wszystkich była ogromna, tresera i administrację cyrku ominęły poważne kłopoty, ponieważ konie jak i reszta zwierząt były państwowe, tak jak zresztą cały cyrk. Wyjaśnienia, tłumaczenia, a do tego odpowiedzialność finansowa, bo cyrkowy koń to nie byle szkapa z jarmarku.

Około południa zjawił się ponownie ów milicjant, aby osobiście sprawdzić czy jego interwencja przyniosła zamierzony skutek. Okazało się, że wystarczyło, odpowiednio postraszyć Cyganów. Zapowiedział im, że jeśli nawet oni konia nie ukradli to mają się dowiedzieć kto i sprawić, że koń następnego dnia znajdzie się z powrotem w cyrku. Tak się tam załatwiała takie sprawy. W ogóle milicja miała dziwny status i dziwne metody działania, ale przyznać trzeba, że skuteczne. Oczywiście najbardziej wdzięczny był mu Kozłowski, bo to w wyniku jego postępowania doszło do tej kradzieży. Dlatego też postanowił się odwdziżyć milicjantowi i zaprosił go do siebie na obiad. I tym razem nie obyło się bez sporych ilości wódki, jednak następnego dnia był przetrzut więc artyści, w tym treser koni - mieli wolne.

* * *

Nikt wtedy nie przypuszczał, że już po kilku latach ponownie dojdzie do spotkania kierownika z artystami tej trupy. Był rok 1994, a oni występowali już bez Kozłowskiego i pod inną nazwą. Poza tym między nimi pojawiła się dziewczyna o imieniu Monika. Miała 22 lata i była dopiero co po cyrkowej szkole. Jednak doskonale radziła sobie podczas występów będąc niewątpliwą atrakcją szczególnie dla męskiej części widowni. Dzięki niej oraz dzięki jeszcze wyższej formie całej trupy zawsze zbierali gromkie brawa i okrzyki zachwytu po tym co potrafili zrobić i pokazać galopując na swych wspaniałych rasowych wierzchowcach. Dlatego też udało im się dostać do jednego z największych cyrków w Europie do francuskiego Cyrku Pinder. Jest to jeden z najstarszych cyrków Europy i w tym roku obchodził 160 lecie istnienia. Jego właściciele często reprezentowali światowe cyrkowe środowisko na różnego rodzaju galach czy festiwalach cyrkowej sztuki. Jednym z największych i najbardziej prestiżowych jest Międzynarodowy Festiwal Sztuki Cyrkowej w Monte Carlo. Odbywa się on już od blisko 40 lat, a obecnie bilet na pojedynczy spektakl kosztuje nawet 200 Euro. Wielu laureatów tego festiwalu występowało potem właśnie w takich cyrkach jak Pinder.

Gala w Paryżu trwała ponad miesiąc, czyli od końca listopada do połowy stycznia. Tym razem był to znacznie większy cyrk bo mógł pomieścić aż 5 tysięcy osób. Ogromny sześciomasztowy namiot niezmiennie od dziesiętek lat w tych samych żółto czerwonych bar-

wach. Rozmach i przepych, jak również wysoki poziom programu był oszałamiający. To właśnie zapewniało za każdym razem komplety widowni. Mimo, że w okolicy stacjonowało kilka innych francuskich cyrków takich jak „Arlet Gruss” czy „Franconi”. Zespołowi z Polski przewodniczył teraz Jarek jeden z braci bliźniaków, ten sam który w Rosji nieraz zastępował Kozłowskiego.

Kierownik, który tam nie był już przecież kierownikiem przyjechał do Paryża z grupką innych pracowników z Polski pod koniec listopada. Przyjechali pociągiem i na dworcu przejęła ich przedstawicielka agencji za pośrednictwem, której byli zatrudnieni. Podróżowanie w towarzystwie Polskich robotników, albo jak kto woli robotli, nie należała do przyjemnych. W trakcie podróży kierownik musiał się prześiąść do innego przedziału, gdyż nie chciał być utożsamiany ze skandalicznym zachowaniem kolegów. Lejąca się dosłownie wódka, papierosy i ogólny bałagan, żeby nie powiedzieć burdel w przedziale. Aż dziw, że nikt ich stamtąd nie wyrzucił. Kiedy opuszczali przedział wyglądał on jak chlew. Porozlewane napoje, resztki jedzenia i inne śmieci oraz niedopałki papierosów zalegały na całej podłodze i nie tylko. Wstyd i żenada razem wzięte, ale co zrobić. Jeszcze gorzej bywało, kiedy tacy robotnicy po sezonie wracali do kraju. Panowie świata, którzy zarobili tyle kasy, że teraz jest im już wszystko wolno – tak im się przynajmniej wydawało. To prymitywne myślenie szybko było weryfikowane przez rzeczywistość jaką zastawali w Polsce, gdzie pieniądze szybko się kończyły, a z nimi perspektywa na lepszą przyszłość dla nich i ich rodzin. Jedynym rozwiązaniem było planowanie kolejnego wyjazdu.

Do miejsca stacjonowania cyrku dotarli metrem. Ciekawostką jest to, że paryskie metro porusza się na gumowych kołach. Oczywiście nie na oponach takich jak mają auta, ale na kołach pokrytych grubą i twardą warstwą gumy. Pozwalało to zmniejszyć znacznie hałas i zwiększyć komfort. Zaraz po przybyciu do cyrku dostrzegli tak samo ciekawą co śmieszna postać. Mianowicie był to jakiś facet w żółtej kurtce na oko sporo ponad 2 metry wzrostu. I nie byłoby nic w tym dziwnego, gdyby nie fakt, że na nogach miał buty na wysokim obcasie co czyniło z niego wielkoluda. Złośliwe uwagi i śmiechy zapewne pomagały dopiero co przybyłym pracownikom rozładować stres związany z tą nową dla nich i nieznaną sytuacją. Olbrzym jednak nie reagował udając raczej, że nie słyszy niż rzeczywiście nie słysząc głupich żartów na jego temat. A były one dość niewybredne. Zaś ci, którzy je wygłaszali czuli się bezkarni, gdyż mówili po polsku. Znajdowali się przecież we Francji, więc kto ich tu zrozumie? Nie raz potem zdarzyło się zaliczyć tego typu wpadkę, bo jak się okazało Polaków można spotkać na całym świecie. Jednak wtedy nikt z nich jeszcze nie wiedział, że ten olbrzym, to też Polak, taki jak oni. Tyle, że przyjechał tu raptem trzy dni wcześniej.

Tak właśnie było już w czasie sezonu kiedy przed wejściem do namiotu podczas przerwy jeden z kolegów wygłosił złośliwą uwagę o gościu, który stojąc na dworze skulił się jakby z zimna.

– Patrzcie... ten to wygląda jakby go 100 psów zruchało – po czym wybuchł ogólny śmiech pozostałych.

Na to stojący obok mężczyzna, który z założenia musiał być francuzem, bo był jednym z widzów powiedział nienaganną polszczyzną:

– Może mu po prostu zimno? – powiedział to beznamiętnie i zaciągnął się papierosem.

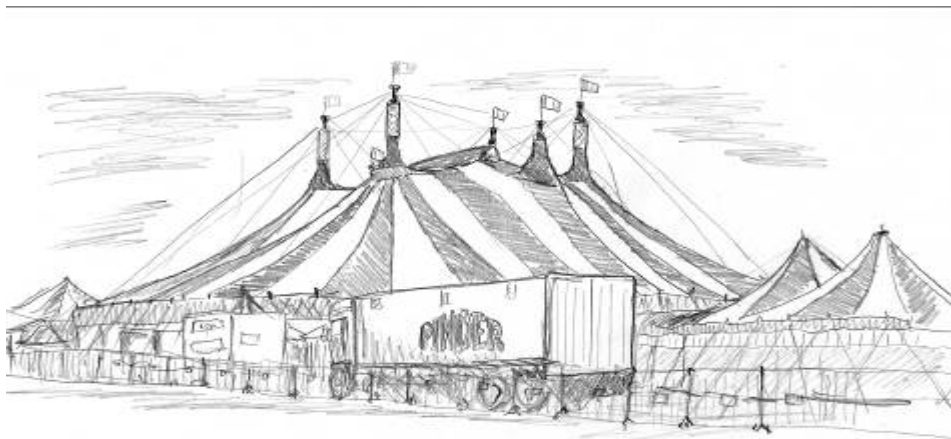
W tej samej chwili wszystkim zrobiło się tak głupio, że gdyby mogli schowali by się teraz pod ziemię. Na szczęście ów człowiek zajęty paleniem papierosa sprawiał wrażenie niewzruszonego, ani wcześniejszym głupim żartem ani też obecną ciszą i zmieszanymi minami grupki rodaków.

Podobna niefrasobliwość w zachowaniu przejawiała się również wtedy kiedy pierwszego dnia stali na cyrkowym placu pośród swoich bagaży czekając, aż ktoś się nimi zajmie, powie gdzie mają się udać itd. Właśnie wtedy w pobliżu przechodziła pewna młoda i piękna dziewczyna. Głupie uwagi i gwizdy nie świadczyły dobrze o kulturze grupki Polaków. Później okazało się, że była to córka właściciela cyrku Sophie Eldenstein, która wraz ze swym partnerem z Niemiec tresowała słonie. Był to dość dziwny związek i ledwo akceptowany przez ojca, gdyż Sophie była żydówką. Dlatego wspólne życie, czy nawet występy z niemieckim treserem, czyli potomkiem faszystów było dla wielu Francuzów trudne do przyjęcia, a jeszcze trudniejsze dla Żydów. Z tego powodu podczas specjalnego spektaklu dla francuskich Żydów zrezygnowano z jej występów. Ponadto zrezygnowano też, tym razem ze względów bezpieczeństwa z pewnej reprizy⁴¹, w wykonaniu komika z Rosji, w której kulminacyjnym momentem był wystrzał z pistoletu. Nie chciano stresować gości, gdyż obawiano się możliwości zamachu. Cyrk pilnowany był przez specjalnych agentów z bronią, a obsłudze wydano specjalne jednorazowe przepustki. Nic zresztą dziwnego kiedy to w jednym miejscu zgromadziło się 5000 Żydów.

I tak całkiem niechęć w prosty sposób można było już na dzień dobry poprzez głupie zachowanie złapać parę ujemnych punktów. Co u niejednego spędzało sen z powiek tej pierwszej nocy w cyrku, po tym jak dowiedział się tego ośmielił się zaczepiać.

Na szczęście nikt potem nie wyciągnął żadnych konsekwencji z zachowania tych kilkunastu nowych. Sama Sophie uznała zapewne, takie zachowanie za normę w przypadku robotników z Polski. To nie był pierwszy ani ostatni raz kiedy kierownik musiał się wstydzić za swoich rodaków. Niestety tym razem będąc na zagranicznym kontrakcie skierowany poprzez pewną agencję artystyczną z Warszawy, trafił tu jako zwykły fizyczny, ale to akurat była norma, a o tym, że kiedyś sprawował znacznie poważniejszą funkcję w cyrku nawet nie wspominał - bo i po co?

Wracając jeszcze na chwilę do owego olbrzyma, okazało się, że jest to bardzo skromny i sympatyczny człowiek o imieniu Adam. W kraju był dyrektorem w pewnym przedsiębiorstwie jednak skusił się prasowym ogłoszeniem oferującym bardzo ciekawą i intratną pracę za granicą. Wymagany był jedynie wzrost ponad 2 metry. Zgłosił się więc i przeszedł sito



Sześciomasztowy Cyrk Pinder Jean Richard

naboru mimo, że nie znał żadnego języka. Zapewne był po prostu najwyższy. W związku z perspektywą nowej kariery zwolnił się z dotychczasowej pracy by rzucić się w wir światowego cyrkowego życia. Jedynym jego zadaniem było zabawianie cyrkowych gości podczas gdy wchodzili do cyrku oraz podczas przerwy. Stanowiło to wyjątkową atrakcję dla dzieci, ale i nie małą dla dorosłych, a polegało na tym, iż miał być swoistym kontrastem na tle zatrudnionych z Rosji trzech liliputów. Ich rolą były wygłupy i ogólnie zabawianie gości śmiesznymi scenkami i trikami. Byli to bowiem artyści ze znanego w ZSRR Cyrku Liliputów.

Co ciekawe nasz kierownik znał ich całkiem nieźle, gdyż w pewnym okresie swej cyrkowej kariery przez pewien czas podczas pobytu na Krymie miał styczność z tym Cykiem, gdzie występowali właśnie tylko tacy mali ludzie. Jałta, Sewastopol czy Symferopol, to były bardzo egzotyczne i bajkowe miasta, szczególnie w połączeniu z ciekawym cyrkowym życiem. Palmy, góry i krystaliczna woda Czarnego Morza w jednym. Tam właśnie spotkał tych trzech niewysokich ludzików.

Adam dostał od cyrku kostium, którego charakterystyczną częścią był wysoki cylinder oraz osobną działkę jako artysta. Gala w Paryżu trwała i wszystko wydawało się być na dobrej drodze. Pod koniec stycznia planowano rozpoczęcie sezonu i tournée po Francji. A w drugiej jego części nawet wyjazd do Maroko. Co w przypadku francuskich cyrków nie było niczym dziwnym, gdyż Maroko było jedną z dawnych francuskich kolonii. Zresztą w cyrku poza Polakami pracowali też właśnie Marokańczycy. Oczywiście jeśli chodzi o artystów, to byli oni z całego świata w tym z Rosji, Polski czy Anglii.

Jednak niedługo przed wyjazdem dyrektor cyrku Claude Vonner wezwał Adama i oznajmił, że ich umowa właśnie się kończy, bo Francuzi zatrudnili go jedynie na galę w Paryżu, czyli na 2 miesiące. Jakież musiało być jego zdziwienie skoro dla tego kontraktu, który pierwotnie miał trwać 10 miesięcy porzucił dobrą posadę w kraju. Nie pomogło tłumaczenie i powoływanie się na ustalenia z Warszawską agencją artystyczną, która go zatrudniła. Decyzja Kloda była ostateczna. Adam miał w ciągu doby opuścić teren cyrku. Na opornych pracowników w takich przypadkach Kłod miał wypróbowany sposób. Otóż w nocy przychodził do działki z dwoma roslinami Portugalczkami w roli goryli. Po stwierdzeniu obecności

zwolnionego pracownika bez pardonu go wyrzucano za bramę wraz z jego rzeczami. Oczywiście przed opuszczeniem cyrku Adam musiał się wcześniej rozliczyć. Czyli zwrócić pieniądze za kostium oraz za wyżywienie, jak i również za ubezpieczenie. W takich przypadkach zwalniany pracownik nie otrzymywał również wypłaty, gdyż ta była zawsze wypłacana z dwutygodniowym opóźnieniem. W takiej sytuacji okazało się, że niewiele zarobił, a dodatkowo stracił całkiem niezłą posadę w Polsce no i pieniądze na podróż. Po prostu został wykorzystany. Zdesperowany i oszukany człowiek uciekł więc w nocy nikomu nic nie mówiąc, a jako rekompensatę zabrał nowy elektryczny grzejnik ze swojej działki.

Było to równie żenujące jak i żałosne. I dawało przykład co ekstremalna sytuacja potrafi zrobić nawet z uczciwym człowiekiem. W tej branży nie było sentymentów, ale tylko nie liczni o tym wiedzieli. Do nich na szczęście należał nasz kierownik, który w tym konkretnym cyrku był teraz jednym z elektryków.

Został nim z nominacji przez Kloda, który po wyglądzie oceniał kto zostanie przydzielony do jakiej pracy. Czy też kto do jakiej roboty się nadaje. Bo kwalifikacje mieli wszyscy podobne. Siła i chęć do pracy oraz prawo jazdy kategorii C+E. A zakres stanowisk do obsadzenia na nowy sezon był szeroki - od kierowców, przez technicznych po pielęgniarzy. Praca elektryka szczególnie podczas gali w Paryżu ograniczała się do drobnych napraw i utrzymania całej cyrkowej instalacji w dobrej kondycji. Poza tym elektrycy obsługiwali olbrzymie agregaty zajmujące całą naczipę ciężarówki i równie wielkie spalinowe dmuchawy do ogrzewania cyrku. A głównym zadaniem podczas spektakli była obsługa kierunkowych reflektorów, którymi w określony sposób oświetlało się występujących artystów. Ponadto przed spektaklem elektrycy sprawdzali bilety co pozwoliło poduczyć się nieco francuskiego. Mieli obowiązek przy tym ubierać się w specjalne galowe uniformy, w których wyglądali jak żołnierze cesarskiej armii z czasów Napoleona. Złote guziki i epolety sprawiały, że wyglądało się w nich niczym generał. I tak też postrzegali ich widzowie głównie ci młodszy. Nie raz bowiem któreś z dzieci przy wejściu witało kierownika słowami:

- Bonjour monsieur général⁴² - co było całkiem sympatyczne.

⁴¹ Zabawny występ cyrkowego klauna w przebraniu pomiędzy numerami.

⁴² Z franc. - czytaj - bązur mesje żenetal - dzień dobry panie generale.

Był to olbrzymi cyrk i dlatego dopiero po dwóch tygodniach doszło do wspomnianego spotkania polskich jeźdźców z byłym kierownikiem. Nie zabrakło wspólnych wspomnień i opowieści przy uroczystej kolacji w towarzystwie uroczej Moniki. Poza tym miło było spotkać rodaków i w dodatku starych znajomych. Praca w tak uznanym cyrku była nie lada osiągnięciem, nie tylko dla kierownika, ale też dla nich.

I wszystko byłoby jak w dobrym przygodowym filmie gdyby nie fakt, że owych mistrzów konnej jazdy francuska administracja cyrku również oszukiwała, nie wykorzystując jedynie do gali w Paryżu. Pod koniec stycznia im po prostu podjękowano, podobnie jak Adamowi i kilku innym. Francuzi mieli własną bardzo dużą tresurę koni, a utrzymywanie jeszcze jednej było po prostu nieekonomiczne. Pięciotysięczny cyrk stacjonujący w Paryżu ponad 2 miesiące potrzebował wyjątkowych atrakcji, żeby zapewnić sobie komplety na wszystkich spektaklach. Jednak w trasę ruszał z namiotem o połowę mniejszym, a postoje były dwutygodniowe więc taki przepych nie był już konieczny. I tym oto sposobem owi polscy dzygici zostali na przysłowiowym lodzie. A dokładniej na placu podczas gdy właśnie reszta cyrku wyruszyła na tournée. Szkoda było tych młodych sympatycznych chłopaków, ale co można było zrobić. Kierownik z żalem myślał o nich kiedy nad ranem ruszał z placu tym razem prowadząc samochód wraz z kempingiem pewnego rosyjskiego artysty, który wraz z żoną na miejsce dojedzie później. Tak jak w przysłowiu „psy szczekają, a karawana idzie dalej”. I w tym przypadku nie trzeba było nic dodawać i nic nie można było na to poradzić. Ich problem polegał dodatkowo na tym, że zostali tam zupełnie zdani na siebie z 4 wozami i końmi bez zapasu paszy. Poza tym bez żadnego transportu ponieważ w pierwotnych założeniach to Pinder miał transportować ich wozy z miasta do miasta. Na dodatek Monika młoda i niedoświadczona artystka dała się namówić na to, żeby została w cyrku i zostawiła kolegów. Tak... nie ma sentymentów w tej branży. Wpadła bowiem w oko synowi właściciela cyrku Fryderykowi. Ten adorując ją obiecywał świetlaną przyszłość u jego boku. Jednak chodziło mu tylko o jedno, i wiadomo co to mogło być. Już po kolejnym miesiącu ten rozpieszczony synalek tatusia się nią znudził i odesłał do Polski, podobnie jak poprzednio jej kolegów. W pojedynkę nie była już taką atrakcją, żeby mogła występować sama w największym francuskim cyrku. Próbowala co prawda występów na wertykalu⁴³, ale nie był to numer na miarę Pindera. Tak właśnie wyglądał jeden z wielu epizodów cyrkowej rzeczywistości lat dziewięćdziesiątych.

W cyrku jak nigdzie indziej życie toczyło się według odrębnych praw i zwyczajów. Dla ludzi z zewnątrz było pełne niewygody, ale też i swoistej tajemnicy. Owszem warunki życia w taborze nie należało do łatwych ale miało to też swój urok. A kto raz spróbował takiego życia, zawsze będzie go tam ciągnęło, jak wilka do lasu. Może przez to, że mimo wszystko dawało ono poczucie wolności i niezależności od zasad i norm rządzących całym pozostałym światem.

Jednym z takich zwyczajów było wyrzucanie schodów tym, którzy na czas nie odczepili ich od swoich wozów przed przerzutem. Wieszalo się je wtedy na specjalnych zaczepach na ścianie z tyłu lub z boku wozu. Kierowca podczepiający wóz nie miał obowiązku na nie uważać. Bo i nie miał na to czasu, a wczesna pora i półmrok nie sprzyjały takim działaniom. To właściciel działki powinien zadbać o to jeszcze poprzedniego dnia wieczorem. Więc albo ruszał, a w wyniku tego schody się niszczyły albo odrzucał je na bok i wtedy to właściciel działki miał sobie je odnaleźć na placu. Ewentualnie chowano takie schody do innego wozu i bez butelki w ramach wykupu taki artysta musiał wskakiwać do środka niezłym zając. Pół biedy jeśli trafiło to na mężczyznę. A schody zazwyczaj były dopasowane do tego jednego wozu i nie było możliwości podmiany, czy pozyczenia od kogoś innego.

Oczywiście całkiem innym, ale bardzo zakorzenionym zwyczajem było picie wódki. Szczególnie tam w Rosji, gdzie butelka Stolicznej czy Pszenicznej kosztowała niecałe 10 rubli. Był to element powodujący jeszcze większą integrację tego środowiska. Dzisiaj nie ma już ani takich cyrków ani ludzi. Jednak były przy tym pewne zasady chociażby takie, że w dzień przed i w dniu przerzutu kierowcy nie piją, a w dniu budowy czy rozbudowy cyrku nie piją technicznie. Artyści w rozsądnych ilościach mogli pić zawsze i nikt tego nie kontrolował. Rzecz jasna do czasu kiedy miało to negatywny wpływ na losy przedstawienia. Dobro przedstawienia było najważniejsze i wszystko było temu podporządkowane. Podobnie kadra kierownicza i administracja bez ograniczeń mogła oddawać się konsumpcji byleby nie miało to negatywnego wpływu na funkcjonowanie cyrku. W znakomitej większości przypadków zachowywano pewną przyzwoitość i nikt nie zataczał się chodząc po cyrkowym placu. Poza tym nadal było to państwowe przedsiębiorstwo. A dyscyplinarne zwolnienie z wilczym biletem groziło każdemu. Ale dzięki takiemu układowi mimo trudów i uciążliwości żyło się dość beztrosko i wesoło. Jeśli jednak ktoś łamał te zasady to prędzej czy później miał do czynienia ze Starym, który już dawno wypracował metody postępowania w takich przypadkach.

Delikwent wzywany był na dywanik do biura dyrektora i oficjalnie zazwyczaj w obecności kierownika Stary dobitnie zwracał mu uwagę na popełniony błąd. Często robił to w mało wybredny sposób. Szczególnie wtedy gdy chodziło o któregoś z technicznych, a byli to w większości ludzie bez żadnego wykształcenia lub z podstawowym. Zazwyczaj też taki winowajca miał w ramach kary własnoręcznie napisać coś w rodzaju donosu na samego siebie. Czyli napisać, że w dniu takim i takim spożywał alkohol w miejscu i w czasie pracy. Po podpisaniu takie oświadczenie lądowało w szufladzie biurka dyrektora. Szuflada rzecz jasna podobnie jak całe biuro była zamykana na klucz. Kierownik nigdy by nie przypuszczał, że kiedyś właśnie ta szuflada stanie się również dla niego realnym zagrożeniem.

Zdarzało się i tak, że Stary niemal w ciemno wołał kogoś do kogo miał jakiegokolwiek zarzuty i niemalże wmawiając mu naruszenie regulaminu kazał napisać podobne pismo, ale bez wstawiania daty. Co ciekawe zastraszeni często

ludzie pisali prawie pod dyktando. Tym bardziej, że często mieli jednak coś na sumieniu. Od tej pory dyrektor miał na takiego nieszcześnika haka i mógł to wykorzystać w każdej chwili. Dlatego zazwyczaj pracownicy byli dość karni i woleli nie mieć do czynienia z dyrektorem w podobnych okolicznościach.

Była to metoda tak samo dobra jak rekwirowanie wszystkim pracownikom paszportów i deponowanie ich w sejfie u kierownika. Dzięki temu nikt bez zgody i wiedzy starego nie wyjechał do kraju. Być może gdyby nie to nie jeden dałby nogę już po miesiącu. Ale zdarzały się też przypadki, że stary sam odsyłał ludzi do Polski. Powód zawsze się znalazł, a na ich miejsce przysyłano nowych.

Jednym z takich przypadków było odesłanie dwóch kierowców, którzy zresztą 3 tygodnie wcześniej przyjechali do pracy. Ponieważ zatrudnienie było jak najbardziej oficjalne przez ZWC⁴⁴ reprezentowany przez dyrekcję bazy Julinek to podróż tam i z powrotem finansowana była przez cyrk. Załatwiano też służbowe paszporty, wize i niezbędne inne dokumenty. Tak też było i w tym przypadku.

Obaj ci kierowcy po prostu się nie nadawali do tej roboty. Jeden z nich przyszedł z MZK i kiedy okazało się, że w cyrku trzeba samemu wymieniać nie tylko koła, ale i opony to sam się poddał prosząc o odesłanie do kraju. Starsi stażem koledzy z niemalym zaangażowaniem pomogli mu w tej decyzji karząc wymienić koło w ciągniku. Oczywiście to większe. Już samo to, że musiał samodzielnie przetoczyć je w błocie przez cały plac było dla niego zbyt dużym wyzwaniem. Jak wiadomo w MZK takie prace wykonuje ekipa specjalnego technicznego wozu, a kierowca w tym czasie może sobie przeczytać gazetkę lub zjeść kanapkę.

Drugi z tej dwójki poza tym, że był wyjątkowym leserem z kolejną lewą ręką zamiast prawej, to miał poważny problem alkoholowy. Potrafił w nocy obudzić się tylko po to żeby wypić 2 butelki szampana zagryzając pomidorem. Szampan był powszechnie dostępny i sporo tańszy od wódki. Ale to w zupełności mu wystarczyło żeby zaspokoić głód alkoholowy. A następnego dnia podczas odprawy był już ugotowany. Ten z kolei poprzednio jeździł w pogotowiu i do pracy fizycznej miał po prostu wstręt, poza tym był rudy i w ogóle mało sympatyczny.

Pewnego dnia o poranku podczas kuplowania⁴⁵ wozów – czyli podpinania ich do samochodów i przygotowywania przerzutu padał dość gęsty deszcz. Mimo to wszyscy normalnie pracowali, bo w cyrku takich sentymentów po prostu nie ma. Jedynie kierownik chodził po placu z parasolką. Ale tym razem nie jako niczego nieświadomy żółtodziób, lecz jako doświadczony już koordynator prac. Nadzorując osobiście realizację wydawanych przez siebie dzień wcześniej dyspozycji i poleceń. Jednak po pewnym czasie w końcu zauważył brak jednego z ludzi.

No tak... to był jak zwykle „nowy” jak przywykł już o nim mówić. Ku jego ogromnemu zdziwieniu już po chwili poszukiwań odnalazł go chowającego się za krzakiem z paraso-

⁴³ Występ na pionowej linie.

⁴⁴ Zarząd Widowisk Cyrkowych

⁴⁵ Podczepianie wozów cyrkowych i przyczep do ciężarówek.

lem w ręce. Tyle, że niebieskim, bo zdaje się damskim.

– A co pan tu robi?! Wrzasnął zdziwiony i nie mniej wkurzony takim stanem rzeczy...

– Schowałem się... bo przecież pada... – odpowiedział z przekonaniem, że to co robi jest jak najbardziej normalne...

– A co to kurwa przedszkole...? Jazda do roboty i to już!

Nie próbował nawet dyskutować. Chcąc nie chcąc udał się niemrawo w kierunku kuplowanych wozów złożony uprzednio parasol.

– No to teraz ja cię przypilnuję – pomyślał kierownik – i do końca przerzutu nie spuszczał go z oka.

W związku z taką właśnie sytuacją dotyczącą ich obu, w końcu pewnego dnia zapadły decyzje dotyczące powrotu owych ludzi do Polski. Kierownik dostał polecenie zakupu dwóch biletów lotniczych do Warszawy. A następnie w dniu wylotu dopilnowanie, aby wsiedli do samolotu. W obydwu przypadkach popierał decyzję „deportacyjną” starego, choć w tamtym czasie już dość często się nie zgadzali i dochodziło do awantur pomiędzy nimi.

Należało więc udać się, aż do Taszkientu stolicy ówczesnej Uzbekiej Republiki Radzieckiej, a obecnie Uzbekistanu, gdyż tam było najbliższe lotnisko. Było ono największe i wyjątkowe jak większość miast w tym regionie. Cyrk wtedy stacjonował w miejscowości Angren położonej ponad 100 km od Taszkientu. Rolnicza kraina produkcji bawełny i meczetów. Sam Uzbekistan położony jest pomiędzy dwiema wielkimi rzekami, a sporą część jego powierzchni stanowią góry. W znacznej większości to państwo islamskie z wielowiekową historią i takimi perłami jak Samarkanda, które to miasto powstało ponad 1000 lat p.n.e.

Po bilety pojechali razem ze starszym kierowcą. Kierownik z racji swojego stanowiska nie musiał nigdzie jeździć sam, mimo że posiadał prawo jazdy. Tym razem pojechali autobusem gdyż inne samochody były w rozjazdach realizując liczne zadania. Lotnisko okazało się naprawdę potężne jak większość rzeczy w tym potężnym kraju. Już sam parking i rozległe terminale robiły duże wrażenie. Kierowca został w autobusie, gdyż ktoś go musiał przecież pilnować. A i tak nie chciałoby mu się nigdzie chodzić. Mimo, że ludzie na pierwszy rzut oka, a po rosyjsku *первый взгляд*⁴⁶, byli uczciwi i szczerzy to jednak rejon generalnie nie był całkiem bezpieczny. Podobnie jak i czasy, w których przyszło im tam właśnie przebywać.

Nie było to proste zadanie, kupić bilety nie tracąc zbyt wiele czasu. Normalnie potrzeba byłoby na to pół dnia. Ale kierownik wtedy już miał sporą wprawę w rozwiązywaniu różnych częstych dziwnych i z pozoru nie do rozwiązania problemów. Dlatego nawet się nie zastanawiał tylko realizował na bieżąco ułożony przed chwilą w głowie plan.

Wciskając się w tłum ciasno oblegających kasy ludzi, pomstował łamanym rosyjskim i co chwilę wtrącił jakieś słowo po angielsku. Nie znał ich wtedy zbyt wiele, ale tyle wystarczyło. Za to rosyjski miał już opanowany tak dobrze, że często rozmówca nie chciał uwierzyć, że rozmawia z Polakiem wskazując raczej na Białoruś ze względu na charakterystyczny akcent. Z tego też powodu nie mógł w tym konkret-

nym przypadku posługiwać się wyłącznie rosyjskim. Mimo, że normalnie wydawać by się mogło, iż jest to tak samo słuszne co niezbędne.

Dopchał się w końcu do kasy, dziwiąc się w głębi ducha, że w tym dzikim kraju nawet w kolejkach ludzie nie potrafią normalnie stanąć. Kolejka do kasy, to był nieprzebrany tłum okupujący trzy okienka i tylko rdzenni mieszkańcy tego regionu umieli w tym bałaganie dostrzec jakiś porządek, a nawet go przestrzegać. A tłum był tak duży ponieważ w tym czasie odbywało się coś w rodzaju zjazdu muzułmanów. I wszędzie ich było pełno w charakterystycznych turbanach, hidżabach⁴⁷ oraz sandałach na nogach. Zaczął więc głośno narzekać po angielsku, że taki bałagan w jego kraju jest nie do pomyślenia. Że zagraniczni goście w cywilizowanym kraju mają w końcu jakieś przywileje itd. Oczywiście tu w Uzbekistanie też tak było jednak jakoś musiał udowodnić, że jest *уностранцем*. A do tego świetnie nadawał się język powszechnie uchodzący za bardzo obcy, czyli angielski. Oczywiście nie omieszkął zapewniać, że jest Polakiem, ale z kasjerką nie mógł się jakoś dogadać, a nie chciał się zdemaskować, że świetnie mówi po rosyjsku bo cały misterny plan by diabli wzięli. W końcu wepchał się tam bez kolejki. Po pewnym czasie bezowocnych starań ku jego zdziwieniu wśród obsługi lotniska znaleziono kogoś kto biegle władał angielskim. Sympatyczna stewardesa w uniformie ze znacznikiem *Аэрофлота*⁴⁸, czerwoną apaszką na szyi i charakterystycznej furażerze na głowie, przykrawającą starannie zaczesaną fryzurę.

– No to leż – pomyślał...

Ale grał twardo dalej, w końcu był już tak blisko... Ponieważ nikt tam też nie znał polskiego od teraz większość słów zaczął wypowiadać po polsku. Jedyne okraszając je wstawkami ze znanych sobie zwrotów z angielskiego. No i pani, która miała to wszystko tłumaczyć zbierała, a cały obecny tam personel zaczął wątpić w jej lingwistyczne umiejętności. Sytuacja robiła się nawet zabawna. Obie strony mimo wysiłków nijak nie mogły się dogadać. Dla pracowników lotniska sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna. Nie mogli przecież odesłać *уностранца* od okienka z przysłowiowym kwitkiem. Kierownik o tym wiedział i w odpowiednim momencie powiedział w końcu niby to łamanym rosyjskim o co chodzi i kupił dwa bilety. Lot do Warszawy przez Moskwę na jutro. Kasjerki odetchnęły z ulgą, a on już po niecałej godzinie wracał zadowolony do autobusu. Choć odniósł pewien sukces, to czuł się.

Zanim jednak dotarł do autobusu został zaczepiony przez jakiegoś wyglądającego na typowego Uzbeka pasażera. Który twierdząc, że został okradziony próbował sprzedać obrączkę gdyż potrzebował pieniędzy na bilet do domu. Tak przy tym był przekonujący, że kierownik się zainteresował i postanowił go wysłuchać. Obrączka była dość gruba jakieś 4 razy grubsza od obrączki kierownika. Ale ta złota było sporo więc nie było to dziwne. Miała też widoczne próby i niczym nie wzbudzała żąd-

nych podejrzeń ewentualnego kupca. Poza tym błyszczał w słońcu jak nowa. Cwany handlarz, a jak się dopiero później okazało oszust, miał nawet sposoby na potwierdzenie, że złoto jest autentyczne. Wyrywał sobie czarny jak smoła włos z głowy i przeciągając po nim obrączkę wskazał na metaliczny dźwięk. Jaki według niego mógł być wydawany jedynie przez prawdziwe złoto. Podobnie wyszła próba z kwasem z akumulatora przypadkowego samochodu. Umoczone w nim zapalka nie pozostawiła najmniejszego śladu na obrączce. To wystarczyło żeby przekonać każdego, kto tak naprawdę na złocie się nie znał.

Kierownik kupił więc ją za 150 rubli, a cena ta za tyle złota wydawała się okazją. Tomek nawet początkowo zazdrościł, że to nie jemu się ona trafiła. No ale trudno. Sam miał już niemały zapas złotej biżuterii podobnie jak większość cyrkowej ekipy.

Dziś ta sama obrączka po wielu latach od tamtych wydarzeń jest jedynie pamiątką dziwnych czasów i wywołuje uśmiech wspomnienia. Dawno już zaszła ciemną zielonkawą patyną charakterystyczną dla wyrobów z brązu. Jeszcze tam w Rosji została zdemaskowana po tym jak z Polski przysłano flakonik ze stężonym kwasem solnym. Po tej próbie ten półszlachetny metal zaczął, aż kipieć tak pięknie się rozpuszczał. A prawdziwe złoto jest w stanie rozpuścić jedynie woda królewska stanowiąca mieszaninę kwasu solnego z azotowym. Od tej pory wszystkie zakupy tego typu były testowane zapalką umoczoną we flakoniku z Polski a nie w celi akumulatora.

Po ponad czterech miesiącach tournée po radzieckiej części Azji przyszedł czas na kolejny wielki kolejowy przerzut.

Do tej pory zdobyte doświadczenie spowodowało, że tym razem kierownik czuł się w swej roli prawie jak ryba w wodzie. Nabral pewności siebie i nie straszne mu było żadna wyzwania, których nadal było mnóstwo. Praca w cyrku zaczęła przynosić zadowolenie, a wraz z nim całkiem niezłe zarobki. Otóż jako zastępca dyrektora cyrku zarabiał 1200 rubli miesięcznie, zaledwie o 200 mniej od Starego. W jeden miesiąc zarabiał więc tyle co zwykły Rosjanin w ciągu całego roku.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji mógł się czuć nie tylko jak Polak, ale jak Pan Polak. Tak też traktowany był przez ludzi, z którymi stykał się na co dzień. Dzięki tym ciągłym kontaktom w błyskawicznym tempie do perfekcji opanował rosyjski język. Tak, że z czasem, najpierw myślał po rosyjsku a dopiero później tłumaczył to sobie w głowie na polski. Wciągnął się w to cyrkowe życie bez reszty. Teraz już częściej wspominał w myślach o rodzinnym kraju i bliskich jednak nie tęsknił tak jakby można się tego spodziewać. Wiedział, że oni tam są bezpieczni, a czas do powrotu powoli zaczynał się kurczyć więc już za kilka miesięcy znowu ich zobaczy. Jednak ta przygoda odmieniła jego życie na zawsze. Bo to tu stał się naprawdę samodzielny, skazany jedynie na siebie i od siebie zależny. Zahartowany w kontaktach z ludźmi, umiejący rozwiązać zawiłe problemy i znaleźć wyjście w trudnej sytuacji. Zdobył nieocenione życiowe doświadczenie, którego próżno by szukać pracując i żyjąc w Polsce. Bo życie tam było fascynujące, wciąż nowe, dziwne, niewiarygodne i z każdym dniem zaskaki-

⁴⁶ Z ros. – czytaj – pierwszy взгляд

⁴⁷ Skromne tradycyjne muzułmańskie odzienie zarówno męskie jak i kobiece.

⁴⁸ Z ros. – czytaj – Аэрофлота – Rosyjskie Linie Lotnicze.

wało coraz bardziej. Nie... nie stał się innym człowiekiem, ale to co miał okazję przeżyć czy zwiedzić, zwykle dane jest tylko nielicznym. Teraz po wielu latach śmiało można powiedzieć, że była to przygoda życia.

Bo dodatkowym bonusem w tej pracy był fakt możliwości odbycia niepowtarzalnej wycieczki pośród wyjątkowych krain ówczesnych azjatyckich republik ZSRR. Takich jak: Uzbekistan, Tadżykistan, Turkmenistan, Kirgistan czy Kazachstan. A przed nim były kolejne jak np. Dagestan, czy wielka Gruzja. Wszystko tam było egzotyczne i niejednokrotnie wręcz bajkowe. Innym zaś razem surowe czy wyjątkowo proste. Jednak i ta prostota życia też była fascynująca. Jako kierownik cyrku miał znacznie więcej możliwości na zwiedzanie okolicy i zabytków niż zwykli pracownicy, czy nawet artyści. Chociażby z tego powodu, że zawsze miał do swojej dyspozycji samochód. Miał też ciągle kontakt z ludźmi, którzy tam żyli i pracowali. Dawało to możliwość rzetelnej oceny tamtej rzeczywistości. Więc mity, które się w Polsce często słyszały na temat życia w Rosji okazywały się często jedynie złośliwą krytyką, wygłaszaną przez ludzi, których wyobrażenie o tym wspaniałym kraju czerpali głównie z opowieści rodzinnych. Opowieści opartych na dziejowej wrogości i zawiści. Bo to przecież Katyń, bo inne grzechy Rosji na przestrzeni historii.

Jednym z takich mitów było twierdzenie, że w Rosji mięso w sklepie mięsnym zawija się w gazetę. I gdyby ktoś tam nie był nie miałby powodu w to nie wierzyć. W końcu w Polsce zawsze panowała opinia, że Rosja to zacofany kraj, brak kultury itd. Tymczasem okazało się, że mięso nie tylko zawijane było w papier podobnie jak w Polsce, to dodatkowo ekspedientki ubrane były w białe fartuchy, a na głowach miały obowiązkowo białe czepki. Podobnie było w zwykłych sklepach spożywczych szczególnie takich, w których sprzedawano nabiał. I na tym przykładzie widać jak różna więc była rzeczywistość od funkcjonujących w Polsce mitów. Oczywiście będąc tam można było doświadczyć też z goła odwrotnych sytuacji. Coś co u nas wydawało się poprawną normą u nich funkcjonowało odwrotnie i to w taki sposób, iż wydawać by się mogło, że nie ma prawa w ogóle funkcjonować. A jednak... Funkcjonowanie tego kraju i tamtejsza rzeczywistość zaskakiwały na każdym kroku.

W Polsce kierowca zatrzymany przez milicjanta czuł by się bardzo niekomfortowo nawet gdyby była to zwykła kontrola. Po prostu kontakt z przedstawicielem władzy z gruntu nie należał do przyjemnych. A takiej drogowej kontroli zawsze towarzyszył stres, czy obawa. Jednak w azjatyckiej części ZSSR było zupełnie inaczej. Tam kierowca zatrzymany do kontroli wysiadał uśmiechnięty i raźnie podążał w stronę milicjanta. Który zresztą też się uśmiechał. A odbywało się to jakby spotkali się dwaj znajomi. Na powitanie zawsze podawali sobie rękę i po chwili rozmowy kierowca wracał do samochodu. Na pożegnanie nierazko jeden drugiego potrafił przyjacielsko poklepać po ramieniu. Owszem jest to niewiarygodnie ale tak właśnie było. I to nawet wtedy kiedy milicjant zatrzymał auto np. z powodu niesprawnego światła czy innej usterki. W ogóle jeśli chodzi o zasady ruchu drogowego była tam większa dowolność niż w Polsce. A może

tylko bałagan... Ale czy przez to było bardziej niebezpiecznie? Chyba nie. Przez te wszystkie miesiące kiedy przemierzał niezliczone kilometry radzieckich dróg kierownik nie widział żadnego wypadku czy choćby kolizji. No poza jednym kiedy to Jurek Waciarz rozbił swoją przyczepę kempingową. Ale to osobna historia.

Tam w Azji w większości przypadków samochody osobowe nie miały w ogóle bocznych lusterek. W Polsce w tym czasie wchodziła moda na montowanie dodatkowo z prawej strony, a tam nie było ich wcale. Można było pomyśleć, że ktoś je pourywał gdyby nie fakt, że dotyczyło to wszystkich aut. Było to intrygujące na tyle, że pewnego razu kierownik podczas rozmowy z milicjantem o to zapytał. Okazało się, że kierowcy sami demontują boczne lusterka. Jak powiedział milicjant: *Чтобы пассажиры не отрывали*⁴⁹, czyli w obawie przed tym, że pourywają je huligani.

Dziwne? Ale wtedy nasza rzeczywistość też mogłaby się wydawać dla kogoś dziwna. Szczególnie dla kogoś ze wschodu. W Polsce na początku lat 90-tych za stosowanie dodatkowych świateł stopu karano kierowców mandatami. Choć dziś dodatkowe tak zwane „trzęście światła stopu” jest normą i nikt sobie nie wyobraża żeby mogło być inaczej. Tymczasem w ZSRR w tym samym czasie było to dozwolone, podobnie jak wielotonowe klaksony czy przyciemniane szyby. Więc jak w tym kontekście nasz wielce cywilizowany kraj wypadł na tle zacofanej Rosji?

Nie inaczej jest i dziś. W ostatnich latach bowiem modne są samochodowe rejestratory jazdy. Czyli kamery umieszczane w samochodach monitorujące i rejestrujące przebieg trasy, czyli też wszystkich związanych z nią zdarzeń. Jednak w naszym kraju mimo, iż kierowca posiada nagranie, na którym widać jak ktoś mu zajechał drogę i w wyniku tego doszło do wypadku nie jest pewny, że w sądzie mu to w czymkolwiek pomoże. Nie każdy bowiem wie, że w naszym kraju to Sąd decyduje o tym jakie dowody zostaną wzięte pod uwagę podczas rozprawy. To Sąd ocenia czy i w ogóle takie nagranie może być dowodem.

Tymczasem w zacofanej jak niektórzy uważają Rosji już w roku 2011 wszedł prawny przepis dopuszczający z definicji takie nagranie jako dowód. Stąd wielka popularność rejestratorów w tym kraju nie wynika tylko z mody, ale też z praktycznej potrzeby. A dzięki temu jest bezpieczniej i łatwiej dochodzić swoich praw w razie czego. Więc można by się i dziś zastanowić jak nasz europejski, cywilizowany kraj wypada w tym porównaniu z Rosją? Takich przykładów jest znacznie więcej i na ich temat zapewne można by napisać osobną książkę. Ale kończąc te rozważania należy stwierdzić, że wielomiesięczny pobyt w tym kraju i to nie tylko jako turysta, który z zasady ma kontakt z wyselekcjonowaną i skomercjalizowaną rzeczywistością, uczy respektu dla kraju i narodu jakim jest Rosja i Rosjanie w szerokim tego słowa znaczeniu.

Kierownik i bez tego darzył ten kraj sympatią i szacunkiem. Miał nawet pewną teorię, której zazwyczaj używał w dyskusjach z ludźmi o odmiennych poglądach.

- Gdyby nie Rosja do dziś mówilibyśmy po niemiecku, bo to głównie dzięki nim udało się

pokonać faszystowskie Niemcy. I nie ma w tym żadnej przesady bo to akurat jest fakt.

Podobnie zresztą jak to, że to Rosjanie wysłali w kosmos jako pierwsi człowieka. To na ich koncie jest wiele odkryć naukowych i osiągnięć w technice i medycynie. Nie można więc temu krajowi odmówić wielkości i to wielkości nie tylko terytorialnej. Owszem był to kraj wielkich kontrastów, wielonarodowy i wielokulturowy, a to nie zawsze było z pożytkiem dla państwa jako takiego. Nie łatwo bowiem taką różnorodność pogodzić, zarządzać nią i kierować.

Mimo wszystko niezaprzeczalne piękno tego kraju jest tak wyjątkowe, a tym samym tak trudne do opisanie, że chyba lepiej nie podejmować się nawet takiej próby. W obawie, że nie uda się to nawet w części bez straty dla należytej dokładności. Trzeba by w tym celu napisać osobną ilustrowaną książkę i to w kilku tomach. Krajobrazy, architektura i wspaniała niespotykana nigdzie indziej roślinność jak i zwierzęta zasługują na to, aby ich opis był pełny i właściwy. W przeciwnym razie czytający nie będzie miał szansy nawet w części wyobrazić sobie tego zjawiska.

W Polsce też przecież jest wiele pięknych miejsc jednak trzeba mieć świadomość, że ówczesny ZSRR był większy od Polski 70 razy jeśli chodzi o terytorium. Więc to oczywiste, że pięknych miejsc mogło być tam aż 70 razy więcej. To takie zestawienie dla tych, którzy mimo wszystko chcieliby ująć piękno i wyjątkowość tej wielkiej krainie.

Podobnie było z mieszkańcami tych egzotycznych stron. Bezgranicznie gościnnych, szczerych i otwartych dla przybyszów. Podczas tej wielomiesięcznej podróży wielokrotnie można było się o tym naocznie przekonać.

Zdarzyło się kiedyś tak, że w pewnym mieście po przyjeździe dość późnym wieczorem na plac, Nocny⁵⁰ nie zdążył jeszcze doprowadzić wody do cyrku. Kierownik jak wielu innych musiał na własną rękę poszukać gdzieś i przynieść sobie wodę w bańce. Albo czekać, aż tamten upora się z całym kłębowskiem węży i szlauchów. Najłatwiej było wybrać się do któregoś mieszkania w pobliskich blokach. Tak też zrobił. Po przebyciu kilkuset metrów po jakich wertepach, zapukał do pierwszych lepszych drzwi na parterze. To, że dostanie tam wodę było oczywiste. Otworzył starszy mężczyzna grubo po 60-tce i od razu zaprosił go do środka. Po krótkiej chwili rozmowy gospodarz oczywiście zapewnił, że wody nie odmówi ale gość, musi z nim się napić wódki.

Dla rosyjskiego Żyda jakim okazał się ten miły człowiek wizyta *иностранца* była tak wielkim wydarzeniem, że chciał ją na swój sposób uczcić. A tym samym uhonorować przybysza. Kierownik próbował odmówić tłumaczyć się obowiązkami, ale jak zwykle nie pomogło żadne tłumaczenie. Gospodarz polecił swojej dorastającej córce zamknąć drzwi od środka i nie otwierać dopóki nie skończą. Sam przyniósł butelkę wódki i pomarańczę. Być może trudno w to uwierzyć, ale tak stojąc w przedpokoju pijąc z jednej szklanki na zmia-

⁵⁰ Pracownik odpowiedzialny między innymi za podłączenie wody, czystość toalet i nocne stróżowanie.

⁴⁹ Z ros. – czytaj – cztoby pacany nie otrywali.

nę opróżnili w dość szybkim tempie całą flaszkę. Zakąszając krojoną jak cytryna w plasterki pomarańczą. A następnego dnia nowo poznany przyjaciel w ramach wdzięczności za odwiedziny przyniósł jeszcze baniaczek z czerwonym miejscowym winem. Tacy tam żyli ludzie.

Ale nie tylko przybyszów z odległych krajów traktowano w wyjątkowy, przyjacielski i uczynny sposób. Otóż w rejonie dawnego miasta Ordżanikidze obecnie Władykaukazu można było doświadczyć czegoś co w Polsce dawno już nie miało miejsca, a może nawet nigdy - przynajmniej w takiej formie. Mianowicie wystarczyło stanąć przy ulicy i na chwilę wystawić rękę przed nadjeżdżającym samochodem aby ten od razu się zatrzymał gotowy do pomocy czy podwiezienia. I to zarówno w mieście jak i poza. Trzeba przyznać, że to niesamowite i mogło zaszokować kogoś, kto w Polsce mógł machać nawet kilkadziesiąt minut zanim ktoś się zlitował i zatrzymał. Tam natomiast zatrzymywał się pierwszy napotkany samochód i to za każdym razem. Po prostu ludzie byli uczynni i pozytywnie nastawieni. Czuli się też bezpiecznie i ufali innym.

* * *

Wróćmy jednak do zbliżającego się wielkiego przetrzutu. Wielkiego nie tylko ze względu na odległość, ale też na planowany czas trwania transportu - mianowicie miało to być 7 dni, ale w rezultacie było ich 8. Przygotowania tym razem w całości przeprowadził kierownik wspomagany przez Walę. Była to osoba o przyjaznym usposobieniu i zawsze dobrym humorem. Niezbyt wysoka i zaokrąglona więc wyglądała czasem jak piłeczka na krzywych nóżkach z bujną fryzurą złożoną z szatynowych loków. Jako administrator ze strony *Госцирка* służyła pomocą w rozwiązywaniu trudnych spraw. Nie mieszkała na stałe w cyrku, tak jak na przykład Tatiana, która związała się z polskim trenerem świń. Wala pojawiała się podobnie jak dyrektor Aleksejew. Dzieląc się obowiązkami z Tanią w jednym mieście była, a w następnym już nie. Współpraca z nią układała się nadzwyczaj dobrze być może dlatego, że młody kierownik wpadł jej w oko już przy pierwszym spotkaniu. Dało się to wyczuć. Jednak nie była zupełnie w jego typie. Niska, z nadwagą i generalnie nie grzesząca urodą. Za to zawsze gadatliwa i uśmiechnięta. Chętna zapewne nie tylko do pomocy. Nieraz zapraszała do swojego wozu pod byle pretekstem. A to na kawę, a to na wódkę czy wprost na noc. Po pewnym czasie wiedziała już, że i tak nic z tego. Jednak od czasu do czasu nadal próbowała licząc być może na chwilę słabości opornego *парня*⁵¹, spowodowaną faktem tylu miesięcy poza domem. Pracowała już tu w poprzednim roku i wtedy na pewno nie jeden skusił się na jej wdzięki, a zbliżająca się połowa sezonu podpowiadała, że lada moment większość facetów pęknie i zacznie rozglądać się za rozładowaniem narastającego seksualnego napięcia. Niektórzy pękali znacznie wcześniej.

Teraz jednak razem z kierownikiem przeciwskajając się pomiędzy wagonami i lokomotywami, a czasem pod nimi, szli ustalać szczegóły dotyczące składu pociągu, rodzaju wagonów i wielu innych spraw związanych z nieodległym przetrzutem.

Naczelnik stacji okragły na twarzy i ze śniadą cerą jak większość rdzennej ludności w trakcie rozmowy bezustannie zajał się *семечками*⁵², a ich łuskwinny wypływ wprost na podłogę. To zjawisko stanowiło w tym rejonie nieodłączny element kultury. Szklanka takich pestek kosztowała 3 kopiejki i po zakupie wysypywało się zawartość wprost do kieszeni marynarki, aby można było bez przerwy się nimi zajaść. Zachowanie więc naczelnika mimo, że wzbudzało zdziwienie było jak najbardziej naturalne, a ten stan potwierdzały zapłute łuskwinami podłogi i wszystkie chodniki na ulicach miasta. Sam załadunek poszedł wyjątkowo gładko. Zapewne też dlatego, że pogoda była iście letnia. Było bowiem słonecznie i ciepło ale nie gorąco. W tym rejonie świata ciepło robi się znacznie szybciej niż w Europie.

Ponadto nie było presji czasu i mimo, iż tym razem już cały cyrk został załadowany na towarowe wagony, to obyło się bez żadnych problemów. A wagonów było jeszcze więcej niż poprzednio bo ponad 90. Ciekawostką może być to, że Sumatra⁵³, potocznie zwana Sumi, wymagała osobnego krytego wagonu. Jednak nie mógł być to zwykły wagon. Treserzy wraz z pielęgniarzem słońia, dokładnie i pieczołowicie wybierali odpowiedni wagon. Chodziło o to żeby nie miał on najmniejszych uszkodzeń w postaci nadieranej deski, okucia czy innych wystających elementów. Nie każdy bowiem wie, że słoń przy pomocy niezwykle chwytnych łap byłby w stanie podczas podróży rozebrać wagon kawałek po kawałku. Z tego samego powodu w wagonie należało uprzednio ułożyć specjalną słoniową podłogę. Do której słoń był przywiązywany za jedną przednią i jedną tylną nogę. Dzięki temu nie mógł się przemieszczać co w trakcie ruchu pociągu mogłoby być niebezpieczne zważywszy na jego masę. Były to cztery specjalnie przygotowane drewniane okute płyty o wymiarach 3x1 metr i grubości ok. 12 cm. Jedna ważyła ponad 100 kg dlatego do ich układania każdorazowo angażowani byli kierowcy. Na tych płytach słoń pozostawał również na noc w specjalnym namiocie stanowiącym stajnię. Takie zwierzęta w niewoli mają coś w rodzaju choroby sierocy. Pozostawione same sobie bez przerwy kiwają się przestępując z nogi na nogę. Lub balansując ciałem z boku na bok. Na pierwszy rzut oka może wyglądać się to zabawnie, ale zabawne z pewnością nie jest. Tylko na arenie cyrkowej zwierzęta wyglądają na zadowolone. W swoich ciasnych klatkach na zapleczu już nie jest tak wesoło. Wspomniany wcześniej niemiecki treser słońi w cyrku Pinder miał tak silny wpływ na te zwierzęta, że nerwowo reagowały już na sam jego głos. Otóż wystarczyło, że krzyknął, a słoń stojące w stajni nagle jak na komendę zatrzymywały się w swym specyficznym tańcu. Mimo że nawet go nie widziały to nasłuchiwały co będzie dalej. Ponownie wracały do kiwania kiedy upewniły się, że jednak od nich nie idzie. I nie był to bynajmniej wyraz sympatii a strachu przed tym co może się stać.

W krajach Europy obrońcy zwierząt od dawna protestują przeciwko występowi zwierząt, a szczególnie dzikich zwierząt w cyrkach. Jednak wtedy w Rosji nikt o tym nawet nie sły-

szał. Przez następne kilka lat swojej cyrkowej przygody kierownik nie raz napatrzył się w jaki sposób traktowane są tam zwierzęta. Oczywiście są tacy ludzie którzy i w cyrku traktują zwierzęta tak jak na to zasługują. Poza tym cyrk bez zwierząt to już nie jest to. Więc złotego środka nie ma.

Tym razem podróż była znacznie bardziej przyjemna niż poprzednio. Nie dość, że pociąg jechał znacznie wolniej to powiew powietrza przyjemnie i delikatnie chłodził podróżujących nim ludzi. Można więc było jechać z otwartymi drzwiami. Takie warunki pozwalały na urządzenie istnych pikników na jadących wagonach. Na wolnej części nisko-burtowych wagonów ustawiało się stół i krzesła gdzie zasiadała grupka podróżnych z sąsiednich wagonów. Ponieważ tym razem wszyscy pracownicy cyrku podróżowali w ten sam sposób, to takich pikników było codziennie co najmniej kilka. Często też się zatrzymywano, aby napić czy nakarmić zwierzęta oraz sprawdzić stan całego składu.

Wóz kierownika znajdował się co najmniej kilkadziesiąt wagonów od wozu dyrektora. Z tego chociażby powodu nie przyszło mu nawet do głowy żeby się tam wybierać. Poza tym zachodziło niebezpieczeństwo, że będzie musiał wsiadać gdziekolwiek w przypadku gdy nagle pociąg ruszy. Taka sytuacja była mu na rękę czym dalej od Starego, tym lepiej i spokojniej. A takie rozstawienie wyszło tak jakoś samo w trakcie załadunku i nikt tego specjalnie nie planował. Trzeciego jednak dnia podróży na postoju gdzieś w rejonie Morza Aralskiego zawołał go znajomy głos.

- Panie kierowniku! Jest pan tam?

Bezbłędnie i w mig rozpoznał głos Starego

- Co on tu robi? Czego może chcieć? - pomyślał.

- Tak panie dyrektorze, coś się stało? - Z nieudawanym zdziwieniem stanął w otwartych drzwiach działki.

- Ile pan ma lat? Zapytał Stary jakby zniecierpliwiony...

Takie pytanie było zaskoczeniem jednak odpowiedź na nie była prosta i oczywista

- 24 - Odpowiedział nadal nie kryjąc zdziwienia.

- A ja 54... Czy nie uważa pan więc, że choćby z tego powodu to pan powinien się pofatygować do mnie a nie ja do pana?

Kierownik zupełnie się tego nie spodziewał. Poczuli się tak samo głupio co bezradnie. Przez chwilę milczał zdumiony, zanim cokolwiek odpowiedział.

- Nie wiedziałem, że powinienem, poza tym nie takiego się nie dzieje i wszystko jest w porządku. Pana wóz jest po drugiej stronie pociągu, a ja w okolicy swojego nad wszystkim czuвам... Zresztą nikt mi nie zgłaszał żadnych problemów.

Jakoś głupio zabrzmiało to tłumaczenie ale cóż. Stary na szczęście nie naciskał i zaproponował:

- To przejdźmy się razem na obchód. Na tej stacji pociąg będzie stał ponad godzinę.

- Aha - pomyślał kierownik - inaczej byś tu nie przyszedł, a do mnie masz pretensje.

- Jasne panie dyrektorze, już do pana schodzę.

Po czym razem udali się na obchód składu.

Epsi Peterson

Ciąg dalszy nastąpi.

⁵¹ Z ros. - czytaj - pareń - chłopiec.

⁵² Z ros. - czytaj - semiczki - prażone pestki słonecznika

⁵³ Słonica występująca w cyrku.



Powiat makowski w oczach korespondentów gazety „Zorza” z początków XX wieku

Cezary PAŁUBIŃSKI

Dziś znowu mam kilka wiadomości dotyczących Krasnosielca i okolic sprzed ponad 100 lat, tym razem odszukane w tygodniku *Zorza*.

Pismo to wydawane było w Warszawie w latach 1866-1939, z przerwą w okresie 1899-1905 oraz 1905-1908, kiedy to zostało zawieszone przez władze carskie za popieranie kampanii o polską szkołę i gminę, ukazywało się wtedy jednakże pod zmienionymi tytułami.

Zorza kierowana była przede wszystkim do mieszkańców wsi. Początkowo zamieszczała informacje z życia gospodarczego i niezbyt wyszukane pod względem treści i formy utwory literackie o charakterze religijno-moralnym. Propagowała ruch spółdzielczy, zakładanie kas oszczędności i rzemiosło. Założycielem, wydawcą i pierwszym redaktorem był J. Grajner, następnie J. K. Gregorowicz.

Po zakupieniu pisma przez K. Prószyńskiego i M. Malinowskiego, *Zorza* znacznie poszerzyła swój zakres tematyczny i drukowała utwory wybitnych ówczesnych polskich pisarzy, m.in.: Marii Konopnickiej, Klemensa Junoszy (Szaniawskiego), Elizy Orzeszkowej, Władysława Reymonta i Henryka Sienkiewicza. W okresie międzywojennym *Zorza* pozostawała pod silnym wpływem endecji.

Wybrane do niniejszego Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego artykuły, pochodzą z lat 1910-1914, zachowana została oryginalna pisownia przybliżając klimat i formy wypowiedzi z tamtych lat.

Cezary Pałubiński

Listy naszych czytelników Ze wsi Lipy (pow. Przasnyski ziemi Płockiej)

O dwie mile na wschód od Przasnysza, w ziemi Płockiej, leży wielka wieś Lipa. Wieś ta uciepiała bardzo wskutek wojny, ponieważ w pobliżu ciągnęły się przez długi czas pozycje bojowe. To też wieś nasza została prawie doszczętnie spalona. Pozostało zaledwie kilka domów, między innymi dom szkolny, w który mieści się dzisiaj urząd gminny.

W lipcu roku zeszłego przybyła tu nauczycielka, która z zapałem i umiejętnością rozpoczęła pracę z 80 dziećmi. Oprócz zwykłych nauk uczyła ona dzieci wierszyków, śpiewów i wpajała w ich dusze, kim być powinien każdy polak, obywatel kraju.

Rozwijała umysły dziecięce w myśl słów poety Zaleskiego, który powiedział, że:

„Kwiat, gdy z wiosną nie rozkwita,
Wcześniej uschnie na krzewinie,
Myśl, gdy młodo nie rozświta,
Już się nigdy nie rozwinie.”

Ale nie wszystkim podobała się praca zacnej nauczycielki i niektórzy z rodziców, twierdząc, że „nauczyć czytać i pisać, to wystarczy”, poczęli robić nauczycielce przykrości. Ale p. nauczycielka nie straciła zapału i pracowała dalej, choć doszło do tego, że z powodu nieogrzewania szkoły dzieci przestały do niej chodzić. Sprawa się naprawiła, dzięki ks. proboszczowi, a nauczycielka swoją pracę zawstydziła lipian.

Dzięki pomocy kryżewiaka Pokorskiego urządziła dzielna nauczycielka scenę, wyuczyła młodzież i dzieci szkolne i w dniu 17, 18 i 19 lutego dano przedstawienie amatorskie. Odegrano „Świt” i „Wyjątek z wielkiego roku”. Prócz tego były deklamacje i śpiewy.

Podobało się to bardzo lipianom: to też dziękowali bardzo za mile spędzone zapusty, a ci co występowali przeciw nauczycielce, zawstyżeni wyrzekają jedni na drugich, że dali się do złych rzeczy namówić.

Chociaż przedstawienie nie dało żadnego dochodu, bo odbywało się bezpłatnie, to jednak młodzież zachęcona pragnie grać w dalszym ciągu, a nauczycielka pewnie im pomocy swojej nie odmówi. Młodzież tujejsza za hasło wzięła sobie, że:

„Żyć dla siebie, to lepiej nie żyć wcale,
żyć dla idei, to znaczy żyć wiecznie”.

Oby to hasło, przez chłopskie wypowiedziane usta, trafiło do wszystkich współbraci.

M. Więtczak

Z Krasnosielca (pow. Makowski ziemi Łomżyńskiej)

Wojna wyrządziła niemałe szkody życiu gospodarczemu, społecznemu i oświatowemu w Krasnosielcu. Było u nas kilka poważnych instytucji, które się wspaniale rozwijały, lecz wojna podcięła ich byt. Szczególnie ucierpiał sklep spółdzielczy, który po odejściu Rosjan przestał istnieć. Na szczęście rozpoczęły na nowo swą działalność: Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe, Kółko Rolnicze i Straż Ogniowa Ochotnicza, które to instytucje wskutek działań wojennych były chwilowo zawieszone.

Za staraniem miejscowego ks. Wikarego, p. Ufnalewskiego i p. Jastrzębskiego, sekretarza sądu, odegrano 28 maja na korzyść Straży Ogniowej dwie komedijki: *Złote Gody*, *Z. Przybylskiego* i *Ostatni kosz*, *B. Herbaczewskiego*. Przedstawienie to miało świetne powodzenie: sala była przepelniona publicznością. Za staraniem p. Unfalskiego powstało Tow. Gimnastyczne „Skaut”, które rozwija się doskonale. Życie zaczyna się powoli ruszać, jedynie tylko ogromna drożyzna przypomina nam, że wojna trwa w dalszym ciągu.

Czytelnik „Zorzy” J. Suski

Od Redaktora wydania: „Czytelnikiem *Zorzy* podpisanym J. Suski, prawdopodobnie jest Jan Suski, ur. w 1897 r., syn Tomasza, mieszkaniec Krasnosielca. W 1919 roku zaciągnął się do Wojska Polskiego. Walczył podczas wojny polsko-bolszewickiej. Zginął w obrobie Wilna.” – powyższe ustalił Tadeusz Suski.

Z Gąsewa, gub. Łomżyńskiej

Jeden z czytelników naszych nadsyła nam z Gąsewa następujące wiadomości:

W parafii Gąsewskiej skutkiem ostatnich ciężkich przejść, działalność stowarzyszeń i kółek chwilowo przysłała; zebrania się nie odbywają, sklep stowarzyszenia spożywczego przy odejściu wojsk rosyjskich z pozycji nad rzeką Orzycem został doszczętnie rozrabowany. Prawie nic się nie udało ocalić w ogólnym popłochu i ucieczce ludności, choć ks. Kanonik Fabjanowicz, proboszcz gąsewski, ogłaszał w kościele, aby nie uciekano i zapowiadał, że sam zostanie. W parę dni lub tygodni popowracali ludziska do sadyb swych mniej, lub więcej spustoszonych, ale po parę rodzin brak w różnych wioskach.

Nie wrócił też i nasz skarbnik spółkowy z kasą tj. gotowizną, którą wraz z księgami zabral z sobą, i obecnie nie mamy za co sklepu i handlu prowadzić.

Towarów w sklepie zabrano i zniszczono za jakiś tysiąc rubli.

W samym Gąsewie tylko 2 domy kozacy spalili tuż obok kościoła, który jednak ocalał; zresztą cała wieś, dość duża, ocalała. Udało się też ks. Proboszczowi wszystkie rzeczy kościelne przy Bożej pomocy szczęśliwie przechować, jak również i probostwo ocalić, choć kozak, chciał już podpalić je.

Wszystkie wioski, leżące bliżej rosyjskich pozycji zostały prawie doszczętnie spalone a tych jest ośm: 1) Kałęczyn, 2) Rzechowo-Gań, 3) Zalesie, 4) Rzechówek, 5) Guty Małe, 6) Biedrzyce Stare, 7) Batygowo i 8) Sławkowo. Ludność obecnie cierpi nędzę, chroniąc się w nędznych barakach, albo u sąsiadów w wioskach okolicznych. Zarząd obecny obiecuje zimą wydawać drzewo na odbudowywanie się wiosenne. Głodu jednak w naszej okolicy dotychczas nie ma, bo jakkolwiek, choć zboża były podniszczone, sprzątnięto dosyć; za to brak innych produktów i stąd okropna drożyzna, np. naftę do ostatnich czasów sprzedawano po 2 rb. Kwartę i wyżej, cukier po 40 do 50 kop. Funt. Obecnie zarząd niemiecki reguluje

te sprawy i mamy dostarczone zapasy większe; nafta ma być po 85 kop., cukier po 24 kop., kryształ po 30 kop. Mięso coraz droższe, (z 40 do 50 kop. Za funt doszło już do 60, a nawet 75 kop. Przed świętami, gdyż bydło wyniszczone rekwizycjami. Kartofli za to u nas dość znaczna obfitość i nie drogie, bo korzec od rb. 1 kop. Do rb. 2.

Od jesieni, później już co prawda, poruszili się trochę i z oświatą. W każdej prawie wiosce zbierają się dzieci i ćwiczą się w początkowej nauce, pod kierunkiem przygodnego nauczyciela, bo fachowych sił brak. Starsi zaś obecnie od jesieni dobrze zarabiają przy nowej szosie od Makowa do Nowej Wsi. Sprowadzono też do pomocy sporo robotników - aż z Kutnowskiego z os. Piątek - dla których 2-ie święto dwaj zacni dozorczy urządzili choinkę z herbatą i Kolendami polskimi, oraz pogadanką krótką przez proboszcza - za co należy się im: Bóg zapłać.

I My z Wami Koledzy! Z Drążdżewa (pow. Makowski, ziemia Łomżyńska)

Od pewnego czasu czytam stale naszą „Zorzę”, a na jej łamach spotykam artykuły i korespondencje moich kolegów Sokołowiaków: Sułkowskiego, Koźmińskiego i innych. Wstydzę się wobec nich, że ja nie dałem dotąd o sobie znaku życia. Czyżby wygasł już mój zapal szkolny? Nie! Otóż i ja podzielę się z moimi kolegami i wszystkimi współczelnikami tem, co warte opisania.

Na zachodnim krańcu ziemi Łomżyńskiej nad rzeką Orzycem w pow. Makowskim leży wieś Drążdżewo, składająca się z kilkudziesięciu drobnych osad gospodarskich. Jest tu kościół parafialny i szkoła.

Zachodni koniec naszej wioski został spalony podczas wojny. Po za tem do tej pory nie zaszło u nas nic takiego, czem warto by podzielić się z Czytelnikami. Aż oto dnia 6, 7, 8 i 14 stycznia w tej cichej wiosce, gdzie wiele młodzieży oddawało się pijaństwu, kartom i szalonym tańcom zaszło zdarzenie bardzo radosne. Oto młodzież tutejsza zrywając z duchem ciemnoty i upodlenia, po raz pierwszy urządziła piękną i uszlachetniającą rozrywkę: mianowicie odegrała z wielkim powodzeniem

„Polskie Jasełka”. Pierwszą myśl urządzenia „Jasełek” podał miejscowy nauczyciel p. W. Nawrocki, który postanowił doskonale wyuczyć tutejszą młodzież. Widząc dobre chęci p. Nawrockiego, zaraz przystąpiliśmy do pracy. Zwołaliśmy światlejszą młodzież z całej okolicy, która przybyła z wielkim młodzieńczym zapalem. Po przeczytaniu „Jasełek” objaśniłem, że urządzenie „Jasełek” wymaga kosztów, my zaś pragniemy zrobić to dobrą chęcią i własną pracą bez dużych kosztów. Wtedy młodzież złożyła się po kilka marek, co uczyniło 40 marki 20 fen. Za to kupiono materiały, piszący te słowa jako specjalista, przyrzekł wykonać dekoracje, maski, czapki i różne kostiumy, konieczne do „Jasełek”. Kiedy rozdaliśmy role, przystąpiło do naszego kółka jeszcze kilka osób inteligentnych, aby wziąć czynny udział w „Jasełce”. Miejscowy organista p. Skrzecz podjął się nauczania śpiewu, a p. Ptaszeński, uczeń VII klasy, ofiarował swą pracę i pomoc. Przystąpił też do nas p. B. Skuza.

Na przedstawienie przybyło mnóstwo ciekawych. Szkoda tylko, że z ciekawości tłoczyli się tak, że połamali ławki i krzesła. Po Pierwszym przedstawieniu sala wyglądała jak po wojnie. W następne dni nasi aktorzy utrzymali porządek w sali.

Trzy przedstawienia przyniosły po pokryciu kosztów urządzenia 40 rubli dochodu. Wśród młodzieży znaleźli się tacy, co chcieli te pieniądze użyć na hulanke, ale inni podali projekt założenia biblioteczki pod nazwą „Jutrzenka”. Większość głosów przyjęła z radością nasz projekt.

Tutejszy ks. Proboszcz Bronisław Wasiul postanowił sam zająć się czwartym przedstawieniem „Jasełek”. Dochód z przedstawienia przeznaczył ks. Proboszcz na ochronkę, która ma powstać niebawem.

Po przedstawieniu każdego dnia urządzano żywy obraz przy ogniach bengalskich „Adoracya żłobka”. Na zakończenie piszący te słowa deklamował „Wolny najmity” Konopnickiej. Po ostatnim przedstawieniu ks. Wasiul zaprosił wszystkich biorących udział w „Jasełce” do siebie na wspólną zabawę. Bawiliśmy się w różne gry, a po kolacyi ksiądz proboszcz rozdał zdolniejszym aktorom role z kilku sztuczek, które mają odegrać na zapusty. Oby się to przedstawienie amatorskie udało jaknajlepiej. Daj Boże Sz. Księdzu powodzenia w pracy.

M. Więtczak, Sokołowiak

Poradnik Rolniczy i Przegląd Spraw Gospodarczych Zakładajmy straże ogniowe

Będąc przed kilku miesiącami w Warszawie widziałem oddział straży ogniowej, wyjeżdżający na miasto, aby stoczyć walkę z ogniem. Podziwiałem, jak błyskawicznie wytoczono sikawki i wyprowadzono konie, jak w mgnieniu oka oddział pędził na ratunek bliźnim.

Rośnie serce, gdy się patrzy na organizację, która poświęca swe siły, zdolności, a niekiedy i życie, dla ratowania mienia bliźnich swoich, lub ich życia. Kieruje nimi wtenczas idea człowieczeństwa, idea, w imię której człowiek winien zapominać o własnym życiu, byle ratować życie bliźniemu.

Tak jest w dużych miastach, gdzie wśród tysiącznego mrowia ludności są ludzie gruntownie światli i wykształceni, znający swoje obowiązki życiowe. Oni, świecąc przykładem, zagrzewają do czynu innych, ciemniejszych.

Jakże odmiennie jest na wsi! Setki mamy pożarów, o których się czyta w pismach ludowych, a wiadomości, czy istnieje tam w okolicy straż ogniowa, napróżno wyglądam. A jakżeż łatwiej o pożar na wsi, aniżeli w mieście; w mieście, bądź co bądź, nie tak łatwo wzniesi się pożar: domy są murowane, przy tem spotyka się tam często piorunochrony. Tym czasem na wsi wzniesi się pożar nieogłębny człowiek, rzuciwszy niedopałek papierosa. Uczyniło dziecko, bawiące się zapalkami, nie mówiąc o zbrodniczych podpaleniach. To też, gdy wybuchnie pożar, nie umiemy nawet stanąć z nim do walki - i najczęściej w oczach naszych płoną całe wsie i miasteczka. Twierdzenie, jakoby w nas mało było współczucia i współdziałania dla bliźnich, gdy grozi im nieszczęście, nie zawsze godzi się z prawdą. Prawdą, są tacy, co biegną do pożaru, jak na jakie widowisko i z założonemi rękami przyglądają się rozszalałemu żywiołowi - ale są i tacy, co z odwagą rzucają się do walki z ogniem. Widzieliśmy przed kilku tygodniami przy pożarze w naszej okolicy, gdzie od pioruna spłonęła stodoła ze zbożem. Choć kilka „panienek” w wyprasowanych fartuszkach i kilku kawalerów gapili się na płonący budynek, za to większa część młodzieży ratowała płonące już zboże. Ale przy takim ratowaniu panuje zwykle nieład i nieumiejętność ratowania. Nic nie pomoże najszczersza



chęć ratowania, jeżeli siła ratowników jest nie zorganizowana. Najczęściej, gdy pożar zaczyna się szerzyć, nie usiłujemy ognia umiejscowić, jeno pozostawiamy swoje domy ze sprzętów, jak łózka, ławy, stołki itp.

Istnieją w niektórych gminach usiłowania, aby, w razie wypadku, można stanąć do walki z ogniem: kupują w tym celu kilka sikawek, beczek itp., ale z temi narzędziami nie zawsze umieją się obchodzić. Zresztą często wszystkie te narzędzia są popsute. Wybuch pożaru, wyprowadza się sikawki, cóż, gdy nie chcą one dobrze działać, bo są popsute, to znowu brak beczek do wożenia wody, bo jedna rozeschła się, pod drugą oś pękła, w trzeciej któryś z urzędników trzyma wapno, reszta pożyczona gdzieś do drugiej gminy do wożenia wody do jakiejś budowli, słowem nieład i bezradność do najwyższego stopnia. Chcąc walczyć skutecznie z ogniem, koniecznie musimy zorganizować straż ogniową. Organizuje się w tym celu wszystką młodzież, która ma w sobie poczucie człowieczeństwa i z chęcią i odwagą rzucałaby się na pomoc swym bliźnim. Często słychać narzekania, że młodzież jest obojętna i dlatego trudno założyć straż ogniową. Słowa te nie są uzasadnione. Młodzież nie może sama zorganizować się w straż ogniową; do założenia straży nie wystarczy zapal; trzeba na to posiadać i pewne fundusze. Chcąc założyć straż, trzeba na to zwołać zebranie gminne i uchwalić pewną sumę pieniężną na wybudowanie szopy strażackiej, aby przyszła straż miała swoje własne schronisko. Następnie wybrać jednego młodzieńca z gminy, wysłać go gdzieś do straży ogniowej, aby tam mógł zdobyć podstawy ratownictwa. Gdy ten młodzieniec powróci już z zasobem potrzebnych wiadomości, należy postarać się o narzędzia strażackie i przyjmować do organizacji potrzebnych ochotników, jako przyszłych strażaków. Gdy nadejdzie pozwolenie na założenie straży, należy przystąpić do ćwiczeń. Przedewszystkiem dzieli się wszystkich członków na plutony i oddziały. Najwięcej przyjętym i rozpowszechnionym na

w wyprasowanych fartuszkach i kilku kawalerów gapili się na płonący budynek, za to większa część młodzieży ratowała płonące już zboże. Ale przy takim ratowaniu panuje zwykle nieład i nieumiejętność ratowania.

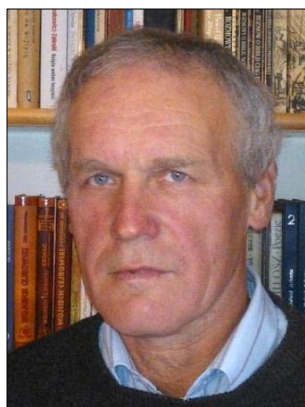
naszych strażach jest podział następujący: na toporniczy, sikawkowy, wodny, ratowniczy i porządkowy. Oddział toporników dzieli się na dwa plutony: pierwszy pluton zrywa dachy i płoty, a drugi pluton ratuje ludzi i sprzęty. W oddziale sikawek pierwszy pluton wylotowy kieruje kolejno prądem sikawek; drugi pluton węzowy układa wspólne węże, a trzeci pluton sikawkowy przygotowuje sikawki do działania i pompuje. Oddział wodny składa się z dwóch plutonów: pierwszy pluton beczkowy dostarcza w beczkach wodę; drugi pluton czerpakowy - napęlnia beczki. Następnie jest jeszcze jeden oddział porządkowy, w którym pierwszy pluton kordonowy urządza kordon dookoła pożaru; drugi pluton ochronny pilnuje rzeczy, uratowanych z ognia.

Tak podzieleni na oddziały i plutony. Mogą zaczynać ćwiczenia. Każdy strażak powinien dobrze umieć i znać ćwiczenia każdego oddziału i plutonu, a to dlatego, że w czasie pożaru nie wszyscy mogą stanąć do ratunku, gdyż duża część może być w domu nieobecna, więc naczelnik straży zmuszony jest wtenczas do plutonu, do którego nie przybyło dużo strażaków, dobierać ich z innych plutonów lub oddziałów, w których jest obecna większa ilość strażaków. Teraz po wielu ćwiczeniach taka straż może śmiało stanąć do walki z ogniem. Niezawodnie przyniosą oni wiele korzyści swoim bliźnim i całemu społeczeństwu.

Dlatego gminy nasze winny jak najusiłniej dążyć do tego, aby posiadać własne straże.

Nadmienić muszę, że wszystkie gminy, zakładające straże ogniowe, dopomogą swojej młodzieży do wybrnięcia z mroków ciemnoty i rozpusty, gdyż czas, który często młodzież trawi na pijaństwie i rozpuście, spędzać będzie na ćwiczeniach i na nauce muzyki, gdyż, jak wiadomo, każda straż miewa zazwyczaj orkiestrę.

Józef Niecko



Uczestnicy Powstania Styczniowego z terenów obecnego powiatu makowskiego

Tadeusz SUSKI

„Dawnych olbrzymów przed wami postawie
I z nimi wskrzeszę cały świat zamarły;
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście... kar-
ty...”⁵⁴

Kornel Ujejski

Mija 150 lat od wybuchu Powstania Styczniowego. W 2013 roku w wielu miejscach naszej Ojczyzny uroczystości świętowano rocznicę jego wybuchu. Oddawano cześć bohaterskim powstańcom. Nie wszyscy w Polsce uroczystości obchodzili tą okragłą rocznicę. Pojawiały się nawet w mediach głosy krytyczne poddające w wątpliwość sens Powstania, brak realizmu politycznego ze strony przywódców Centralnego Komitetu Narodowego odpowiedzialnych za jego wybuch. Podobnie było w 1963 roku, kiedy to w Polsce świętowano (mimo panującej komuny) 100 rocznicę wybuchu Powstania. Również wtedy pojawiały się w prasie tego typu głosy. W reakcji na nie Prymas Tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński wygłosił znamienne słowa „...Wyczytałem ostatnio w prasie polskiej przedziwne zdanie. Ktoś zastanawiając się dlaczego powstanie wybuchło w Królestwie Kongresowym, a nie w Wielkopolsce czy też w Małopolsce, odpowiada sobie, że byliśmy podobno owładnięci „kompleksem antyrosyjskim”. Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej nieprawdziwego [...] Gdy człowiek, czy naród, czuje się na jakimkolwiek odcinku związany, skrupowany, gdy czuje, że nie ma już wolności opinii i zdania, wolności kultury i pracy, ale wszystko wzięte jest w jakieś łańcuchy i klamry, wszystko skrupowane jest stalowymi gorsami, wtedy nie potrzeba kompleksów. Wystarczy być tylko przyzwoitym człowiekiem, mieć poczucie honoru i osobistej godności, aby się przeciwko takiej niewoli burzyć, szukając środków i sposobów wydobyć się z niej”.

Powstanie Styczniowe miało charakter wojny partyzanckiej. Leśne oddziały powstańcze, określane wówczas jako partie, liczyły na ogół po kilkadziesiąt, lub w najlepszym wypadku po kilkuset powstańców. Toczyły nierówną walkę z regularnymi, dobrze wyszkolonymi i wielokrotnie liczniejszymi oddziałami armii carskiej. Ze wszystkich powstań okresu zaborów, było to największe polskie, narodowe powstanie. Walczyło w nim dziesiątki tysięcy ludzi (z bronią w ręku ponad 100 tysięcy) z różnych sfer: przedstawiciele ziemianstwa, drobnej szlachty (najliczniej reprezentowani), rzemio-

sła, duchowieństwa i chłopi. Wielokrotnie więcej osób – mimo iż nie brało bezpośredniego udziału w Powstaniu, uczestniczyło w nim udzielając wsparcia powstańcom. Powstanie wsparł masowo Kościół katolicki. W kościołach odprawiano uroczyste msze święte za pomyślność i wolność Ojczyzny. Wielu księży brało bezpośredni udział w Powstaniu walcząc z bronią w ręku. Niemal każda partia powstańcza miała własnego kapelana. Powstanie zakończyło się klęską militarną, jednak echa walk powstańczych, bohaterska postawa wielu powstańców, wspomnienia z Powstania przekazywane przez jego uczestników dzieciom i wnukom w rodzinach, stały się inspiracją do walki o wolność Ojczyzny dla kolejnych pokoleń.

Po latach, w 1924 roku, w wolnej już Polsce, oceniając zryw powstańczy z 1863 roku, przywołując w swej mowie cytaty z poematu „Beniowski” Juliusza Słowackiego, Józef Piłsudski mówił: „...Wielkości, gdzie twoje imię? – znajduję odpowiedź: wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 roku istniała. Rok 1863 dał wielkość nieznana, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej wysiłków woli, siły moralnej – nie „treuga Dei” szui zbiorowej, nie „treuga Dei” tchórzów, lecz „treuga Dei” ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął rosą w olbrzymi olbrzymiej pracy moralnej[...] Z mogił i grobów 1863 r. żywy cień powstaje, cień wielkości, cień Rządu Narodowego.

Gdy warstwy ziemi otwartą przeliczę
I widzę koście, co jak sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą – i świadczą o Bogu, szkielety,
Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.”⁵⁵

Manifestacje i wystąpienia antycarskie nasiliły się w Królestwie Polskim już pod koniec 1860 roku i trwały przez cały 1861 rok. Okrągła, 30 rocznica wybuchu Powstania Listopadowego stała się okazją do manifestowania uczuć patriotycznych. W kościołach odbywały się uroczyste nabożeństwa za pomyślność Ojczyzny, podczas których śpiewano (zakazane przez władze carskie) pieśni patriotyczne: „Boże coś Polskę”, „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Kilka wielkich manifestacji patriotycznych odbyło się w Warszawie: pierwsza (po 1831 r.) – 11 czerwca 1860 r. podczas pogrzebu generałowej Katarzyny Sowińskiej, wdowy po bohaterze Powstania Listopadowego Józefie Sowińskim; druga – 25 lutego 1861 r. w rocznicę bitwy grochowskiej, a w dwa dni później następna, rozproszona już przez kozaków, którzy podczas jej rozpędzania użyli broni palnej – zginęło 5 manifestantów, a kilku zostało rannych (27 lutego 1861 r.) W kilka dni później –



Afisz zapraszający na nabożeństwo za pomyślność Ojczyzny³

2 marca odbył się uroczysty pogrzeb poległych, który zgromadził wielkie masy ludzi.

8 kwietnia 1861 r. na Placu Zamkowym i Krakowskim Przedmieściu w Warszawie została w sposób brutalny rozpędzona kolejna, wielka manifestacja. Wojsko carskie użyło broni palnej, skutkiem czego doszło do masakry. Zginęło ponad 100 osób, a wielu zostało rannych. Po tym dramatycznym wydarzeniu Kościół katolicki ogłosił w Królestwie Polskim żałobę narodową. Już zresztą po manifestacji w lutym mieszkańcom Warszawy rozdawano zalecenia aby przywdziali stroje żałobne. Zaniechano noszenia kolorowych ubiorów i ozdób. Zaczęto nosić zakazane przez 30 lat ubrania staropolskie z narodowymi elementami. Kobiety zaczęły ubierać się w suknie o stonowanych barwach – ciemne i szare. Ubiory przyozdabiano w motywy patriotyczne, jak orzeł w koronie, połączone herby Polski i Litwy, naszyjniki z czarnymi krzyżami lub kowtą. W domach, gdzie nie przestrzegano żałoby wybijane były szyby w oknach. W reakcji na to policja carska wprowadziła w Warszawie zarządzenia m.in. o zakazie zgromadzeń, zaka-

⁵⁴ Ujejski Kornel, *Maraton, 1845 rok*

⁵⁵ Józef Piłsudski, *Myśli, mowy i rozkazy* – wybrał i wstępem opatrzył Bohdan Urbankowski, Warszawa 1989

⁵⁶ Katalog Wystawy, opracowanie zbiorowe, AGAD, *Mor sola victis, gloria victis, Warszawa 2013*

zie ubierania się w odzież żałobną, konieczności noszenia przez przechodniów po zmroku laterek. Złapanych na gorącym uczynku chłopców, którzy wybijali szyby w domach osób nieprzestrzegających żałoby karano chłostą. Manifestacje patriotyczne i wystąpienia antycarskie przenosiły się powoli również na prowincję. Demonstrowała młodzież. W gimnazjach dochodziło do buntów. Przed rozpoczęciem lekcji śpiewano w klasach *Boże coś Polskę*. Wyrzucano rosyjskie podręczniki. Młodzież ubierała się w stroje narodowe przyozdabiane w żałobne symbole. Gdy w Instytucie Panien w Puławach nakazano uczennicom zdjąć żałobę dziewczęta zrobiły sobie atrymentem czarne pasy na szyi i ręku nazywając je żałobą nie do zrzucenia⁵⁷.



Biżuteria okresu żałoby narodowej - komplet biżuterii żałobnej, składający się z naszyjnika w formie czarnego łańcucha zwieńczonego płaskim krzyżem i bransoleta zwieńczona sercem i kotwicą.

W połowie kwietnia zarządzenia policyjne obowiązujące w Warszawie przeniesiono na prowincję. Zakazano noszenia wszelkiej niezwykłej odzieży i powierzchownych znaków żałoby, brania udziału w pogrzebach przez osoby do rodziny nie należące, noszenia lasek okutych żelazem lub opatrzonych ołowiem, chodzenia wieczorem bez zapalanej latarki, śpiewania w świątyniach i przed figurami pieśni patriotycznych, gromadzenia się na ulicach i placach. Ponieważ zarządzenia te były ignorowane przez ludność dochodziło do licznych aresztowań. Szczególnie dotkliwe było rozporządzenie zabraniające noszenia wszelkiej niezwykłej odzieży i powierzchownych znaków żałoby. Dochodziło do przypadków aresztowań za np. czarne kapelusze, czapki aksamitne lub koloru zielonego z siwym barankiem, za broszki i pierścionki z zabronionymi oznakami. Nawet przedmiotem represji było noszenie wąsów przez mężczyzn, co kojarzono z wyglądem polskiego szlachcica. Zapelniały się więc lo-

kalne areszty – trzeba było adoptować nowe lokale na więzienia.⁵⁸

Ponieważ lokalni urzędnicy (prezydenci miast, burmistrzowie, wójtowie) – w większości Polacy – niezbyt skwapliwie wykonywali wydawane im przez carskich zwierzchników rozporządzenia i nie byli skuteczni w tłumieniu niepożądanych zająć, władze carskie zaczęły coraz częściej do tłumienia patriotycznych wystąpień wykorzystywać wojsko. W tym celu w połowie 1861 r. do każdego większego miasta w Królestwie Polskim wydelegowano wyższych rangą oficerów jako naczelników wojennych.

Chcąc przeciwdziałać odprawianiu się patriotycznych nabożeństw z okazji rozmaitych rocznic narodowych władze carskie poleciły wszystkim proboszczom, aby zgłaszali do policji nazwiska i adresy osób zamawiających te nabożeństwa. Kościół nie podporządkował się jednak tym zarządzeniom, odbierając je jako próbę przekształcenia parafii w agendy policyjne.⁵⁹

14, 15 i 18 maja 1861 r. miały miejsce manifestacje patriotyczne w Ostrołęce. Za karę zwolnieni ze stanowisk zostali uczestniczący w manifestacjach niektórzy powiatowi urzędnicy. Głośnym echem po całym kraju odbiły się zajścia, jakie miały miejsce w Mławie. Ludność gromadziła się tam co dzień na cmentarzu przed figurą Matki Boskiej i śpiewała pieśni patriotyczne. 24 lipca 1861 r. z rozkazu naczelnika wojennego Płocka pułkownika Runowskiego otoczono śpiewających wojskiem i zaczęto spisywać nazwiska. Po wygłoszeniu oświadczenia przez płk. Runowskiego, że wolno śpiewać w kościołach, a nie na cmentarzu, tłum rozszedł się. Na drugi dzień wieczorem, ludność miasta zgromadzona przed kościołem parafialnym wraz z miejscowym wikariuszem ks. Rzońcą postawiła tam drewnianą figurę Matki Bożej, udekorowaną emblematami narodowymi. Zaczęto śpiewać pieśni patriotyczne. Płk. Runowski otoczył wojskiem śpiewają-



Obrączka z napisem: Pamiątka za pomordowanych 1861 r.

cych (głównie kobiety), którzy w obawie przed aresztowaniem schronili się do kościoła. Wojsko usunąwszy figurę Matki Boskiej przez całą noc warowało przy świątyni szydząc z zamkniętych kobiet. W kruchcie, przy drzwiach wyjściowych, postawiono kilku żołnierzy, któ-

rzy aresztowali każdego, kto próbował wyjść. W ten sposób został aresztowany ks. Rzońca. Na drugi dzień zgromadzony przed kościołem



Klamra do pasa: Katalog Wystawy, opracowanie zbiorowe, AGAD, *Mor sola victris, gloria victris*, Warszawa 2013

tłum domagał się wypuszczenia kobiet. Wojsko odstąpiło dopiero po spisaniu nazwisk. Później, w ciągu dnia, wiele osób w Mławie zostało poturbowanych i aresztowanych przez wojskowe patrole.⁶⁰

14 października 1861 r. namiestnik carski Lambert wprowadził w Królestwie Polskim stan wojenny.

W 1860 i 1861 roku zaczęły powstawać tajne organizacje spiskowe, do których garnęła się młodzież nastawiona patriotycznie. Każdy nowo wstępujący do organizacji spiskowej składał następującą przysięgę:

„Ja NN przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu i Matce Jego Najświętszej i wszystkim Świętym, że od tej chwili należę do Organizacji Narodowej i że wszystkie siły moje, mienie i życie gotów jestem poświęcić dla oswobodzenia Ojczyzny. Przysięgam, że zawsze i wszędzie posłusznym będę ślepo i bezwarunkowo rozkazom Centralnego Narodowego Komitetu jedynej prawej władzy Narodowej i zwierzchnikom przez niego postawionym – przysięgam, że będę święcie pełnił powierzone /pisownia oryginalna z okresu/ mi obowiązki, że gotów będę na każde zawołanie stanąć na wskazanym mi miejscu z bronią jaka będzie mi dana rozpocząć walkę z wrogiem Ojczyzny i aż do ostatniej kropli krwi przelać do jej oswobodzenia. Przysięgam, że zachowam świętą tajemnicę na wolności jak i w więzieniu pomimo różnych mąk i katusz. Jeżeli miał bym tę przysięgę złamać i stać się zdrajcą Ojczyzny lub obowiązek mój zaniedbywać niechaj mnie nie minie zasłużona kara od Boga i od ludzi w życiu doczesnym jak i po śmierci. Tak mi Panie Boże dopomóż i Matka Jego Najświętsza, i wszyscy Święci – Amen.”⁶¹

Jak podaje S. Kieniewicz pod koniec 1862 r. do tajnej organizacji spiskowej należało w Kró-

⁵⁷ Ramotowska Franciszka, *Rząd carski wobec manifestacji patriotycznych w Królestwie Polskim w latach 1860 – 1862*, Wrocław 1971, s. 864

⁵⁸ Ramotowska Franciszka, *Rząd carski wobec manifestacji patriotycznych w Królestwie Polskim w latach 1860 – 1862*, Wrocław 1971

⁵⁹ Ramotowska Franciszka, *Rząd carski wobec manifestacji patriotycznych w Królestwie Polskim w latach 1860 – 1862*, Wrocław 1971

⁶⁰ Ramotowska Franciszka, *Rząd carski wobec manifestacji patriotycznych w Królestwie Polskim w latach 1860 – 1862*, Wrocław 1971

⁶¹ *Katalog Wystawy, opracowanie zbiorowe, Mor sola victris gloria victris, 150 rocznica wybuchu Powstania Styczniowego*, Warszawa, AGAD, styczeń 2013

lestwie Polskim 20 tysięcy zaprzysiężonych spiskowców.⁶²

Powstanie Styczniowe wybuchło w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 roku, w środku zimy, w niedogodnym dla działań powstańczych terminie. Tajna policja carska posiadała informacje z zorganizowanej przez siebie siatki konfidentów (zdradców ojczyzny, których niestety w każdej epoce nie brakuje) o toczących się przygotowaniach do wybuchu Powstania na wiosnę 1863 roku. Jak podaje S. Kieniewicz przygotowaniom powstańczym zadał cios rząd zaborczy. Z inicjatywy margrabiego Wielopolskiego naczelnika rządu cywilnego w Królestwie Polskim 6 października 1862 roku ogłoszono zapowiedź poboru do wojska. Rekrutów miały wyznaczać władze administracyjne. Pobór na kilkanaście lat do armii carskiej miał obciążać (czego wcale nie ukrywano) osoby politycznie podejrzane. Miało to być – jak się wyrażał Wielopolski – „przecięcie wrzodu”. Zabierając do wojska ok. 10 tysięcy młodziaków w odpowiednim dla władzy momencie planowano albo rozbić organizacje narodową, albo też zmusić ją do wystąpienia przedwczesnego i tym samym skazać ją na przegraną.⁶³ Zgodnie z tym planem, w nocy z 14 na 15 stycznia władze carskie przeprowadziły pobór do wojska w Warszawie. Branka na prowincji miała nastąpić 22 stycznia. Przyspieszyło to wybuch Powstania. Na listach rekrutacyjnych znalazły się nazwiska młodych mężczyzn podejrzanych politycznie. Branka obejmowała tysiące młodych ludzi. Wielu z nich chcąc uniknąć długoletniej służby w wrogiej dla siebie armii uciekło przed poborem kryjąc się w lasach. Duża grupa młodych warszawiaków uciekła wcześniej (przed 14 stycznia) kryjąc się przed branką w lasach Puszczy Kampinoskiej, oraz w lasach pod Serockiem. Działo się tak niemal w całym Królestwie Polskim. Z terenu obecnego powiatu makowskiego uciekło przed branką

chroniąc się w lasach ponad stu młodych mężczyzn.

Policja carska publikowała we wszystkich guberniach listy nazwisk zbiegłych spiskowych z poszczególnych powiatów, ukrywających się przed branką. Już 24 stycznia 1863 roku w Dzienniku Urzędowym Guberni Płockiej ukazała się lista zbiegłych spiskowych z wszystkich powiatów należących do tej guberni.

Tereny obecnego powiatu makowskiego (wraz z samym Makowem) należały wtedy do powiatu pułtuskiego. Wyjątkiem była gmina Krasnosielc, która należała do powiatu przasnyskiego.

Zbiegli spiskowi z terenów obecnego powiatu makowskiego:

Chelchy Jakusy – Smółka Antoni
Czerwinka – Wieczorek Antoni, Kaczmarczyk Gotlib, Szczepański Andrzej, Szczepański Adam, Szczepański Stanisław

Chodkovo Żalogi – Ropelewski Karol
Karniewo – Butryn Jan, Pietrzak Michał
Krasnosielce (Krasnosielc – przyp. T.S.) – Zacharewicz Bronisław

Magnuszewo – Piotrowski Aleksander, Szczepański Kazimierz, Lipski Henryk Albin, Gutowski Adam, Joachimowicz Szymon, Zakrzewski Antoni

Maków Mazowiecki – Kowalczyk Adam, Suski Aleksander (z Krasnosielca – przyp. T.S.), Daniszewski Stanisław, Zatrzykowski Jan, Aguszeński Stanisław, Kozicki Antoni

Malki – Młodzianowski Szymon, Zdanowski Jan, Napiórkowski Józef, Nowacki Antoni, Siedlecki Aleksander, Jabłoński Andrzej

Młodzianowo – Niedzielski Walenty
Perzanów (obecnie Perzanowo – przyp. T.S.) – Olkowski Andrzej, Kobieliński Fryderyk, Kembejski Piotr

Biernaty Pienice – Czapliński Teofil, Grochulski Wiktor

Płoniawy – Lewandowski Michał, Lewandowski Wojciech

Ponikiew Wielka – Stryjewski Ferdynand, Głowczyński Wawrzyniec

Sielc – Kaczkowski Andrzej, Kaczkowski Franciszek, Szymański Franciszek, Błaszczak Stanisław, Klimbeja Piotr

Sieluń – Łączyński Fabian

Smrock – Bobiński Julian, Wiśniewski Andrzej, Wiśniewski Stanisław

Sypniewo – Laskowski Konstanty, Kamiński Teofil

Szłasy Złotki – Mikołajczyk Piotr

Thucznice – Tyburzec Franciszek

Zakliczewo – Konarzewski Jakub

Zalesie – Biedrzycki Maciej, Kordowski Antoni, Pawlak Antoni

Poza wyżej wymienionymi Polakami na liście tej wyszczególnione zostały osoby narodowości żydowskiej. Byli to:

Czerwinka – Bursztyn Boruch

Chodkovo – Żalogi – Krymka Jankiel

Glinki – Chels Leizer, Sadek Szmól, Międzyleski Kinel Hersz

Miasto Krasnosielc – Glosberg Nusen, Wiśnia Zelman, Grosman Uszer, Jzraelski Hder, Jzraelski Iciek Josek

Magnuszewo – Cylman Majorowicz, Lejb Plewa, Chrzan Jankiel

Miasto Maków Mazowiecki - Aron Mosiek, Sokół Abram, Jekowicz Abram, Jekowicz Mosiek, Berkowicz Josek Haim, Chaimowicz Herszek, Zelmanowicz Simsia, Rolenbaum Binem, Fridman Chaim, Cukier Pinkus, Watenberg Nowtuła, Hamburger Jakol, Grynberg Nasen Jada, Anzelowicz Samson Elje, Kasztan Szulim, Kasztan Hersz, Kopel Pinkus Jelek, Cybulka Zelman, Simak Mosiek, Buchner Motel, Juskowicz Nuchym Erja, Kawel Szmul, Frydman Kelman Leib, Mendelson Mendel Aron, Herszkowicz Elje, Sztoltz Dawid Mosiek, Cyklacz Wolf

Ponikiew – Romanowski Hersz

Sieluń – Jakubowicz Lejba

Smrock – Borkowicz Szwm Josek, Rubin Ejzykow Chaim

Wszyscy wymienieni na liście zbiegli spiskowi poszukiwani byli przez policję carską. Z pewnością, jeśli nie wszyscy, to większość z nich brała udział w Powstaniu.

Po wybuchu Powstania na terenie obecnego powiatu makowskiego doszło do co najmniej kilkunastu różnego rodzaju potyczek i bitew powstańców z wojskami carskimi. Najbardziej znane miejsca na naszym terenie naznaczone powstańczą walką, opisywane już wielokrotnie w lokalnej prasie, w tym również w Krasnosielckich Zeszytach Historycznych, a są nimi:

1. Maków Mazowiecki – 2 lutego 1863 r.
2. Karniewo – 6 lutego 1863 r.
3. Podoś – 8 lutego 1863 r.
4. Łukowo – 20 lutego 1863 r.
5. Drądzewo – 11 marca 1863 r.
6. Drądzewo – 26-29 czerwca 1863r.
7. Szygi – 16 lipca 1863 r.
8. Magnuszewo – 12 sierpnia 1863 r.
9. Różan – 21 sierpnia 1863 r.
10. Czarnostowo – 3 września 1863 r.⁶⁴

Dodatek Nadzwyczajny do Numeru 4go Dziennika Urzędowego Guberni Płockiej. w Płocku dnia 12 (24) Stycznia 1863 roku.

RZĄD GUBERNIALNY PŁOCKI.

Nr. 61509. Domieszczać listę imienną zbiegłych spisowych z Gubernii, Rząd Gubernialny poleca Wójtom gmin, Prezydentom i Burmistrzom miast, aby natychmiast ściśle ich śledztwo zarządzili, z ujętymi w myśl przepisów postępowania, a w każdym razie o skutku właściwym Naczelnikom powiatowym raportu w dniach 30 niezawodnie złożyli. —
Płock dnia 7 (19) Stycznia 1863 r.
Gubernator Cywilny, D. DZIEWANOWSKI.

Naczelnik Kancellaryi, Słupcecki.

Gmina lub miasto	Imię i Nazwisko zbiegłego.	Gmina lub miasto	Imię i Nazwisko zbiegłego.	Gmina lub miasto	Imię i Nazwisko zbiegłego.
P O W I A T P U Ł T U S K I					
Błędostowo	Chrzestanie: Grzelecki Julian	Łukowo	Zakrzewski Stanisław	Pobyłkowo	Lesiewicz Antoni
dito	Czyżewski Ludwik	Mieszki	Lewicki Teofil	Perzanow.	Olkowski Andrzej
Brańszczyk	Fala Józef	M. Maków	Mieszkowski Kajetan	dito	Kobieliński Fryderyk
dito	Borkowski Dyonizy	dito	Kowalczyk Adam	dito	Kembejski Piotr
dito	Kowalczyk v. Herman	dito	Suski Aleksander	Płoniawy	Lewandowski Michał
dito	czek Feliks	dito	Daniszewski Stanisław	dito	Lewandowski Wojciech
dito	Deptuła Ludwik	dito	Zatrzykowski Jan	Popowo	Czarnecki Ludwik
dito	Brzostek Aleksander	dito	Aguszeński Stanisław	dito	Marcinkowski Jan
dito	Jachołka Gotlib	Magnuszewo	Kozicki Antoni	Ponikiew wielka	Stryjewski Ferdynand
dito	Jachołka August	dito	Piotrowski Aleksander	dito	Głowczyński Wawrz.
dito	Fige Gotlib	dito	Szczepański Kazimierz	Rybienko	Kolankiewicz Walenty
dito	Fige Kazimierz	dito	Lipski Henryk Albin	dito	Kowalewski Francisz.
dito	Fige Wilhelm	dito	Gutowski Adam	Szasy złotki	Mikołajczyk Piotr
Czajki	Stolarski v. Brandkie	dito	Joachimowicz Szymon	M. Serock	Mikułski Antoni
	Stanisław	dito	Zakrzewski Antoni	Słobowo	Gustowski Stanisław
Chelchy Jakusy	Smółka Antoni	Malki	Młodzianowski Szymon	dito	Podgórski Jan
Czerwinka	Wieczorek Antoni	dito	Zdanowski Jan	Sielc	Kaczkowski Andrzej
dito	Kaczmarczyk Gotlib	dito	Napiórkowski Józef	dito	Szymański Franciszek
dito	Szczepański Andrzej	dito	Nowacki Antoni	dito	Błaszczak Stanisław
dito	Szczepański Adam	dito	Siedlecki Aleksander	dito	Kaczkowski Francisz.
dito	Szczepański Stanisław	Młodzianowo	Jabłoński Andrzej	dito	Klimbeja Piotr
Chodkovo żalogi	Ropelewski Karol	M. Nasielsk	Niedzielski Wincenty	Smrock	Bobiński Julian
Diugiesiodło	Kujawa Kazimierz	dito	Koźniewski Konstanty	dito	Wiśniewski Andrzej
dito	Koponiak Wincenty	dito	Sliska Andrzej	dito	Wiśniewski Stanisław
dito	Krzyż Kazimierz	dito	Karpiński Jan	Sypniewo	Laskowski Konstanty
dito	Łyżynski Michał	dito	Janiszewski Józ. Edwa.	dito	Kamiński Teofil
Gzowo	Mazowiecki T.		Zasada Wojciech		

Fragment Dziennika Urzędowego Guberni Płockiej.

⁶⁴ Zieliński, S., *Bitwy i potyczki 1863 - 1864*, Rapperswil 1913

Znani są dowódcy, których partie powstańcze toczyły walki na tych terenach. Byli to:

Zygmunt Padlewski – Urodził się 1 stycznia 1836 r. w rodzinnym majątku Czerniawka Mała na Ukrainie. Od 1846 r. kształcił się w Korpusie Kadetów, a później w Akademii Artyleryjskiej w Petersburgu, która ukończył z odznaczeniem w 1859 r. W 1861 r. podał się do dymisji i wyjechał do Paryża. Został instruktorem tworzącej się na emigracji polskiej szkoły wojskowej. W szkole tej w Genui i Cuneo we Włoszech wykładał matematykę, strategię i historię wojen. W październiku 1862 r. został członkiem Komitetu Centralnego Narodowego. Był jednym z głównych autorów przygotowujących plan działań zbrojnych w Królestwie Polskim po wybuchu Powstania. Jako naczelnik wojenny woj. płockiego nie osiągnął Padlewski większych sukcesów. Objął dowództwo nad zgrupowaniem oddziałów powstańczych w Puszczy Kurpiowskiej. 9 marca odniósł sukces w bitwie pod Myszyniec. W dwa dni później przegrał jednak bitwę pod Drążdżewem, a później (21 marca) – pod Radzanowem. 24 kwietnia został schwytany przez kozaków. Skazany przez rosyjski sąd wojenny na śmierć został rozstrzelany w Płocku 15 maja 1863 r.

Wacław Cichorski „Zameczek” – pułkownik, 7 lutego 1863 r. dowodził jednym z oddziałów zgrupowania Lewandowskiego w bitwie pod Siemiatyczami. Później Cichorski z 700 osobowym oddziałem operował w Puszczy Białej, między Wyszkowem, a Ostrowią Mazowiecką. 22 lutego 1863 r. dokonał udanego napadu na magazyn solny, a w kilka dni później na pocztę w Wyszkanie, skąd skonfiskował pieniądze. 28 lutego stoczył zwycięską bitwę z Rosjanami pod Przetyczą. Następnie oddział jego wszedł w skład dużego zgrupowania, którym dowodził Padlewski. Walczył razem z Padlewskim pod Myszyniec (9 marca), Drążdżewem (11 marca), a później pod Żelnikiem w pow. ciechanowskim (15 marca). Po Powstaniu wyemigrował do Francji.

Tytus Steinkeller – dowódca oddziału w pow. pułtuskim (obecnie makowskim – przyp. T.S.) – jeden z bohaterów powstańczych narodowości żydowskiej. Razem ze swoim bratem Wacławem sformował oddział powstańczy w miejscowości Bolki. 2 lutego oddział Steinkellera liczący ok. 200 powstańców zajął Maków. W cztery dni później (6 lutego) ten sam oddział walczył z carskim wojskiem pod Karniewem. Resztki oddziału (66 powstańców) wycofało się pod Podoś, gdzie 8 lutego doszło do potyczki z Rosjanami. Tytus Steinkeller zginął a jego oddział został rozbity.

Józef Trąpczyński – Jako porucznik niżnogradzkiego pułku piechoty służył w carskim wojsku w Przasnyszu. Po wybuchu Powstania porzucił służbę i przeszedł na stronę powstańców. Utworzył powstańczy oddział liczący 240 ochotników. Pod „Płaską Górą” niedaleko Drążdżewa okrążony przez wielokrotnie liczniejsze wojsko carskie oddział kapitana Trąpczyńskiego przez trzy dni (od 27 do 29 czerwca 1863 r.) skutecznie się bronił. Później, 16 lipca 1863 kapitan Trąpczyński już jako dowódca kilkusetosobowego zgrupowania, w skład którego wchodziło kilka oddziałów powstańczych stoczył zaciętą bitwę z wojskami carskimi dowodzonymi przez pułk. Wałujewa pod Szygami. Tam też ranny Trąpczyński nie

chcąc wpaść w ręce kozaków strzałem z pistoletu odebrał sobie życie.

Palemon Nowicki – porucznik wojsk rosyjskich, kolega J. Trąpczyńskiego. Służyli razem w Przasnyszu w niżnogradzkim pułku piechoty. Po wybuchu Powstania porzucił służbę i przeszedł na stronę powstańców. Walczył razem z Trąpczyńskim pod Płaską Górą i Szygami, gdzie wstawił się wyjątkową odwagą. Po śmierci Trąpczyńskiego awansowany już na kapitana stanął na czele jego oddziału. Odnosił sukcesy w potyczce pod Żelazną (6 listopada). Później oddział jego połączył się z partią Rynarzewskiego. Jednak zostali rozbici. Uciekł do Prus, gdzie sformował nowy oddział dobrze zorganizowanej jazdy, złożony z kilkudziesięciu osób. Wkroczył do Królestwa Polskiego, ale wkrótce po przekroczeniu granicy 24 grudnia 1863 r. oddział jego pod Janowem został osaczony przez przeważające siły wojsk carskich, złożone z 3 rot piechoty, 50 kozaków i szwadronu huzarów. Walecznego Nowickiego chciano ująć żywcem. Jednak postanowił on drogo sprzedać swoje życie. „Silnymi cięciami pałasza poobcinał kozakom lance i zadawszy kilka śmiertelnych ciosów moskalom, sam ciężko ranny, z upływu krwi omdlały prosił aby go dobili.” Tak też się stało. Ciało zabitego Palemona Nowickiego obnażono i zabrano do Przasnysza.

Tomasz Kolbe – ziemianin z Dąbrowy w pow. przasnyskim, dowódca oddziału powstańczego. Urodził się w 1828 r. w Sielcu. Jego ojciec był majorem Wojska Polskiego i walcząc w Powstaniu Listopadowym zginął w 1831 r. Tomasz Kolbe pobierał naukę w szkołach publicznych w Pułtusk, Warszawie i Krakowie. Później przebywał na emigracji. Do Polski wrócił w 1856 r. i osiadł w Dąbrowie niedaleko Chorzel, w pow. przasnyskim. W 1861 r. należał już do organizacji spiskowej. Związany z Komitetem Centralnym został naczelnikiem powiatu przasnyskiego. W Powstaniu walczył pod Chorzelami (3 lutego), Rydzewem (5 maja) i Szygami (16 lipca).

Jakub Jasiński – powstańczy pułkownik. Partia powstańcza dowodzona przez niego brała udział w potyczkach pod Drążdżewem (Płaską Górą) 26- 29 czerwca i pod Szygami (16 lipca). Została rozbita 12 sierpnia pod Magnuszewem. Jeden z ocalałych oddziałów tej partii został rozbity 21 sierpnia pod Różanem. Podczas tej potyczki zginął również Jakub Jasiński.

Konstanty Ramotowski „Wawer” – Był wyjątkowym dowódcą. Urodził się w 1812 r., więc w czasie Powstania liczył już ponad 50 lat. Walczył w Powstaniu Listopadowym. Po jego upadku przebywał na emigracji w Francji. W latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych służył w armii francuskiej w Algierii. Po wybuchu Powstania Styczniowego wrócił do Polski i wstąpił w szeregi powstańców. Przyczynił się do ożywienia Powstania w Łomżyńskim i Augustowskim. Oddział pod jego dowództwem odniósł kilka zwycięstw, m. in. pod Kadyszem (21 czerwca) i Gruszką (28 czerwca). Został jednak rozbity pod Kozim Rynkiem (29 czerwca). Ramotowski przeniósł się w Łomżyńskie, gdzie na jego rozkaz w rejonie Czerwonego Boru skupiło się kilka oddziałów w sumie ok. 2200 ludzi, jednak zgrupowanie to okrążone przez silne kolumny carskie zostało rozbite 14 lipca pod Rzańnikiem. Z resztkami oddziału (ok. 200 lu-

dzi) przekroczył Narew i 16 lipca oddział jego wziął udział w bitwie pod Szygami. Po upadku Powstania Ramotowski wyemigrował do Francji, gdzie zmarł w 1888 roku.

Albert Ziemiński – major wojsk rosyjskich. Po wybuchu Powstania porzucił służbę w carskim wojsku i przeszedł na stronę powstańców. Stał na czele złotych ułanów. Operował w powiecie Pułtuskim. Po przegranej bitwie pod Czarnostowem (3 września) uczestniczył jeszcze w potyczce pod Rydzewem (8 września). Po upadku Powstania wyemigrował do Francji.

Leon Królikowski – urodzony w 1836 r. w Kamieńcu. Zarządca dóbr. Jeden z organizatorów Powstania w powiecie pułtuskim i ostrołęckim. W miesiącu wrześniu 1863 r. został mianowany dowódcą oddziału konnych strzelców w powiecie ostrołęckim. Walczył pod Myszyniec, Małkinią, Drążdżewem i Różanem. Działając samodzielnie jego konny oddział atakował miasta, gdzie stały carskie garnizony zabierając prowiant i pocztę. Po Powstaniu przywatny urzędnik.

Warto pochylić się również nad mniej znanymi postaciami – uczestnikami Powstania z terenu obecnego powiatu makowskiego. Oto ich nazwiska i krótkie informacje na temat ich udziału w Powstaniu:

Alichniewicz Henryk, lat 19, mieszkaniec Makowa Mazowieckiego, zginął 8 lutego 1863 roku w bitwie pod Podosiem.

Biedrzycki Antoni – rolnik ze wsi Krzyżewo Jurki. Należał do żandarmerii powstańczej i przechowywał ich konie. Nakazywał robić drzewce do kos. Wyrokiem sądu w Płocku z 25 stycznia 1865 r. skazany w aresztanckie rotę na 5 lat.⁶⁵

Biedrzycki Roman – szlachcic ze wsi Zamość. Utrzymywał kontakty z powstańcami, dawał im konie i pieniądze. Wyrokiem z 14 maja 1866 r. oddany pod nadzór policji.

Bieńkowski Jan – rolnik ze wsi Ponikiew. Walczył w partii powstańczej. Namawiał rosyjskich żołnierzy do przystąpienia do Powstania. Wyrokiem sądu wojennego z 26 czerwca 1863 r. pozbawiony wszelkich praw i zesłany na 5 lat na ciężkie roboty na Syberię.

Blum F. – bogaty mieszkaniec Makowa Mazowieckiego narodowości żydowskiej, kupiec i właściciel jedynego dwupiętrowego domu w Makowie Mazowieckim. Wspierał powstańców dużymi sumami pieniężnymi i dostarczał broń partiom powstańczym.⁶⁶

Bodzik Franciszek – rolnik ze wsi Czerwinka za uczestnictwo w wykonaniu wyroku na zdrajcy 10 stycznia 1865 r. skazany na 4 lata ciężkich robót w przemyśle.

Bojarski Jan – ur. w 1842 r., rolnik ze wsi Chodkowo-Kuchny. Walczył w Powstaniu pod Płockiem, Drążdżewem, Szygami i Różanem.

⁶⁵ *Aresztanckie rotę* – przymusowe roboty pod rygiem wojskowym w Rosji carskiej, nazywane również kompaniami poprawczymi; stosowane jako kara dla przestępców politycznych i kryminalnych. Utworzone w związku z przepełnieniem więzień, miały na celu maksymalne wykorzystanie siły roboczej więźniów. Skazanym golono pół głowy i wyróżniano ich ubiorem więziennym, w: Katalog

⁶⁶ Szczepański J., *Dzieje społeczności żydowskiej powiatów Pułtusk i Maków Mazowiecki, Warszawa 1993*

Po rozproszeniu oddziału powstańczego był żandarmem powstańczym. Został schwytany przez wojsko i osadzony w cytadeli warszawskiej, gdzie poddawany był torturom.⁶⁷ Skazany na katorgę⁶⁸ w twierdzach na 10 lat⁶⁹. Po powrocie z Syberii mieszkał w wiosce Ciecior-ki, należącej do par. Węgrzynowo. W 1901 roku, będąc 58 letnim wdowcem (po śmierci żony, Eleonory z Jaworskich) zawarł związek małżeński z 43 letnią wdową Marianną Jaworską z Łasi, należącej do par. Szelków. W Łasi mieszkał jeszcze w 1934 roku.⁷⁰

Byczkowski Paweł – służył w oddziale Ziemińskiego jako kurier złotych ułanów. Zginął w bitwie pod Czarnostowem 3 września 1863 r.

Chelchowski Tomasz – lat 25, mieszkaniec Budzyna, zginął 8 lutego 1863 roku w bitwie pod Podosiem.

Chyliński Mikołaj – szlachcic częstkowy ze wsi Pomaski został aresztowany i po przeprowadzonym śledztwie, wyrokiem sądu z dn. 30 stycznia 1865 r. oddany pod sąd wojenny za podejrzenie, że będąc obecnym przy egzekucji przez żandarmów powstańczych donosiela Ejzera Ożarowa, był współwinnym jego śmierci.

Czaplicki Jan – dzierżawca części ziemi należącej do Piotra Załęskiego w Chylinach w powiecie makowskim. Został aresztowany i po przeprowadzonym śledztwie, decyzją sądu z dn. 30 stycznia 1865 r. oddany pod sąd wojenny za podejrzenie, że brał udział (był współwinny) w egzekucji przez żandarmów powstańczych donosiela Lejzera Ożarowa. Wyrokiem wojkowego Ordynariatu Polowego, za to, że gościł w swoim domu żandarmów powstańczych został skazany na 3 lata więzienia.

Dąbrowski Teofil, lat 21, mieszkaniec Makowa Mazowieckiego, zginął 8 lutego 1863 roku w bitwie pod Podosiem.

Eihman Karol – rolnik z Młodzianowa. 23 stycznia 1865 r. skazany na Sybir na osiedlenie się.

Głazewski Jan – rolnik ze wsi Napiórki – Gardziołki. Skazany na syberyjską katorgę.

Gostkowski Jakub – mieszczanin z Makowa Mazowieckiego. W 1863 r. skazany na zsyłkę na Sybir.

Grabowski Cezary – syn obywatela ziemskiego, lat 34, 8 lutego 1863 r. zginął w bitwie pod Podosiem.

Gruszkowski Leonard – rolnik z Karolina. W 1866 r. skazany na 10 lat ciężkich robót.

Godwiński Jan – rolnik z Dzierżanowa. 28 marca 1864 r. skazany na śmierć przez powieszenie.

Kęszczyk Kacper – mieszkaniec Krasnosielca, mąż Franciszki Kęszczyk zamieszkującej w Krasnosielcu, skazany na zesłanie w odległe rejony Syberii nie wrócił do kraju jeszcze w 1880 roku.⁷¹

Klajman Moszko Hersz – mieszkaniec Krasnosielca narodowości żydowskiej, lat 22 za udział w Powstaniu skazany na karę śmierci, która w ostatniej chwili została zamieniona na 15 lat syberyjskiej katorgi.⁷²

Kołodziejski Franciszek – rolnik. 10 lipca 1863 r. powieszony przez Rosjan we wsi Krzyżewo-Marki.

Krukowski Michał – rolnik ze wsi Dąbrówka. Za współpracę z powstańcami 8 marca 1863 r. oddany pod sąd.

Krupiński Jan – Na początku Powstania był w oddziałach walczących, później przeszedł do żandarmerii powstańczej. Podejrzewany o uczestnictwo w wykonaniu wyroków na zdrajcach Grinbergu i Ożarowie został skazany 12 stycznia 1866 r. przez Ordynariat Polowy w na 15 lat ciężkich robót w kopalniach i jednocześnie pozbawiony wszelkich praw.

Krzyżewski Kazimierz – szlachcic ze wsi Krzyżewo-Marki. Za przetrzymywanie powstańców wyrokiem sądu z 1866 r. skazany na 6 lat zesłania.

Kułakowski Józef – rolnik lat 24 ze wsi Płoniawy. Za udział w Powstaniu zesłany na Sybir.

Lewandowski Konstanty – porucznik złotych ułanów. Służył pod dowództwem Alberta Ziemińskiego. Zginął w bitwie pod Czarnostowem.

Lipski Józef – urodzony w Szlasach w 1844 r. Służył jako kawalerzysta w oddziałach Fryczego i Jasińskiego. Walczył pod Nagoszewem, Różanem i Przasnyszem. Był ranny w bitwie pod Różanem.

Łempicki – zginął w bitwie pod Podosiem 8 lutego 1863 r.

Majdanowski Konstanty – rolnik lat 20 ze wsi Podoś. Zesłany do Guberni Orenburskiej.

Majewski Jan – ur. w 1838 r. w Majach, urzędnik magistracki. Służył jako adiutant kawalerii w oddziale Padlewskiego, Trąmpezyńskiego i Nowickiego. Walczył pod Myszyńcem, Drądzewem i Różanem.

Majkowski Paweł – szlachcic ze wsi Dzierżanowo. 27 lutego 1864 r. skazany na osiedlenie się na Syberii.

Malinowski Henryk – dzierżawca folwarku „Bazar” pod Makowem Mazowieckim. Organizator bandy pod dowództwem Steinkellera. Uciekł za granicę. Za zezwoleniem władz w 1865 r. powrócił do kraju i żył w folwarku „Bazar” pod nadzorem policji.

Malinowski Maciej – mieszkaniec Makowa Mazowieckiego, lat 22. Zginął w bitwie pod Podosiem 8 lutego 1863 r.

Maniński Adam – rolnik ze wsi Młynarze. Należał do powstańczej żandarmerii. Za udział w wykonaniu wyroku śmierci na donosiela, niemieckiego kolonistę Fandreda, został skazany na 20 lat katorżniczych robót na Syberii.

Markowski Jan – mieszkaniec Makowa Mazowieckiego. Należał do żandarmerii powstańczej. 30 stycznia 1866 r. skazany na 4 lata katorgi w kopalniach.

Meczeler Marcin – rolnik z Ponikwi. Za przynależność do bandy sąd w Pułtuskuskał go na 3 lata aresztanckich rot. Sąd w Płocku zmniejszył karę do 2 lat.

Milewski Józef – pisarz dworski urodzony w 1844 r. w Ochenkach Starych. Walczył w partii Jackowskiego. Jako znający okolicę – był używany do wywiadów. W czasie jego służby koń na którym jechał upadł. Milewski przygnieciony jego ciężarem doznał złamania nogi. Ukrywał się przed policją carską i w ten sposób uniknął zesłania.

Milewski Julian – były wójt gminy Czerwonka w powiecie makowskim. W czasie Powstania pełnił funkcję naczelnika powstańczych żandarmów. Poszukiwany przez policję carską uciekł za granicę.

Młodzianowski Franciszek – obywatel ziemski z Płoniaw. Był członkiem powstańczych władz powiatowych. Wyemigrował po upadku Powstania. W 1865 r. wrócił do kraju za zezwoleniem władz. Żył w Warszawie pod nadzorem policji.

Modzelewski Aleksander – rolnik ze wsi Strzemieczne. Służył w oddziale powstańczej żandarmerii. Został skazany na 3 lata zesłania.

Mosakowski Edward – mieszkaniec Rogowa w pow. makowskim, powstańczy żandarm został aresztowany przez policję carską 12 grudnia 1870 r.

Mościcki Jan – syn obywatela ziemskiego z powiatu przasnyskiego. Służył jako oficer kawalerii w połączonych oddziałach Ziemińskiego i Gostkowskiego. Poległ w bitwie pod Rydzewem 8 września 1863 r.

Niedziałkowski Aleksander – były urzędnik komory celnej wzięwszy dymisję zaciągnął się do oddziału powstańczego Józefa Trąmpezyńskiego. W bitwie pod Szygami (16 lipca 1863 r.) ranił pułkownika Wałujewę i tamże zginął.

Niżyński Bronisław – szlachcic ze wsi Zakliczewo. Był skarbnikiem cywilnej organizacji powstańczej, którą kierował „biały Ludwik” – Zbigniew Chądzyński.

Ojrzynski Piotr – szlachcic ze wsi Chrzanowo. Obwiniony o przyjmowanie w swym dworze powstańców i żandarmów powstańczych oraz o współudział w zabójstwie donosiela, Żyda Ożarowa 31 grudnia 1866 r. skazany na 15 lat ciężkich robót w kopalniach.

Olkowski Feliks – rolnik. Członek powstańczej żandarmerii. Uczestniczył w napadzie na Maków Mazowiecki, w rozbiciu poczty i przy zdejmowaniu rosyjskich herbów w mieście. 24 kwietnia 1865 r. zesłany w aresztanckie rotę.

Olszewski Stanisław – szlachcic, właściciel wsi Małki, były wójt gminy. Przygotowywał piki i kosy dla powstańców. 8 stycznia 1866 r. po odbyciu kary w twierdzy Modlin oddany pod nadzór policji.

Ostrowski Konstanty – szlachcic ze wsi Załużie Wielkie. Werbował zaufanych ludzi do powstańczej żandarmerii. 12 października 1864 r. skazany na osiedlenie się na Syberii.

Osowski Antoni – szlachcic lat 35 ze wsi Chodkowo-Kuchny. Za należenie do partii powstańczej i werbowanie ludzi do walki przeciw Rosjanom zesłany na Sybir na osiedlenie się.

⁶⁷ Juskiewicz R., *Powstanie Styczniowe na północnym Mazowszu*, Warszawa 1992

⁶⁸ *Katorga* – kara ciężkich robót stosowana w Rosji wobec przestępców politycznych i kryminalnych; połączona z zesłaniem (zwycię na Syberię); odbywana była w kopalniach, fabryce lub twierdzy. Skazańców katorżników w drodze na zesłanie zakuwano w kajdany, a na miejscu odbywania kary przykuwano do taczek; obowiązywał ich oznakowany ubiór, w: Katalog...

⁶⁹ AGAD, *Tymczasowa Komisja Śledcza*, sygn. Nr 1

⁷⁰ Juskiewicz R., *Powstanie Styczniowe na północnym Mazowszu* Warszawa 1992

⁷¹ Archiwum Państwowe w Pułtuskus, *Komisarz do Spraw Włościańskich Powiatu Makowskiego*, sygn. Nr 84

⁷² Szczepański J., *Dzieje społeczności żydowskiej powiatów Pułtusk i Maków Mazowiecki*, Warszawa 1993

Pisarszewski Adam – syn obywatela ziemskiego z Karniewa. W randze porucznika służył w oddziale Mystkowskiego. Poległ 5 maja 1863 r. pod Stokiem podczas zasadzki na nieprzyjaciela.

Pomaski Marceli – syn właściciela części wsi Pomaski w powiecie pułtuskim (obecnie makowskim – przyp. T. S), uczeń szkoły wojskowej genueskiej. Zginął 8 lutego 1863 r. w bitwie pod Podosiem.

Rejnik Wojciech, lat 24, mieszkaniec Makowa Mazowieckiego, zginął 8 lutego 1863 roku w bitwie pod Podosiem.

Rogulski Stefan – szlachcic z Karniewa. Za udział w żandarmerii powstańczej zesłany 6 marca 1865 r. na Sybir.

Rojewski Hieronim – urzędnik komunalny urodzony w Nasielsku. Jako podporucznik walczył pod dowództwem „Zameczka”, Padlewskiego, Jasińskiego i Ziemińskiego. Został ciężko ranny w nogę w bitwie pod Dąrdziewem. Wyemigrował do Francji, gdzie przebywał do 1870 r. Po powrocie z emigracji był urzędnikiem powiatowym w Jarosławcu.

Rudnicki Maciej, lat 48, mieszkaniec Rzechowa z pow. makowskiego, zginął 8 lutego 1863 roku w bitwie pod Podosiem.

Rusinek Jan – rolnik ze wsi Ogony. Służył w partii powstańczej i utrzymywał kontakty z żandarmerią narodową. 25 stycznia 1865 r. skazany na 3 lata aresztanckich rot.

Ruszcz Teodor – lekarz z Makowa Mazowieckiego, rewolucyjny naczelnik miasta Makowa. W listopadzie 1863 r. uciekł za granicę do Prus. Później dobrowolnie powrócił do kraju i po przeprowadzonym śledztwie został uniewinniony.

Rzechowski Stefan – właściciel wsi Szelków. Sprzyjał Powstaniu. Ułatwił ukrycie się „Białemu” (Zygmuntowi Chądzyńskiemu). Został ukarany grzywną w wysokości 150 rubli.

Siodłowski Antoni – rolnik ze wsi Czerwonka, żandarm powstańczy. Za współudział w wykonaniu wyroku śmierci na donosicielu 9 stycznia 1865 r. skazany na 10 lat ciężkich robót w twierdzach.

Stepniewski Jan – rolnik ze wsi Ulaski, żandarm powstańczy. Wyrokiem sądu z 8 lutego 1866 r. skazany na 4 lata aresztanckich rot.

Szuderski Konstanty – szlachcic z gminy Sypniewo. Z polecenia organizacji powstańczej powiatu pułtuskiego wyjeżdżał do Prus. 22 lipca 1864 r. skazany na Sybir na osiedlenie się.

Trypponder Kazimierz (Trippenbach – przyp. T.S.) – szlachcic ze wsi Prycanowo koło Różana. Należał do oddziału żandarmerii powstańczej. 18 stycznia 1864 r. został zesłany na Sybir.

Tyski Antoni – uczeń V kl. Gimnazjum w Warszawie pochodzący z pułtuskiego. Brał czynny udział we wszystkich przedpowstańczych manifestacjach w Warszawie. Po wybuchu Powstania wstąpił w jego szeregi. Walczył w oddziale powstańczym złotych ułanów Ziemińskiego. Zginął 3 września 1863 r. w bitwie pod Czarnostowem.

Waszkiewicz Adam – mieszkaniec Sypniewa oskarżony o przynależność do żandarmerii powstańczej i poszukiwany przez policję carską uciekł za granicę.

Wiśniewski Paweł – rolnik lat 30 ze wsi Załuż. Za udział w Powstaniu zesłany na 3 lata do Guberni Pazeńskiej.

Wiszowaty Jan – mieszkaniec wioski Budzyń z powiatu makowskiego aresztowany z podejrzeniem o przynależność do żandarmerii powstańczej. Po przeprowadzonym śledztwie, wyrokiem sądu z 21 listopada 1870 r. został zwolniony z aresztu.

Zaborowski Jan – mieszczanin z Makowa. Za udział w Powstaniu skazany na zesłanie do Rosji na 3 lata.

Załęski Piotr – szlachcic, mieszkaniec Chylin z pow. makowskiego. Ukrywał w swoim domu żandarmów powstańczych. Wiedział o wykonanym przez nich wyroku śmierci na zdrajcy Ożarowie. Został skazany na 1 rok więzienia.

Zwonkowski Aleksander (Dzwonkowski? – przyp. T.S.) – rolnik ze wsi Chrzanowo. Za udział w Powstaniu w 1864 r. skazany na 2 lata aresztanckich rot.

Zukowski Teofil – rolnik ze wsi Budzyń. Za udział w walkach powstańczych wyrokiem sądu z 25 października 1863 r. zesłany na Sybir na osiedlenie się.

Poza wyżej wymienionymi uczestnikami Powstania, biorącymi bezpośredni udział w walkach represje nie ominęły również osób wspierających powstańców. Oto kilka nazwisk osób, które zostały aresztowane za to, że wiedząc o wyrokach śmierci wykonywanych przez powstańczych żandarmów na zdrajcach nie donieśli o tym władzom.

Dudziński Mikołaj – mieszkaniec wioski Chełchy z pow. makowskiego, aresztowany został za to, że na jego polu (w lesie) powieszony został przez żandarmów powstańczych jesienią 1863 r. nieznanego z nazwiska mężczyzna o imieniu Marcin. Po przeprowadzonym śledztwie wyrokiem sądu dn. 30 stycznia 1871 r. został zwolniony z więzienia.

Głazewski Jan – mieszkaniec wsi Chełchy z pow. makowskiego został aresztowany i okazał się winnym tylko tego, że nie doniósł władzom o powieszeniu przez żandarmów powstańczych jesienią 1863 r. nieznanego z nazwiska mężczyzny o imieniu Marcin. Wyrokiem sądu z dn. 30 stycznia 1871 r. (podobnie jak Dudziński) został zwolniony z więzienia i objęty nadzorem policyjnym przez okres jednego roku.

Grabowski Stanisław – mieszkaniec wioski Rogowo z pow. makowskiego został aresztowany i okazał się winnym tego, że będąc świadkiem zabicia przez żandarmów powstańczych w 1863 r. donosiela Wojciecha Niedbały, nie doniósł o tym fakcie władzom carskim.

Perzanowski Ferdynand – mieszkaniec wioski Mamino z pow. makowskiego został aresztowany przez policję carską 30 stycznia 1871 za to, że okazał się winnym niedoniesienia policji o powieszeniu jesienią 1863 r. przez żandarmów powstańczych zdrajcy – nieznanego z nazwiska mężczyzny o imieniu Marcin.

Poniatowski Tomasz – mieszkaniec wioski Rogowo z pow. makowskiego został aresztowany i wyrokiem sądu z dn. 12 grudnia 1870 r. okazał się winnym tego, że będąc świadkiem egzekucji zdrajcy Wojciecha Niedbały dokonanej przez powstańczych żandarmów w 1863 r. nie zgłosił tego na policję.

Rudnicki Józef – mieszkaniec wioski Strzemieczne Sędk z pow. makowskiego został aresztowany za to (podobnie jak Perzanowski, Głazewski i Dudziński), że okazał się winnym niedoniesienia policji o powieszeniu jesienią

1863 r. przez żandarmów powstańczych mężczyzny o imieniu Marcin. Po śledztwie został zwolniony z aresztu i objęty przez jeden rok nadzorem policyjnym.⁷³

Striewski Ferdynand – mieszkaniec wioski Rogowo z pow. Makowskiego został aresztowany i wyrokiem sądu z dn. 12 grudnia 1870 r. okazał się winnym tego (podobnie jak Grabowski i Poniatowski), że wiedząc o zabiciu przez żandarmów powstańczych w 1863 r. donosiela Wojciecha Niedbały nie doniósł o tym fakcie władzom carskim.

W Powstaniu Styczniowym brały udział również kobiety.

Poszukując informacji w różnych źródłach i opracowaniach natknąłem się na dane dotyczące niestety tylko kilku kobiet – uczestniczek Powstania z naszych terenów.

Anfalska Teofila – szlachcianka utrzymująca karczmę i zajazd w Kruszewie, wiosce leżącej nad samą Narwią (w powiecie ostrołęckim), ok. 3 km na wschód od Młynarzy. W 1865 r. na skutek doniesienia została aresztowana w Ostrołęce i odesłana do komisji śledczej w Pułtusk. Oskarżona została przez władze carskie o to, że u siebie w zajęzdzie utrzymywała stałe schronisko dla powstańczych żandarmów, do których należał i jej mąż. „W jej zajęzdzie były ciągle postoje furmanek, gotowe do rozjazdów na rozkazy władz powstańczych. Teofila Anfalska więziła w swoim domu donosicieli skazanych na śmierć przez dowództwo powstańcze. Ta dzielna kobieta rzucała postrach na donosicieli, groziła im, że ktokolwiek wyda powstańców, ten natychmiast zostanie powieszony, albo zginie inną śmiercią.” Teofila Anfalska również sama należała do żandarmerii powstańczej. Po śledztwie w Pułtusk została przewieziona do więzienia w Płocku.⁷⁴

Kowska Teofila – żona karczmarza z Dyszobaby z powiatu makowskiego aresztowana za udział w Powstaniu. Przebywała w więzieniu w Płocku jeszcze w 1867 r.⁷⁵

Michelson Karolina – narodowości żydowskiej, należała do oddziału żandarmerii powstańczej operującego w powiecie makowskim

⁷³ Archiwum Główne Akt Dawnych (dalej AGAD): *Stala Komisja Śledcza* (sygn. Nr 1-2), *Tymczasowa Komisja Śledcza* (sygn. Nr 1 i sygn. Nr 7), oraz: Cederbaum H., *Wyroki Audytoryatu Polowego z lat 1863, 1864, 1865 i 1866*, Warszawa – Lublin – Łódź – Kraków 1917; Maliszewski J., *Powstanie styczniowe notatki biograficzne uczestników*, Warszawa 1932; Szczepański J., *Powstanie styczniowe na ziemi pułtuskiej*, Warszawa – Pułtusk 1994; Kolumnia Z., *Pamiętka dla Rodzin Polskich*, t II, Kraków 1868; Zieliński S., *Bitwy i potyczki 1863- 1864*, Rapperswil 1913; Przyborowski W., *Dzieje 1863 roku*, T I, Kraków 1897 i *Dzieje 1863 roku*, T IV, Kraków 1905, Juskiewicz R., *Powstanie styczniowe na północnym Mazowszu*, Warszawa 1992; J. M. Żytowiecki, J. Kołodziejczyk, K. Kruszewski, W. Łaskarzewski, J. Zygmunt, *Różan i ziemia różańska na przestrzeni wieków*, Różan 2011

⁷⁴ Konarska Pabiniak B., *Kobiety Mazowsza w Powstaniu 1863*, w: *Notatki płockie nr 48/1 z 2003 r.*

⁷⁵ Konarska Pabiniak B., *Kobiety Mazowsza w Powstaniu 1863*, w: *Notatki płockie nr 48/1 z 2003 r.*

i przasnyskim. Została aresztowana przez policję carską. Oskarżona o działalność powstańczą, odbieranie i wykonywanie powstańczych rozkazów, oraz o to, że namówiła żandarmów powstańczych do zabójstwa donosiela – Żyda Ożarowa wyrokiem wojkowego Ordynariatu Polowego z dn. 12 stycznia 1866 r., po zaliczeniu czasu spędzonego w więzieniu skazana została na zsyłkę i zamieszkanie na Syberii.⁷⁶

Janiszewska Aleksandra – mieszkanka wsi Budzyń z powiatu makowskiego. Przewoziła korespondencję Rządu Narodowego, dostarczała broń dla powstańców, którą przechowywała u siebie w domu. Dowoziła żywność dla partii „Zameczka”. Cały majątek poświęciła na wykupywanie więźniów politycznych skazanych za udział w Powstaniu. Opiekowała się sierotami po poległych, oraz sierotami po swojej siostrze Mariannie Żytowieckiej, która za udział w Powstaniu została zesłana wraz z mężem na Syberię, gdzie obydwójce zmarli.⁷⁷

Żytowiecka Marianna – mieszkanka wsi Poniatów, w powiecie przasnyskim (w innych opracowaniach – żona młynarza ze wsi Płoniawy)⁷⁸ „Była prawdziwą bohaterką. Należała do armii powstańczej. Brała udział w potyczkach. Sama zorganizowała i sformowała oddziały chłopskie, którymi przewodziła. Należała także do żandarmerii powstańczej. Wydawała wyroki śmierci na donosicieli. Chłopi bali się jej, nazywając ją <<żandarmem w spódnicy>>”. Została aresztowana i przewieziona do więzienia w Płocku, gdzie przebywała przez dłuższy czas. Wyrokiem sądu z 27 maja 1864 r. została zesłana na dożywotni pobyt do guberni woroneńskiej na Syberii.⁷⁹

Były to niezwykle kobiety, których odwaga i poświęcenie musi budzić podziw u niejednego mężczyzny.

Na szczególne podkreślenie zasługuje udział duchownych katolickich w Powstaniu. Uczestnikami Powstania Styczniowego na tych terenach byli następujący księża:

Ks. Jan Marcinowski, ur. W 1835 r. Był wikariuszem w Szwelicach, Płoniawach i Wysogrodzie. Oskarżony o utrzymywanie kontaktów z powstańcami, oraz to, że sam należał do Powstania, wyrokiem Audytoryatu Wojennego z dn. 4 listopada 1863 r. został skazany na zesłanie do guberni kałuskiej. Na zesłaniu przebywał 15 lat. Wrócił do kraju w 1879 roku.

Ks. Feliks Pomaski, ur. W 1821 r., wikariusz parafii Gąsewo za występki polityczne został aresztowany w dniu 6 lipca 1864 r. przez naczelnika wojennego powiatu przasnyskiego pułk. Riedeczkina. Po pięciu dniach został wypuszczony z przasnyskiego aresztu i wrócił do swoich obowiązków.

Ks. Stanisław Pomirski, ur. W 1835 r., wikariusz parafii Płoniawy. Został aresztowany 1 maja 1863 r. i oddany pod polowy sąd wojenny, który skazał go na karę śmierci, którą zamieniono po odwołaniach (w 3 instancji) na

8 lat katorgi. Dwa lata sędzi etapami do Irkucka z Tobolska. W kajdanach chodził 3 lata przy budowie bark na rzece Amur, następnie 2 i pół roku pracował w kopalniach srebra w Akatui. W 1870 r. ukaz carski zamienił mu karę katorgi na osiedlenie w Tunce. W 1875 r. rząd pozwala mu zamieszkać w guberni ekaterinosławskiej, skąd 1 kwietnia 1890 r. przyjeżdża do Kijowa i tu biskup Niedziałkowski mianuje go kanonikiem honorowym katedry ołydzkiej. Latem 1919 r. został aresztowany przez bolszewików i wtrącony na miesiąc do więzienia. W maju w 1920 r. korzystając z faktu wkroczenia i postoju wojsk polskich w Kijowie ks. Pomirski wyjechał stamtąd do swojej rodziny do wioski Kowalówek w woj. płockim. Tam właśnie przeżył wkroczenie bolszewików do Polski.

W maju 1923 roku ks. Stanisław Pomirski obchodził 65 rocznicę kapłaństwa. Z tej okazji Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Stanisław Wojciechowski odznaczył zasłużonego jubilata orderem „Polonia Restituta”. W dekrete nadania tego odznaczenia prezydent napisał: „nadaje ks. Stanisławowi Pomirskiemu za zasługi położone dla Rzeczypospolitej Polskiej na polu działalności cywilnej w okresie walk o niepodległość w r. 1863 odznakę Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski”.⁸⁰ Ks. S. Pomirski zmarł w wieku 94 lat w 1929 r.

Z uwagi na szczególną, wspaniałą postać księdza, jego bogaty życiorys warto przytoczyć fragment listu (datowanego 6 stycznia 1864 r.), jaki wysłał ks. Pomirski z katorgi do swojego przyjaciela w Polsce ks. Pawłowskiego: „...Kazamaty modlińskie pożegnałem 26 listopada 1863 r., a 26 grudnia stanęliśmy w Tobolsku, dokąd przybyliśmy koleją i na saniach. Stąd ruszyliśmy pieszo z rozmaitymi zbrodniarzami, jednakowo z nimi ubrani jako aresztanci. Kto miał na to mógł na swój koszt jechać, ale zawsze pod konwojem. Ostatecznie skazany jestem do katorgi przy jednej z twierdz guberni irkuckiej na 8 lat. Spodziewam się za 7 lub 8 miesięcy stanąć na miejscu mi przeznaczonym. Piesza po tej Syberii azjatyckiej nieśpora wędrówka, a szczególnie w tej porze. Ci, którzy tu już przyszli z etapem mówią, że taka podróż to coś okropnego, nie do opisania. Można sobie wyobrazić, sądząc choćby z samego tylko towarzystwa takiego rodzaju ludzi, pominąwszy głód, zimno i robactwo wszelkiego rodzaju i gatunku. Patrząc na tych naszych biedaków teraźniejszych co przedtem żyli w dostatkach i wygodach serce się kraje z żalu i zarazem rośnie z radości, nie ma tu bowiem ani jednego zrozpaczonego i smutnego. Wszyscy są weseli i nie zrażeni na duchu, chociaż niektórzy słabi na ciele. Tyfus zaczyna trochę wojować, z naszego grona braci zatrzymuje ich po szpitalach i nawet wpędza do grobu...” Drugi z listów, wysłany kilka miesięcy później (fragment): „...z Tobolska wyszedłem 15 kwietnia roku bieżącego i tu w Tomsku dnia 8 kwietnia roku bieżącego po odbytej podróży z górą 1500 wiorstowej stanąłem przy jakimś takim zdrowiu, pomimo wszelkich, nie do uwierzenia nieprzyjemności i trudów. Jutro spodziewamy się wyruszyć w dalszą podróż, do Krasnojarska, a następnie do Irkucka, a potem może i dalej. Tu złączyłem się z ks. Ren-

nerem i ks. Ambrożym Grzymałą, z którymi wyprawiono nas razem z Pułtuszka do Modlina. Kurkiewicza zostawiłem w szpitalu w Tarze, a Gronkiewicza w Kainisku.”⁸¹

Ks. Franciszek Rutkowski, ur. w 1815 r., wikariusz z parafii Krasnosielec został aresztowany w 1861 r.⁸² i uwięziony w twierdzy Modlin. Przyczyną aresztowania i uwięzienia księdza było wygłaszanie przez niego rewolucyjnych kazań, śpiewanie wraz z wiernymi zakazanych pieśni patriotycznych, a także jego wcześniejsza podróż zagraniczna. Trzeba pamiętać, że Polaków wracających wtedy z zagranicy władze carskie traktowały jako potencjalnych podżegaczy i politycznych wrogów.⁸³ W modlińskich kazamatach ks. Rutkowski przebywał do 1864 r. Na mocy decyzji naczelnika wojennego oddziału płockiego z dn. 21 lutego 1864 r. władze wojskowe zwolniły ks. F. Rutkowskiego z więzienia. Po opuszczeniu modlińskiej twierdzy został objęty nadzorem policyjnym.⁸⁴

Ks. Adam Rzańnicki, ur. w 1803 r. proboszcz parafii Różan został przez władze wojskowe aresztowany i osadzony w więzieniu pułtuskim.⁸⁵

Ks. Narcyz Wilewski, ur. w 1813 r. w Strzegocinie, parafia Gąsewo, syn Józefa i Katarzyny z Romanów, proboszcz parafii Wyszków. Został aresztowany 16 lipca 1866 r. za udzielenie błogosławieństwa wstępującym do partii powstańczych, dawanie pieniędzy powstańcom i utrzymywanie z własnych środków powstańczego szpitala we wsi Brańszczyk. Wyrokiem sądu został pozbawiony wszelkich praw i skazany na zesłanie na Syberię do guberni jenijskiej, skąd został przeniesiony do guberni irkuckiej. Od 1871 r. wolno mu było zamieszkać w Rosji europejskiej. W 1874 r. mieszkał w Nowogrodzie, a następnie w Libawie. W 1878 r. car pozwolił mu wrócić do Ojczyzny. Wrócił do kraju 2 grudnia 1878 r. po 15 latach zesłania. Przez dwa lata nie mógł pełnić żadnych funkcji kościelnych. Od 1880 r. pracował jako wikariusz w poreformackim kościele w Pułtusku.⁸⁶

Nie wszyscy byli bohaterami walczącymi z bronią w ręku. Była także duża, bezimienna grupa osób w różny sposób wspierająca powstańców - zniewolony, gnębiony i poniżany naród miał już dość niewoli.

Zdarzały się również (dość często niestety) przypadki haniebnych zachowań. Były osoby,

⁷⁶Cyberbaum H., *Powstanie Styczniowe. Wyroki Audytoryatu Polowego z lat 1863, 1864, 1865, 1866*, Warszawa 1917

⁷⁷Maliszewski J., *Powstanie Styczniowe notatki biograficzne uczestników*, Warszawa 1932

⁷⁸Szczepański J., *Powstanie styczniowe na ziemi pułtuskiej*, Warszawa – Pułtusk 1994

⁷⁹Konarska Pabiniak B., *Kobiety Mazowsza w Powstaniu 1863*, w: *Notatki Płockie* nr 48/1 z 2003 r.

⁸⁰Budny D., *Udział duchowieństwa katolickiego z powiatu makowskiego w Powstaniu Styczniowym*, w: KZH, nr 13- 14, s 64

⁸¹Kubicki P., *Bojownicy i kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861 – 1915*, część pierwsza, tom II, Sandomierz 1933.

⁸²Dembicka U., *Z dziejów Krasnosielca i okolic (1386 – 1869)*, w: zeszyt nr VIII z 1994 r., OTN

⁸³Budny D., *Udział duchowieństwa katolickiego z powiatu makowskiego w Powstaniu Styczniowym*, w: KZH, nr 13- 14, s 62

⁸⁴Kubicki P., *Bojownicy i kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861 – 1915*, część pierwsza, tom II, Sandomierz 1933 oraz AGAD, CWW sygn. 121

⁸⁵Kubicki P. nie podaje, w którym to było roku, jednak można przypuszczać, że w okresie bezpośrednim przed, po lub w czasie Powstania Styczniowego

⁸⁶Kubicki P., *Bojownicy i kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861 – 1915*, część pierwsza, tom II, Sandomierz 1933

które kierując się niskimi pobudkami, licząc na jakieś osobiste korzyści (chcąc przypodobać się carskim władzom) donosili na powstańców – wydawali miejsca postoju partii powstańczych, składali obciążające zeznania na własnych sąsiadów czy znajomych. Oto przykład nieznanego z nazwiska zdrajcy, który złożył zeznania bardzo obciążające Henryka Malinowskiego i całą jego rodzinę. Obszerny fragment jego zeznania złożonego carskim władzom 20 czerwca 1864 r. w Warszawie (tłumaczenie z rosyjskiego):

„...W wolnym czasie bywałem w gościnie u obywatela Henryka Malinowskiego w majoracie Bazar (w pobliżu Makowa – przyp. T.S.) w powiecie pułtuskim, posiadacza ziemskiego w wioskach Dąbrowa i Kowalówek w powiecie mławskim, którą to ziemię uprawia jego ojciec Piotr, emerytowany pułkownik Wojsk Carskich, pobierający pensję emerycką. W czasie mojego pobytu w tym domu zorientowałem się dobrze, że Malinowski jest członkiem Rewolucyjnego Rządu, głównym organizatorem buntowniczych szajk. Dawał pieniądze dowódcom takowych i ochotnikom do nich wstępujących, którzy przybywali w tym celu do Bazaru i za pośrednictwem swojego pośrednika Wacława Sztenkelera zakupił w Prusach broń i inne akcesoria, oraz był przywódcą (naczelnikiem) konnej żandarmerii powstańczej składającej się z kilku band, tj. z Sołowiewa, Trentowskiego, Władysława Radzickiego, Mościckiego, Kozłowskiego i innych. Oprócz tego przyjeżdżały do Bazaru często różne osoby bardzo znaczące w Rewolucyjnym Rządzie, które oprócz zajmowania się swoimi czynnościami w ramach funkcji, które pełnili w Rewolucyjnym Rządzie byli rekomendowani przez okręgowego urzędnika Mierzyńskiego. [...] Ludwika, żona Malinowskiego zajmowała się zbiórką pieniędzy z dobrowolnych składek na broń dla buntowników.” W toku dalszej części zeznania człowiek ten proponuje (by uwiarygodnić to co mówi): „...zrobić rewizję w Bazarze u Ludwika Malinowskiej, która posiada u siebie część pism i instrukcji przekazywanych jej z (Dreżna?) członkom Komitetu Rewolucyjnego”, a także: „...w Kowalówku w powiecie mławskim w domu Piotra Malinowskiego, ojca Henryka. który brał udział w nieudanym napadzie na Płock. [...] w domu u niego znajdują się wszystkie pisma Rewolucyjnego Komitetu, gazety zagraniczne, których część ukryta jest w piwnicy, a druga w komnatach.” Proponował również rewizję „w wiosce Dombrowa, z tego samego powiatu mławskiego w domu Amelii Sztenkeler, której syn Wacław był Pomocnikiem Organizatora.”⁸⁷

Kończąc, mam świadomość, że opracowanie to nie wyczerpuje tematu. Uczestników Powstania Styczniowego na terenie obecnego powiatu makowskiego było z pewnością więcej. Niektórzy z nich chroniąc własne rodziny przed surowymi konsekwencjami ze strony carskich władz działali w Powstaniu posługując się celowo zmienionymi nazwiskami bądź pseudonimami. O innych z kolei mimo, iż byli czynnie zaangażowani nie ma żadnych zmianek. Trzeba pamiętać, że w okresie represji popowstaniowych masowo niszczone były dokumenty potwierdzające przynależność do organizacji powstańczych. Trudno jest obecnie

dociec ile osób z tych terenów jeśli już nie za bezpośredni udział w Powstaniu, to za pomoc, lub sprzyjanie powstańcom, albo też za manifestowanie uczuć patriotycznych (noszenie żałoby, zrywanie rosyjskich szyldów, branie udziału w patriotycznych nabożeństwach itp.) było aresztowanych i odbywało kary w aresztach w Pułtusk czy Przasnyszu, albo też (co gorsza) w kazamatach twierdzy modlińskiej⁸⁸, także tym bezimiennym należy się z naszej strony ogromny szacunek.

Chciałbym również dodać, że niektóre z wymienionych nazwisk uczestników Powstania mogły ulec zniekształceniu podczas tłumaczenia z rosyjskiego. W AGAD w Warszawie w zachowanych zespołach archiwalnych dotyczących Powstania Styczniowego, t. j. zespołach: Stała Komisja Śledcza (sygn. Nr1-2) i Tymczasowa Komisja Śledcza (sygn. Nr 1 i Nr 7) jest wymienionych w języku rosyjskim pisanym odręcznie (w niektórych miejscach bardzo niewyraźnie) kilka tysięcy nazwisk przestępców politycznych, (uczestników Powstania) z Królestwa Polskiego z krótkimi informacjami o każdym z nich – o co byli oskarżeni i jaka spotkała ich kara. Ponadto, błędy mogły się również pojawić w opracowaniach, z których korzystałem, a nawet w dokumentach urzędowych z tamtego okresu. Trzeba pamiętać, że urzędnikami lokalnego szczebla (wójtami i burmistrzami) w zdecydowanej większości byli w tamtym czasie Polacy. Oni sporządzali te dokumenty. Nie byli zbyt skrupulatni w wypełnianiu zaleceń władz carskich. Wykonywali je niechętnie. Zdarzało się, że wprowadzali fałszywe (błędne) dane do dokumentów by utrudnić identyfikację poszukiwanych osób. Dobrym przykładem pojawienia się takiego błędu w dokumencie (być może zamierzonego) jest wstawienie na liście zbiegłych spiskowych obok nazwiska mojego pradziadka Aleksandra Suskiego miejscowości Maków Mazowiecki mimo, iż pradziadek był mieszkańcem Krasnosielca a nie Makowa⁸⁹. Również w niektórych opracowaniach przy wpisach dotyczących tego samego nazwiska i imienia pojawiają się różne miejscowości, a także różne przypisywane im działania powstańcze. Nie w każdym przypadku mogłem zweryfikować te informacje i dojść prawdy z uwagi na brak materiałów źródłowych.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości na wyraźne życzenie naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego weterani Powstania Styczniowego zostali objęci szczególną opieką, szacunkiem i czcią. Piłsudski należał do pokolenia, dla którego weterani byli niemal świętością, a podziw dla ich postawy wpajał mu od dziecka. W Powstaniu brał udział jego ojciec. Trudno więc się dziwić, że taki miał stosunek do weteranów. Spośród powstańców styczniowych wyzwolenia Ojczyzny doczekała się cał-

kiem spora grupa, bo 3700 siedemdziesięciokilkulatków, którymi zaopiekowano się niemal natychmiast. Już 22 stycznia 1919 r., a więc za ledwie po kilku tygodniach istnienia niepodległej Polski, ustawowo przyznano im prawo żołnierzy Wojska Polskiego, z obowiązkiem okazywania im szacunku przez salutowanie i prawem do noszenia mundurów. Sejm Rzeczypospolitej uchwalił ustawę przyznającą weteranom i wdowom po byłych powstańcach prawo do pobierania emerytury. Każdemu z żyjących, biorącemu czynny udział w Powstaniu nadano stopień oficerski (podporucznika weterana). Każdy żołnierz odrodzonej Armii Polskiej był zobowiązany do oddawania honorów weteranom z 1863 roku. Salutowali im nawet generałowie. Weterani Powstania Styczniowego zapraszani byli na niemal każdą ważniejszą uroczystość państwową, organizowaną na szczeblu centralnym czy też lokalnym.⁹⁰

Pod koniec 1930 roku 424 weteranów Powstania Styczniowego zostało uhoonorowanych przez prezydenta Ignacego Mościckiego wysokimi odznaczeniami państwowymi (decyzja Prezydenta Polski z dn. 29 X 1930 r.). Odznaczenia te otrzymało m. in. troje uczestników Powstania z naszych terenów. Krzyż Niepodległości z Mieczami otrzymał wtedy oficer wet. ks. Stanisław Pomirski oraz ppor. wet. Jan Bojarski; a Krzyż Niepodległości – ppor. wet. Aleksandra Janiszewska.⁹¹

Współcześnie żyjący mieszkańcy powiatu makowskiego nie mogą zapominać o tym, kto przed 150 laty walczył na tych terenach o wolność Polski narażając swoje życie; kto poniósł za to surową karę – zginął w walce lub powieszony przez carskich oprawców; kto gnił miesiącami w lochach twierdzy modlińskiej; kto został wywieziony na Sybir; jak musiały cierpieć osamotnione, pozbawione ojca czy matki i pozostawione własnemu losowi dzieci straconych czy zesłanych na Syberię.

Powstańcami styczniowymi byli w większości młodzi ludzie, nie narażali oni własnego życia z myślą o jakichś osobistych, materialnych korzyściach – byli od tego dalecy, marzyli o wolnej Polsce. Tym bardziej należy im się z naszej strony ogromny szacunek.

Tadeusz Suski,
Różan styczeń 2014 r.

⁸⁷ AGAD, *Stała Komisja Śledcza, sygn. nr 1*

⁸⁸ W archiwach państwowych w Polsce (ani w AGAD, ani w Archiwum Miasta Stołecznego Warszawy) nie zachowały się imienne spisy więźniów twierdzy w Modlinie. Akta więźniów albo uległy zniszczeniu, albo też zostały wywiezione do Rosji.

⁸⁹ Równie dobrze podobne nieścisłości co do miejsca zamieszkania mogą dotyczyć innych osób z tej listy. Z przekazów rodzinnych wiem, że mój pradziadek Aleksander Suski brał udział w Powstaniu Styczniowym.

⁹⁰ Lada W., *Jak w II Rzeczypospolitej czczono weteranów powstania 1863*, w: *W sieci* nr 2 (6), 2013. Autor pisze również, że pensja przyznana weteranom, a także wdowom po zmarłych i poległych wynosiła od 250 do 300 mln marek. Po reformie walutowej Grabzkiego pensja ta wynosiła ok. 250 złotych i była zbliżona do średniej pensji nauczyciela. Ponadto powstańcy byli objęci sprawnie działającą strukturą socjalną. W specjalnie powołanych domach weteranów mieli zapewnione mieszkanie, wyżywienie i opiekę lekarską. Domy te dotowane były przez skarby państwa, Towarzystwo Przyjaciół Weteranów 1863 r. kierowane przez Aleksandrę Piłsudską oraz własną organizację, stworzoną dla pomocy najuboższym.

⁹¹ *Monitor Polski* nr 260 z 1930 roku.



Scytowie i Sarmaci cz. 2. Sarmaci.

Paweł WŁODARSKI

Sarmaci byli ludem pochodzenia indoeuropejskiego. Należeli do irańskiej grupy językowej, mówili w języku zbliżonym do tego używanego przez Scytów i zbliżonego do perskiego. Sarmaci nie stanowili zwartej grupy, pod nazwą tą kryją się liczne plemiona o podobnej kulturze materialnej i duchowej.

Pochodzenie nazwy „Sarmaci” pozostaje niejasne. Najbardziej kolorowy przykład, wiążący się z powiązaniem jej z greckim słowem „sauros”, mającym oznaczać „jaszczurzych ludzi”, a nawiązującym zapewne do charakterystycznych dla tych ludów sztandarów z głową smoka i zbrojami łuskowymi, jest najprawdopodobniej błędny⁹². Za sprawą sarmatów dokonała się szeroka zmiana w sytuacji geopolitycznej na obszarze na północ od Morza Czarnego. Najpierw wyparli stąd Scytów, a następnie brali czynny udział w toczących się tu wojnach. Niejednokrotnie różne plemiona sarmackie walczyły po przeciwległych stronach wyniszczając się nawzajem⁹³.

Pochodzenie Sarmatów.

Kolebka Sarmatów nie jest dobrze poznana i wiąże się z nią liczne kontrowersje⁹⁴. Wystarczy powiedzieć, że na wykształcenie się Sarmatów oraz ich kultury ogromne znaczenie miało podłoże tzw. kultury prohorowskiej występującej na obszarach południowo uralskich i wpływ ze strefy aralskiej i północno-zachodniego Kazachstanu⁹⁵. Rozwój ich kultury jest przede wszystkim poświadczony w zmianach zachodzących w rytuałach grzebania⁹⁶. Pochówki w tego obszaru charakteryzowały się południową i północną orientacją szkieletu. Składane były najczęściej w prostych jamach, grobach niszowych lub katakumbowych. Pojawił się nowy typ wyposażenia grobowego: sztylety z łukowatą wygiętą głowicą, nowe typy zwierciadeł, swoiste cechy ornamentyki zoomorficznej.

Sarmaci na arenie dziejów pojawili się na dobre w IV w. p.n.e. Początkowo pojedyncze grupy ludności sarmackiej zapuszczały się na tereny naś dolną Wołgą. Dopiero od III w. p.n.e. następują kolejne fale migracji o zdecydowanie większej skali i znaczeniu. Najprawdopodobniej do tych migracji Sarmatów przyczyniło się wysychanie i degradacja pastwisk

oraz przemieszczenia ludności i związane z tym niepokoje na obszarze Azji Środkowej. Proces ten postępował, a u schyłku II w. p.n.e. Sarmaci będą już podzieleni między sobą na poszczególne plemiona⁹⁷.

Sarmaci na pontyjskich stepach.

Początkowo Sarmaci i Scytowie sąsiedowali w pokojowych warunkach. Dopiero w III w. p.n.e. Sarmaci zaatakowali Scytów zamieszkujących tereny stepów pontyjskich i północne wybrzeża Morza Czarnego. Wedle przekazu greckiego historyka Diodora Sarmaci większą część tego obszaru „zamienili w pustynię”.

Trwała obecność Sarmatów zaznacza się dopiero w początkach II w. p.n.e. w źródłach archeologicznych. Wiąże się to ze znaleziskami grobów – pochówkami w prostych jamach o charakterystycznym, omawianym wcześniej inwentarzu⁹⁸. Brak wcześniejszych znalezisk można tłumaczyć tym, że obecność sarmacka przed omawianym czasem była sezonowa.

Po zajęci stepów nadczarnomorskich część plemiona Sarmacki przesunęła się wzdłuż Dunaju⁹⁹, docierając na tereny dzisiejszej Niziny Węgierskiej. Prowadząc działalność na tych terenach niejednokrotnie mieli styczność z Cesarstwem Rzymskim, prowadząc wojny jako jego sojusznik lub wróg¹⁰⁰.

Ostatecznie obraz nadczarnomorskiej Sarmacji ukształtował się w I w. n.e., kiedy na omawiane obszary przybyło plemię Aorsów, a tuż po nich – Alanów.

Dominację Sarmacką na wymienionych terenach zakończyły migracje innych ludów. Najpierw na tereny nadczarnomorskie uderzyli Goci¹⁰¹, tworząc tam organizację stanowiącą siłę dominującą w regionie. Ostatecznie do kłeski Sarmatów przyczynił się inny koczowniczy lud, Hunowie, których przybycie zwiastowało koniec Imperium Rzymskiego oraz okres niewyobrażalnego chaosu i wielkich przemian gospodarczych i politycznych¹⁰².

Plemiona Sarmackie. Sauromaci.

Pierwszą pisaną wzmiankę o Sauromatach zawdzięczamy historykowi greckiemu Herodotowi. Jego opis każe sądzić, że to plemię Sarmackie wiązać należy z archeologiczną kulturą znaną z terenów położonych między Donem, Wołgą osiągając tereny dzisiejszego Kazachstanu, od Morza Kaspijskiego po południowe obrzeża Uralu¹⁰³.

Większa część informacji o Sauromatach jakie przetrawiały do naszych czasów jest na wpół mityczna. Podają one że Sauromaci są potomkami Scytów i Amazonek. Według tych przekazów mieli oni mówić językiem zbliżonym do Scytjskiego, zepsutym przez Amazonki które nie do końca go opanowały. Jedyny przekaz o Sauromatach dotyczy wydarzeń z roku 507 p.n.e.¹⁰⁴, kiedy wspomogli Scytów w trakcie działań wojennych prowadzonych przeciwko królowi perskiemu, Dariuszowi I.

Archeolodzy traktują Sauromatów jako dogodne określenie jeszcze nie w pełni wykształconej kultury Sarmackiej, której rozkwit przyniósł różnorodność kolejnych plemion¹⁰⁵.

Syrakowie.

Pierwotne siedziby Syraków znajdowały się na terenach dzisiejszego Kazachstanu. Stamtąd przenieśli się na tereny pomiędzy Kaukazem a Donem, stopniowo stając się władcami rejonu Kubania. Należeli do pierwszych plemion sarmackich mających kontakt z ludnością grecką¹⁰⁶. Początkowo nie było to korzystne dla Syraków: interweniowali w trakcie wojny sukcesyjnej w Królestwie Bosporańskim w latach 310-309 p.n.e. Przegrali bitwę, czego skutkiem była ich zależność trybutarna.

Stanowili oni nieliczny naród, jednak potrafil, wedle podań Strabona, wystawić armię liczącą 20 tys. jeźdźców ok. połowy I w. p.n.e.

Arystokracja Syraków prowadziła półnomadyczny tryb życia, natomiast wiele przedstawicieli niższych warstw społecznych osiadło na stałe. Związane było to z silną hellenizacją tego plemienia sarmackiego, oraz silnym powiązaniem z Królestwem Bosporańskim. Do kłeski Syraków przyczyniło się inne plemię sarmackie, Aorsowie, którzy w roku 49 p.n.e. wsparli Rzymian. Ostatecznie zniknęli oni z kart dziejów ok. roku 193 n.e. przy okazji innego konfliktu w rejonie¹⁰⁷...

Ciąg dalszy w kolejnym Zeszyście

⁹² Brzezinski R. Mielczarek M. 2002: s. 5.

⁹³ Co ukaże się w dalszej części artykułu.

⁹⁴ Kozłowski. 1999: s. 352.

⁹⁵ Kozłowski. 1999: s. 352.

⁹⁶ Archeologiczne znaleziska związane z koczownikami związane są głównie z ich pochówkami. Wiąże się z tym z gospodarką i trybem życia wymagającym niezwyklej mobilności – koczownicy wraz ze swoimi stadami przemieszczają się z miejsca na miejsce, nie budując stałych osiedli.

⁹⁷ W walkach pomiędzy Scytami a Diophantosem brali udział Roksolanie jako wyodrębnione plemię. Kozłowski. 1999: s. 353.

⁹⁸ Kozłowski 1999: s. 356.

⁹⁹ W głównej mierze byli to Jazygowie i Roksolanie.

¹⁰⁰ Dokładniej o kontaktach Rzymsko-Sarmackich w dalszej części pracy.

¹⁰¹ Wędrowni Gotowie na tereny nadczarnomorskie jest niezwykle barwna i ciekawa. Wystarczy nadmienić że jeden z jej etapów przechodził przez ziemie polskie, gdzie stworzyli tzw. kulturę wielbarską. Do Gotów nawiązywali też przedstawiciele dynastii Wawów tytułując się dziedzicznymi królami Gotów.

¹⁰² Czas ten określany jest Okresem Wędrowek Ludów. W jego trakcie z mroków dziejów

wyłonili się Słowianie. Zapoczątkował też okres średniowiecza.

¹⁰³ Brzezinski, Mielczarek 2002: s. 6.

¹⁰⁴ Data podana za: Brzezinski, Mielczarek 2002. Inną podaje Wielka Encyklopedia Świata – 514 p.n.e.

¹⁰⁵ Brzezinski, Mielczarek 2002: s. 6.

¹⁰⁶ Brzezinski, Mielczarek 2002: s. 7.

¹⁰⁷ Brzezinski, Mielczarek. 2002: s. 7.



O księdzu Morko jeszcze słów kilka

Ludwik BRZEZIŃSKI

Ludwik Brzeziński, lat 86
rodak z Kolonii - parafia Krasnosielec.

W latach 1935-1939 chodziłem do szkoły w Krasnosielcu. Wśród nauczycieli byli dyrektor Kołakowski, pani Bąkowska, pani Kobylńska, pani Bruzdowa i ksiądz Morko.

Wspominałem już w opisanych fragmentach mojego życia w Krasnosielckim Zeszycie nr 13-14 z czerwca 2013 roku, że ksiądz Morko, który uczył mnie religii, lał mnie czasami gumą po tyłku za niewłaściwe zachowanie.

Podobno byłem szkolnym rozrabiaką i nic dziwnego, że od wychowawcy dostawałem linijką po łapie i gumą po tyłki od księdza, bo takie kary mi się należały. Ale to nie przeszkodziło, a raczej pomogło w tym, że byłem dłuższy czas ministrantem i do dziś zachowałem zasady wiary.

Po piętnastu latach, w 1953 roku, spotkałem się z księdzem Morko, ale już w innych okolicznościach. W 1949 roku założyłem rodzinę. Córkę moją, trzyletnią Krystynę, zaatakował liszaj na twarzy (policzku). Lekarze nie mogli nic poradzić i wyleczyć córki. Powszechnie by-

ło wiadomo, że ksiądz Morko leczył ziołami różne choroby. Mama moja, a babcia Krystyny, poradziła nam, by pojechać do księdza Morko. Tak też się stało. Zaprzęgliśmy konie do wozu i pojechaliśmy z córką do Drażdżewa.

Na plebani w Drażdżewie przywitała nas gospodyni księdza. Zapytałem, czy zastaliśmy księdza - tak odpowiedziała nam pani, że jest w podwórku. Podeszedłem do obory, przed którą stał wóz zaprzężony w konie. Zastałem księdza Morko, który w ubraniu roboczym, butach gumowych i z widłami w ręku wyrzucał obornik z chlewa i ładował na wóz. Byłem bardzo zaskoczony takim widokiem, bo po raz pierwszy zobaczyłem, że ksiądz pracuje fizycznie i to przy oborniku. Dziś nikt by w to nie uwierzył. Przywitałem księdza pochwalonką (bo mnie tak nauczył). Ksiądz poznał mnie, bo zapytał - „co Cię Brzeziński sprowadza?”. Opowiedziałem o liszaju mojej córki. Ksiądz kazał mi iść do jego kancelarii i poczekać - tak też uczyniłem. Za chwilę przyszedł. Żeby nie znał go, to bym nie uwierzył, że to ten sam człowiek, który pracował w oborze. Ksiądz obejrzał liszaj i wyjął z szafki słoiczek (100g) z białą maścią. Poin-

formował, żeby tą maścią smarować liszaj trzy razy dziennie - rano, południe, wieczór, i jeśli po tygodniu czasu nie będzie zmian, to żeby przyjechać. Chciałem zapłacić za wizytę i lek, ale ksiądz Morko nie chciał i nie przyjął żadnej zapłaty. Serdecznie księdzu za to podziękowaliśmy. Okazało się, że to co lekarze przez kilka miesięcy nie potrafili wyleczyć, słoiczek maści zrobiony przez księdza Morko usunął liszaj z twarzy mojej córki Krystyny po dwóch tygodniach.

Ksiądz Morko był człowiekiem, który młodzież naprowadzał na właściwą drogę i pomagał chorym by wrócili do zdrowia.

Ja i moja córka Krystyna pamiętamy i będziemy pamiętać księdza Morko, że był prawdziwym wzorem księdza i człowieka.

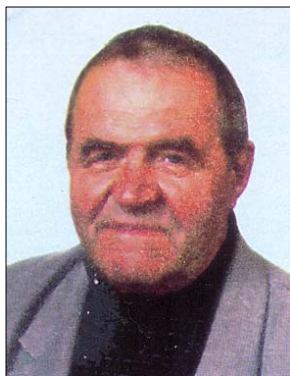
Ludwik Brzeziński

We współpracy z wnuczką Iloną Fabiszewską

Maków Mazowiecki, dnia 22 marca 2014 roku



Ks. Stefan Morko z zaprzyjaźnionym Siwkim... i innymi przedstawicielami świata zwierząt.



Wspomnienia z Drażdżewa oraz 13 pułk piechoty z Pułtuska

Piotr Wiesław MATEJUK

Wspomnienia z Drażdżewa

Latem 1943r. na zaproszenie państwa Latawców pojechałem z Matką i młodszym bratem Andrzejem do Drażdżewa, gdzie pan Mieczysław Makowski – geodeta, prowadził prace geodezyjne. Przyjechał po nas do Makowa furmanką jeśli dobrze pamiętam pan Wójcik i przez Gąsewo oraz Krasnosielec po kilku godzinach dojechalśmy do celu. Zamieszkaliśmy w plebani. Rodzina państwa Latawców była pięcioosobowa, pan Mieczysław, pani Bożena, jej Ojciec Walenty Skrety oraz dzieci: Ninka miała wtedy około 15 lat i niewiele od niej młodszy Wiesiek.



Pomnik kamienny przy kościele w Drażdżewie na tle drewnianego kościoła.
Fot. archiwalna ze zbiorów Tadeusza Kruka.

Ksiądz proboszcza przez cały czas naszego pobytu nie było, gdyż z powodu choroby przebywał w szpitalu. Było piękne słoneczne lato. Obserwowałem żniwa na okolicznych polach – żadnych śladów czy odgłosów wojny. Budynek plebani stał w dużym sadzie, a za nim płynął Orzyc. Każdego dnia chodziliśmy się kąpać i tam właśnie nauczyłem się pływać. Co po powrocie do Makowa wywołało sensację wśród moich makowskich kolegów. Msze w pobliskim starym, pięknym drewnianym kościele odprawiał dojeżdżający ksiądz. W pobliżu plebani i kościoła po drugiej strony drogi mieszkał organista mający córkę Marysię.

Gospodarstwem kościelnym zajmowało się dwóch kuzynów księdza proboszcza, których imion niestety już nie pamiętam. Duże wrażenie robił na mnie stojący opodal pomnik po-

wstańców z 1863 r. Opowieści o wydarzeniach z czasów powstania jakie miały miejsce w tamtych okolicach były wciąż żywe.

Co drugi dzień chodziłem z kanką do mleczarni stojącej niedaleko mostu, gdzie otrzymywałem po kryjomu przed Niemcami od znajomego śmietanę. Orzyc w części północnej przed wojną był regulowany, a po tych pracach w Drażdżewie pozostała stojąca przy moście nieczynna pogłębiarka. Kilka razy odwiedzaliśmy państwa Kocotów. Wtedy nie przypuszczałem, że po wielu latach będę czytał nadzwyczaj ciekawe i cenne pamiątniki Władysława Kocota.

Chodząc po wsi podziwiałem murowany budynek szkolny – takiego w Makowie wtedy nie mieliśmy. Pewnego razu spotkaliśmy jadącą furmanką panią Dierżanowską – dentystkę z Makowa. Jak dowiedziałem się po wojnie przewoziła wtedy tajną prasę.

Pewnej nocy obudziły nas lecące bardzo wysoko samoloty wszyscy twierdzili, że to Anglicy. Dużą frajdą był wyjazd do Krasnosielca gdzie oglądałem u państwa Chrzanowskich modele niemieckich pojazdów wykonane z drewna.

Po dwóch tygodniach niezapomniany pobyt się skończył i znowu tą samą furmanką, z tym samym woźnicą, tą samą trasą pełni wrażeń

wróciliśmy do rodzinnego Makowa.

Należy wspomnieć, że u państwa Latawców mieszkających w okresie okupacji w nieistniejącym dzisiaj budynku należącym do Ryzyków, odbywały się tajne lekcje licznej grupy makowskiej młodzieży prowadzone przez panią Walentynę Brykałską.

Autor wspomnień był najmłodszym uczniem pani Walentyny.

*Piotr Wiesław Matejuk
Maków Mazowiecki 20.09.2013*

13 Pułk Piechoty

13 Pułk Piechoty stacjonował w Pułtusku od marca 1921 r. do września 1939 r. W jego szeregach służyło wielu mieszkańców powiatu makowskiego. Sztandar pułkowy ufundowany przez społeczeństwa powiatów pułtuskiego i makowskiego wręczył w dniu 3-go listopada 1923 roku Prezydent RP Stanisław Wojciechowski.

Pułk wywodził się z 8 pp. utworzonego w Krakowie. Rozkazem Sztabu Generalnego 24/29 z dniem 8 lutego 1919r. zmieniono numerację pułku z 8 na 13. Żołnierze pułku bohatersko walczyli na wschodnich rubieżach Rze-



Oficerowie 13 pp. w dniu ich święta, oflag IIE, Neubrandenburg. Od lewej w górnym rzędzie: 1. nn. 2. ppor. Józef Magnuszewski, 3. ppor. Wiesław Poczman, 4. nn, 5. ppor. Stanisław Karaś, 6. ppor. Stanisław Ickiewicz. Środkowy rząd od lewej: 1. ppor. Hieronim Minurski, 2. ppor. Miłkołaj Matejuk, 3. kpt. Marian Weretyński, 4. ppor. Władysław Gielmierski, 5. ppor. Bolesław Arendt, 6. ppor. Marian Szwejk. Najniższy rząd od lewej: 1. ppor. Władysław Żebrowski, 2. ppor. Kornel Kwiatkowski, 3. ppor. Marian Kajka. Fot. Ze zbiorów Piotra Matejuka.



Z Podnierzówki do Olsztyna Moje wspomnienia

„Kochasz ten dom, ten stary dach
Co prawi baśń o starych dniach,
Omszałych wrót, rodzinnych wrót,
Co wita Cię z cierniowych dróg”.

M. Konopnicka

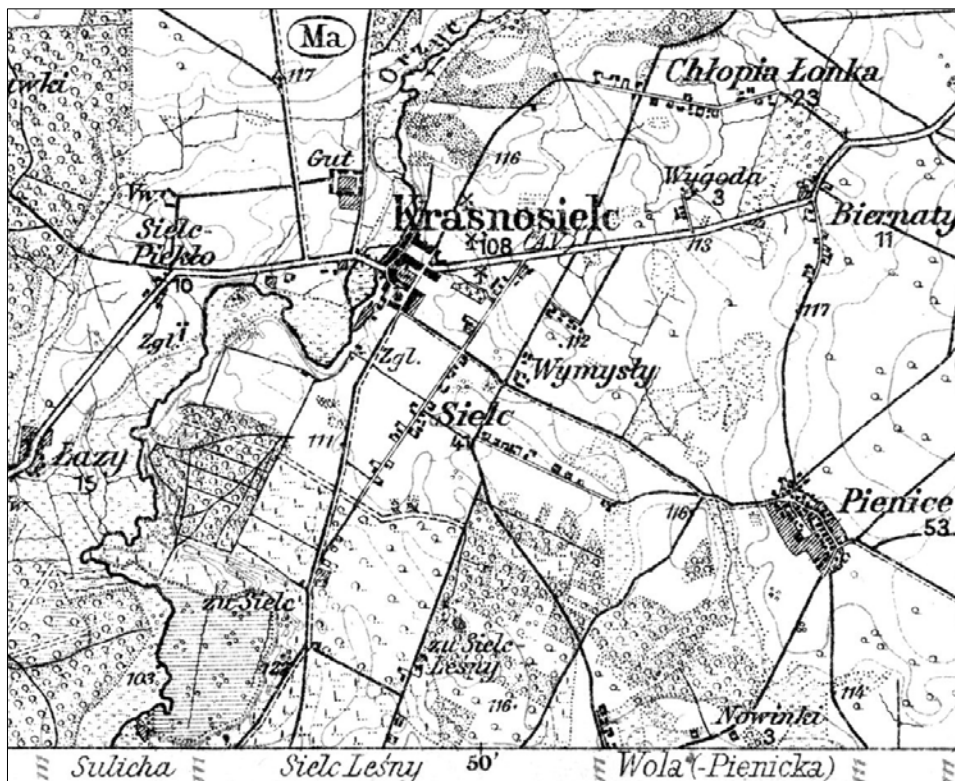
Edward MISLARCZYK

Urodziłem się 1 stycznia 1936 roku we wsi Sielc Nowy, nieopodal Krasnosielca w powiecie makowskim. W metryce organista napisał natomiast Kolonia. Obecnie nazwa wsi to Nowy Sielc, który jak dawniej składa się z trzech wsi, nazywanych przez mieszkańców: największa środkowa to Kolonia, na zachód od niej Wypędzicha, a na wschód Podnierzówka - moja rodzinna wieś. Wszystkie te trzy oddzielne wsie tworzą jedną całość, a nazwy przyjęły się dla lepszej orientacji. Miałem jeszcze starsze rodzeństwo brata Zygmunta i siostrę Kazimierę. Gdy rozpoczęła się wojna miałem trzy i pół roku, a gdy kończyła dziesięć lat. Jestem z pokolenia wojennego.



Od lewej: siostra, ja i nasza mama. Rok 1945.

Na początku wojny zostaliśmy wysiedleni przez niemieckie władze okupacyjne. Mojej rodzinie udało się uciec do rodziny ojca w Wólce Dąrdzewskiej, rodzinie Stanisława Płocharczuka do Amelina, a Stefana Płocharczuka do Obórk. Rodziny: Bagińskich, Krawczaków, Bączkowskich, Langowskich i Szczepańskich zostały wywiezione na teren Prus Wschodnich na roboty do bauerów. Zwolnione gospodarstwa zostały zasiedlone przez inne rodziny z Kolonii i innych miejscowości.



Wycinek mapy „Karte des westlichen Rußlands. Druck 1915” wg. Archiwalne Mapy Topograficzne www.republika.pl/topmap



Deutsche Heereskarte, Krasnoselz, 1944. Mapa pozyskana dzięki uprzejmości Zbigniewa Żebrowskiego. Źródło Manster.

W czasie okupacji mieszkaliśmy u wujka Nadwodnego w Wólce Drażdżewskiej. Tam mój ojciec dokonał uboju świni nie mając do tego zgody władz okupacyjnych. Usłużny Niemcom mieszkaniec wsi doniósł żandarmom w Drażdżewie, którzy mieli posterunek w istniejącym do dziś domu przy rzece. Za nielegalny ubój tucznika wg prawa okupacyjnego groził obóz koncentracyjny. Żeby przeżyć ojciec musiał uciec i ukrywał się na terenie Generalnej Guberni w gminie Goworowo. Również moja mama była aresztowana, ale nie przyznawała się do niczego została wypuszczona. Życie było trudne nie tylko pod względem materialnym. Żyliśmy dzięki pracy mojej mamy i pomocy rodziny ojca. Były częste wizyty żandarmów poszukujących ojca. Ja zawsze tych wizyt bałem się i chowałem przed nimi pod stół, bo tam osłaniał mnie obrus zwisający ze stołu.

Pod koniec wojny, gdy front późnym latem 1944 roku zatrzymał się na Narwi wszyscy byli przekonani o bliskości końca panowania niemieckiego. Zajmujący nasze gospodarstwo opuścili je, a nam pozwolono wrócić do opuszczonego i opustoszałego gospodarstwa i częściowo obsiać pole żytem. Życie blisko frontu pozwoliło nam, dzieciom, oswoić się z wojną. Rosjanie często prowadzili zwiad lotniczy, a w nocy słychać było wybuchy bomb. Niemieckie oddziały wyjeżdżały i wracały rozbite spod Różana. Nocą widać było świetliste serie karabinów i odczuwało się drżenie szyb okiennych, a nawet całego domu. Rakiety rozjaśniały niebo. We wsi w każdej zagrodzie byli żołnierze niemieccy. U nas w dużym pokoju kwaterował oficer który miał radio. Na podwórzu stał wkopany w ziemię pancerny wóz piechoty. Za stodołą wykopano rowy strzeleckie, bunkry oraz postawiono zasieki z drutu kolczastego. Polem pana Kowalskiego okopy prowadziły do szosy. Od południa za drogą, która prowadzi do Woli było podobnie. Żołnierze niemieccy spowodowali pożar gospodarstwa



Moja mama kopie ziemniaki.

Władysława Płocharczyka i jego sąsiada. W okresie letnim 1944 roku wszyscy mężczyźni zdolni do pracy musieli niewolniczo pracować przy wykonywaniu niemieckich linii obronnych. Na te fortyfikacje wycięto duże powierzchnie lasów. Przed wjazdem do Kra-



Obraz olejny „Żołnierz” 2012, autorstwa Krzysztofa Kozery.

snosielca od strony Kolonii na szosie była zapora słupowo ziemna wykonana na przemian w formie zygzaka. Która miała spowodować spowolnienie ruchu pojazdów na tym odcinku, lub jego zablokowanie.

Późną jesienią 1944 roku wszyscy mieszkańcy naszej wsi zostali wysiedleni. Nam udało się zatrzymać u pana Rosłana za szosą. Od nas w kierunku Różana wszystkie wsie zostały już wcześniej wysiedlone. W grudniu 1944 roku Niemcy wysiedlili również wieś Wymysły, a więc i pana Rosłana oraz nas. Najbardziej niezbędne rzeczy załadowaliśmy więc na parokonnny wóz na żelaznych kołach. Niewiele tego było bo tym wozem jechało dwie rodziny, nasza z mamą i jej brata Stanisława.

Po całodziennym grudniowym marszu noc spędziliśmy w kościele we wsi Bogate. Spaliśmy na podłodze wyścielonej słomą. Była również zupa z końskim mięsem. W nocy słychać było niedalekie wybuchy bomb zrzuconych przez popularne dwupłatowce zwane kukuruznikami. Nie wiedzieliśmy dokąd zmierzają nasz konwój, dlatego drugiego dnia po uszkodzeniu koła zatrzymaliśmy się wieczorem we wsi Pyrzyce pod Mławą. Otrzymaliśmy polecenie wymiany koła i dołączenia do kolumny następnego dnia. Uwolnienie się spod opieki żandarmów pozwoliło nam na to, by nocą wrócić do Wólki Drażdżewskiej. Tu też stacjonowało wojsko niemieckie. W Nowy rok dzieci otrzymały prezenty od żołnierzy nie-

mieckich, było to po jednym zeszycie i ołówku. We wsi było dużo uciekinierów. Była ciasnota i zawalenie. Na noc przynosiło się słomę i rozpościerano je na całej podłodze. Spaliśmy jeden obok drugiego w ubraniu.

Z chwilą rozpoczęcia ofensywy przenieśliśmy się do wsi Budy Prywatne, a w czasie frontu żołnierze niemieccy przyjęli nas do swego bunkra. Bunkier było ostrzeliwano pociskami armatnimi. Od bliskich wybuchów popękały szyby i sypał się piasek z sufitu, bo obok bunkra spadło pięć pocisków. W czasie bombardowania ludzie ukłękli i modlili się o ocalenie. Szczęśliwie nikt nie zginął. Rano zobaczyliśmy już żołnierzy radzieckich, którzy kazali nam wyjechać, bo może być niebezpiecznie.



Obraz olejny „Hełm” 2012, autorstwa Krzysztofa Kozery.

Widziałem koło leśniczówki jak około 30 samochodów z armatami ustawilo się rzędem na placu. Odczepiono armaty i przygotowano je do strzału. Na rozkaz dowodzącego strzelano salwami w kierunku oddalających się wojsk niemieckich. Rosjanie pytali nas jak daleko jest do „Germanii”.



Od lewej: Kazimierz Płocharczyk, autor i Zygmunt Oporek. Rok 1953.

Natychmiast rozpoczęliśmy powrót na Podniechówkę. Po drodze widzieliśmy martwych żołnierzy niemieckich. Duże wrażenie zrobili na mnie żołnierze rosyjscy w walcach długich do kolan. Most w Krasnosielcu był wysadzony przez Niemców, a Rosjanie, obok kapliczki na dole, wybudowali nowy, który zajęty był głównie przez maszerujące ich wojska. Ktoś nam poradził, aby ominąć Krasnosielec. Pojechaliśmy więc przez mostek pana Gosia, a potem łaką przez „las” koło Wypędzichy, Kolonię do Podnierzówki.

Po powrocie zastaliśmy w domu piętrowe przyce, zrobione przez wojskowych z desek rozebranej stodoły i kuchni bez blatu. Wszędzie dużo pocisków, nabojów, min i granatów. Szczęśliwie zabudowania przetrwały, chociaż ogołocona stodoła runęła w czasie wichury. Wkrótce przed dom zajeżdżał wojskowy wóz ciężarowy, którym żołnierze rosyjscy przywieźli mego ojca ukrywającego się całą okupację w Generalnej Guberni. Była wielka radość, a dla mnie było to ponowne poznanie ojca, którego zapomniałem nie widząc go przez ponad cztery lata.

Bomba lotnicza uderzyła w dach kościoła w Krasnosielcu tuż za prezbiterium. Zrobiła duży otwór w dachu i suficie kościoła, wyleciały z okien witraże.

W czasie wojny i zaraz po niej rozpowszechnił się świerzb i wszawica, na skutek braku odpowiedniej higieny, którą trudno było stosować w stłoczeniu i zagęszczeniu w czasie wysiedlenia. Leczone się maścią robioną z kory krzewów i ziół.



Delegacja na placu w Greiswaldzie w Niemieckiej Republice Demokratycznej, rok 1957. Od lewej: pierwszy Edward Misiarczyk, piąty Ryszard Dobek.



Delegacja na placu w Greiswaldzie w Niemieckiej Republice Demokratycznej, rok 1957. Od lewej: drugi Ryszard Dobek, piąty Edward Misiarczyk.



Pamiętnikowa tablica na budynku Starostwa Powiatowego w Olsztynie w hołdzie studentom WSR i mieszkańcom Olsztyna, którzy solidaryzowali się w 1956 roku z Węgrami.

Na polach było dużo rowów strzeleckich oraz zasieków z drutu kolczastego. Trzeba było wszystko posprzątać i uporządkować. Dużym problemem była amunicja, karabiny ręczne i granaty. Ja osobiście huśtałem się na minie przeciwczołgowej. Z Edmundem Płocharczykiem rzucaliśmy pocisk moździerzowy do betonowego bunkra, a gdy nie wybuchił, braliśmy go i rzucali powtórnie. Zapalaliśmy pociski pancerfausty – pięknie i długo się paliły. Tzw. spłonki rozbijaliśmy kamieniem trzymanym w ręce. Czasem kamień rozlatywał się. Na pastwisku pod wieczór układaliśmy stos poci-sków, na to suche gałęzie sosnowe. Po odpędzeniu krów podpalaliśmy i uciekaliśmy. Po pewnym czasie były duże wybuchy. Raz nie wiedząc co mam za puszkę w ręku, odbezpieczyłem i rzuciłem na podwórku. Był to granat dymny. Zrobiło się ciemno i wszyscy myśleli, że pali się stodoła.

Widziałem w Krasnosielcu folksdojców sprząających ulice. Była to dla nas satysfakcja, za tyle nieszczęść, które wyrządzili Niemcy i że chociaż trochę muszą odpokutować. Odbywały się uroczystości państwowe, na których po raz pierwszy w życiu widziałem flagę państwową i słuchałem hymnu państwowego granego przez orkiestrę miejscowej straży pożarnej.

Lata powojenne były bardzo trudne pod każdym względem. Była wszechobecna bieda, a tzw. chodzenie do szkoły pozwalało nie tylko na zdobycie wiedzy, zawodu, ale stwarzało lepszą perspektywę na dalsze życie.

Powoli następowało ożywienie gospodarcze, Sytuacja zaopatrzeniowa się poprawiała. Wszystko to zostało zahamowane decyzjami o nacjonalizacji banków, przemysłu i usług.

Myślę, że w lutym 1945 roku rozpocząłem naukę w klasie pierwszej szkoły Podstawowej. Początkowo nie było zeszytów, żadnych książek. Próbowałem pisać na papierze z worka papierowego. W roku szkolnym 1945/46 prze-robiliśmy klasę II i III-cią. W następnym roku mój wiek odpowiadał już klasie czwartej zgodnie z wiekiem. Należy podkreślić szybkie zorganizowanie nauki po zakończeniu wojny i wysoki poziom nauczania. W szkole pracowali nauczyciele dobrze przygotowani. Pan kierownik Kołakowski cieszył się dużym auto-



Od lewej: mama oraz jej siostry Stefania i Florentyna z USA.



Na drodze w rodzinnej wsi z rodzicami, 1958 rok.



Spotkanie rodzinne z okazji wizyty Cioci Florentyny z USA stoją od lewej: Ciocia Stanisława, siostra Kazia, Lucyna - córka Cioci Stasi, moja mama Helena, ciocia Dudek z Makowa, siostry mojej mamy: Florentyna z USA i Steficia z Bud oraz inni.

rytetem i zachęcał do nauki. Mówił nam, że przed wojną widział tylko jednego studenta z tak dużej gminy. Z grona nauczycieli jeszcze pamiętam: panią Bruzdową, i Orszulakową, oraz panów Tabakę i Małkowskiego. Ich praca i innych nie wymienionych pozwoliła nam dobrze przygotować się do dalszej nauki.

Chętnie chodziłem do szkoły, gdzie dowiadywałem się nowych nieznanych rzeczy. Lubilem bardzo geografę, która dawała pojęcie jak wygląda różnorodność kontynentów, brzegów, mórz, gór, rzek nizin i pustyń. Wiedziałem, że ta wiedza podstawowa, ogólna, którą można pogłębić przez pójście do szkoły średniej. Sytuacja materialna w czasie tuż po wojnie była bardzo trudna.

Obuwie stanowiły dREW-

niaki, mianowicie górna część skórzana, a dolna wykonana z drewna. Takie obuwie umiał wykonać mój brat starszy ode mnie o 8 lat. Późną wiosną, latem i wczesną jesienią na wsi chodziło się boso.

Były duże trudności z bielizną i odzieżą wierzchnią. Nosiło się rzeczy po tzw. przeróbce. Rękawiczki, szaliki i skarpety robiło się na drutach. Moja mama przędła len z własnej uprawy i robiła na krosnach materiał na koszule, prześcieradła itp., a z wełny uzyskanej z chowu owiec, sukno. Na wsi było dużo młodzieży w każdym domu po kilka, a nawet po kilkanaście osób.

Zimowymi wieczorami grało się kartami w „woza”, tysiąca lub oczko na zapalki. Jeździło się na sankach i łyżwach. W porze letniej w parzaka, palanta, a na pastwisku w czasie pilnowania krów - w czorta. Indywidualnie biegało się z fajerką z blatu kuchennego popychanej rączką z drutu. Można też było uciąć z okrągłego pnia koło, które się dobrze toczyło, trzeba było umiejętnie rzucić. W południe przy ciepłej pogodzie chodziliśmy gromadnie kąpać się do starej części rzeki.

Po przyjeździe ze szkoły brałem udział w następujących pracach w gospodarstwie rodziców:

- poganianie koni w kieracie,
- przynoszenie opału i wody ze studni,
- po południu pilnowanie bydła i owiec na pastwisku,
- w okresie letnim praca przy sianokosach, zniwach, odnoszenie cegieł z kopanego torfu,
- zwózka zboża sprężynowanie, oranie,
- jesienią kopanie ziemniaków i inne.

Wówczas w gospodarstwie rolnym nie było żadnej mechanizacji, a wszystkie prace wykonywało się narzędziami ręcznymi i przy pomocy siły pociągowej koni. Tak więc moje życie było urozmaicone ciężką pracą. Lekcje odrabiał się po przypędzeniu bydła z pastwiska, lub po powrocie z pracy wieczorem przy oświetleniu lampą naftową. Na odrobienie lekcji było bardzo mało czasu, a jeszcze mniej na czytanie książek.

W szkole działał Związek Harcerstwa Polskiego, a drużyna nosiła Nr 44. To atrakcyjne harcerstwo skautowe zostało stopniowo ograniczane w działalności, aż do zupełnego zaprzestania.

Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w 1950 roku rozpocząłem naukę w Technikum Hodowlanym w Zespole Szkół Rolniczych w Karolewie koło Kętrzyna. Technikum zapewniało bezpłatny internat i wyżywienie. Żeby dojechać do szkoły, trzeba było około godziny 16. wyjechać z Krasnosielca autobusem PKS do Drądzewa i przesiąść się do autobusu jadącego do Baranowa, wysiadając w Gacyszkach i pieszo dojść do stacji kolejowej Jastrząbka odległej o 2 km. Około 20-stej wyjeżdżało się do Olsztyna, a stamtąd około 24-tej do Kętrzyna, z którego szło się pieszo 3 km do Karolewa. Podróż w jedną stronę zabierała popołudnie i całą noc. W drodze powrotnej tak samo. Jadąc do szkoły średniej w końcu sierpnia 1950 roku miałem 14 lat i pierwszy raz jechałem pociągiem. Kilka razy mój ojciec wyjeżdżał lub odwoził mnie do Jastrzębki np. gdy zimą spadło dużo śniegu, a autobusy nie kursowały. Ucząc się w średniej szkole, dużym problemem był wjazd i powrót do domu rodzinnego. W ciągu 4-letniej szkoły średniej zaliczyłem następujące piesze marsze:

- w 1951 roku z Mieczysławem Kuśmierczykiem przeszliśmy z Wielbarką do Wólki pieszo 50 km, bo pociąg który nam uciekł trzeba było czekać dobie, a szosą nie jechał przez cały dzień żaden samochód,

- z Jastrzębki z Czesławem Jastrzębskim przeszliśmy 18 km do Sielca Nowego,

- gdy autobus nie zabierał to trzeba było najmować rolnika z wozem konnym.

Technikum to ukończyłem z wyróżnieniem w 1954 roku. Ze względów materialnych nie mogłem iść na studia dzienne. Mając 18 lat rozpocząłem więc pracę i jednocześnie studia zaoczne na Wydziale Zootechnicznym Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. W 1956 roku gdy byłem na drugim roku studiów, miałem do wyboru dwie perspektywy: odbyć zasadniczą służbę wojskową w marynarce wojennej, która wtedy trwała trzy lata, lub przenieść się na studia dzienne. Wybrałem studia dzienne tej uczelni dzięki zrozumieniu ówczesnego Dziekana Wydziału Zootechnicznego prof. Szwemina, Uczelnia dysponowała akademikami i stołówką. Pełne stypendium wynosiło wtedy



Zdjęcie ślubne siostry Kazimiery, rok 1955. Stoją od lewej: brat Zygmunt, rodzice, siostra Kazimiera z mężem - porucznikiem Janem Golaszewskim oraz autor artykułu.

440 złotych. Akademik kosztował 9 złotych, a całodzienne wyżywienie w stołówce studenckiej 200 złotych. Tak więc mając stypendium połowa z niego zostawała na inne niezbędne wydatki.

Motywy studiowania było osiągnięcie tytułu inżyniera, który wtedy cieszył się wysokim szacunkiem wśród społeczeństwa oraz robienie czegoś dobrego i polepszenie poziomu życia. Było więc wtedy świadome, poważne, traktowanie nauki. Mój „rok” był solidarnym, koleżeńskim i awangardowym. Solidarność polegała między innymi na tym, że pomagaliśmy również finansowo potrzebującym. Koleżeńskim bo potrafiliśmy wspólnie uczyć się, bawić, pracować i odpoczywać. Awangardowy, bo brał udział w wielu pracach i akcjach organizowanych przez studentów między innymi w przemianach października 1956 roku. Utrwalone to zostało przy placu Generała Józefa Bema nr 5, gdzie w dniu 30 października 2006 roku tj. w 50-tą rocznicę studenckiej manifestacji na gmachu Starostwa Powiatowego odsłonięto tablicę pamiątkową następującej treści:

„W hołdzie Studentom Wyższej Szkoły Rolniczej i mieszkańcom Olsztyna, którzy w tym miejscu 30 X 1956 roku solidaryzując się z walczącym o suwerenność narodem Węgierskim upomnieli się o Wolność Naszą i Waszą”.

Była to manifestacja solidarnościowa, wzniosła i patriotyczna, przyczyniająca się do demokratyzacji życia i wyzwolenia narodu polskiego z dogmatów stalinizmu. Byłem wówczas na drugim roku i brałem udział w tym pochodzie, manifestacji i wiecu. Zmieniono wtedy nazwę placu Armii Czerwonej na plac Powstańców

Węgierskich. Nazwę tą później, władze miasta zmieniły na plac Bema.

Wydarzenia na Węgrzech i w Polsce w 1956 roku opisała poetka warmińska Maria Zientara-Malewska w wierszu pt. „Kolęda noworoczna do matek węgierskich”.

*„Dziś może w strzaskanym kościele
pod murem, co pękł żarem buku
postawi ktoś żłobek z Dzieciątką.
O Matko Węgierska Bolesna
Poprowadź tu swoje sirotki
W rok nowy, gwiazdzisty, pogodny.*

*Krew polska z tysięcy żył ludu
Oddana ofiarnie dla Węgier
Wymodli nam wczasy łaskawe.
O bracie ty mój z Budapesztu
Dziewczyną z fabryki z winnicy
Krew ta nas związała na zawsze.*

*Niech matki węgierskie nie płaczą
Niech dzieci nie giną od głodu
Ojcowie do rodzin niech wrócą
I wszyscy przy żłobku Dzieciątka
Kłękniemy w należytym radości
Kolędy wraz z nami zanucą”.*

Po odwilży w 1956 roku nastąpiły również zmiany w programie studiów. Zrezygnowano z przedmiotu podstawy marksizmu-leninizmu, oraz zmieniono nauczanie ekonomii politycznej socjalizmu. Przywrócono prawo do organizowania przez studentów ich święta jakim są Juwenalia. Rozwiązano Związek Młodzieży Polskiej. Zaczęły powstawać nowe organizacje studenckie. Mój kolega z roku Ryszard Dobek z Sypniewa zorganizował na Uczelni Związek Młodzieży Wiejskiej, do którego ja również wstąpiłem. Założeniem programowym tej or-

ganizacji była pomoc młodzieży wiejskiej. Związek ten organizował kursy przygotowawcze dla młodzieży wiejskiej by zwiększyć jej szanse dostania się na studia. Razem z Ryśkiem, w 1957 roku, braliśmy udział w pierwszej delegacji naszej Uczelni do NRD, która nawiązała kontakty z Uniwersytetem w Greiswaldzie. Delegacja naszej Uczelni składała się z czterech studentów i czterech pracowników naukowych.

W czasie spaceru ulicami Greiswaldu zatrzymał nas mężczyzna, słysząc polską mowę i zapytał niepewnie czy jesteśmy z Polski. Po twierdzącej odpowiedzi przedstawił się i poprosił byśmy poszli porozmawiać do kawiarni. Poczęstował nas kawą i koniakiem. Poprosił nas o odnalezienie jego siostry w Polsce, z którą nie miał kontaktu przez wiele lat. Był to Polak z przedwojennej emigracji, który zamieszkał w Niemczech. Po powrocie do Polski udało mi się odnaleźć jego siostrę, która mieszkała w Wieluniu. Przekazałem im ich wzajemne adresy. By uzyskać więcej wiadomości i podziękować za odnalezienie brata jego siostra zaprosiła mnie do Wielunia. Była bardzo wzruszona i cieszyła się, że niedługo spotka się z bratem. Wiem, że do takiego spotkania doszło.

W latach pięćdziesiątych przyjechała do nas siostra mojej mamy która mieszkała w Filadelfii w USA. Do Stanów Zjednoczonych wyemigrowała ona przed pierwszą wojną światową. Razem z mamą i ciocią Florentyną zaplanowaliśmy dla niej wycieczkę by zwiedzić Warszawę, Częstochowę i Kraków. Ciocia dała 100 dolarów, które tata zamienił w Krasnosielcu na złotówki. W ówczesnych czasach kwota ta stanowiła kilkumiesięczne pobory. Wybraliśmy się rejsowym PKS-em z Krasnosielca do Warszawy, a później pociągiem pospiesznym pierwszej klasy do Częstochowy. W czasie jazdy konduktor dokonując kontroli biletów, powiedział dzień dobry i poprosiło o ich okazanie. Po sprawdzeniu podziękował i życzył przyjemnej podróży. W wagonie było bardzo czysto. Ciocia była zdziwiona i powiedziała, że koleje w Polsce są takie same jak w USA. Nie wiedziała jednak że w tym czasie był konkurs czystości na kolei. W Krakowie z braku wolnych miejsc w innych hotelach, zamieszkaliśmy w luksusowym apartamencie w Grand Hotelu i stołowaliśmy się w hotelowej restauracji.

W drodze powrotnej jechaliśmy rejsowym autobusem produkcji angielskiej, co wywołało również komentarz, że takie autobusy kursują także w USA. Ciocia nie mogła uwierzyć, że za 100 dolarów w trzy osoby mogliśmy odbyć taką wycieczkę.

Studiując zacząłem się zastanawiać nad wyborem specjalizacji. Wybrałem drobiarstwo, ponieważ w tej dziedzinie było najmniej wykwalifikowanej kadry. Tak więc, w 1959 roku, po uzyskaniu tytułu inżyniera zootechnika rozpocząłem studia magisterskie z zakresu chowu i hodowli drobiu. W celu napisania pracy musiałem raz w miesiącu zbierać dane o chowie drobiu i jego użytkowaniu od gospodyń wiejskich w mojej rodzinnej wsi Sielc Nowy i porównywać je z planowanymi wskaźnikami skupu produktów drobiarskich w skali kraju. Moje badania były nowatorskie i miały dużą przydatność praktyczną. Zostały opublikowane w Zeszytach Naukowych Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie w latach 60-tych.

W okresie powojennym znaczenie przydomowego chowu drobiu polegało na samoopatrzeniu w mięso drobiowe, jaja oraz pierze służące do wyrobu pierzyn i poduszek. Drób stanowił tzw. żywą lodówkę, a jaja mogły być przechowywane przez dłuższy czas i były podstawą do przygotowania szybkich dań. Nadwyżki sprzedawano na targach, jarmarkach czy w punktach skupu Gminnych Spółdzielni. Mięso drobiowe stanowiło dietetyczne pożywienie dla osób chorych i rekonwalescentów.



Wystawa przemysłu spożywczego w Olsztynie, rok 1957. Autor - w białym fartuchu, tłumaczy ówczesnemu I Sekretarzowi KC PZPR Edwardowi Gierkowi zalety chowu indyków.

*„Temu tylko plug i socha
Kto tą ziemię bardzo kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa te nie ziębi,
Kto z rodzinnych swoich pól
Zna wymowę - lzy i ból”.*

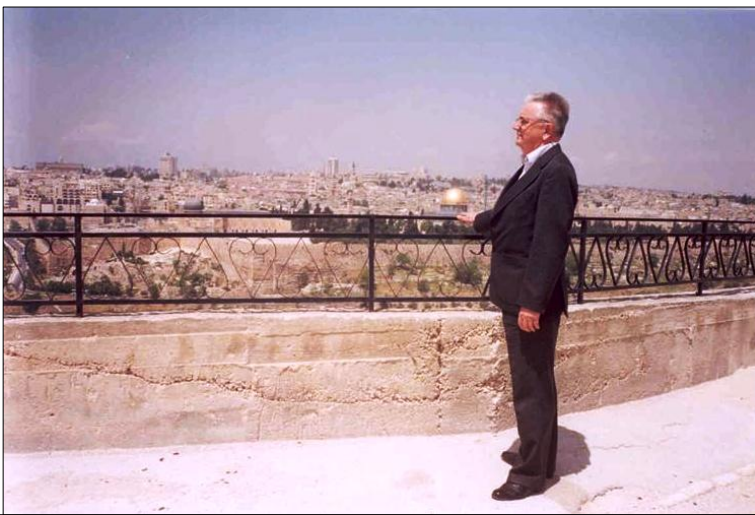
W 1960 roku wieś Sielc Nowy zamieszkiwało 420 mieszkańców skupionych w 99 rodzinach. Występuje duża różnorodność gleb. Najwięcej jest gleb IV i V klasy według ówczesnej klasyfikacji, co stanowi 73,4 %. Gleby te nazywane są żytio-ziemniaczanymi. Gospodarstwa były rozdrobnione, a małe, do 7 ha, stanowiły aż 80%. Grunty orne zajmowały 67,9 % ogólnej powierzchni. W uprawach przeważało żyto i ziemniaki, które zajmowały 80,8 % gruntów ornych. Na pozostałych gruntach ornych uprawiano grykę, seradełę, proso, rzepak jary, len, łubin, konopie, okopowe pastewne, peluszkę, groch, wykę. Uzyskiwano niskie plony z hektara i stosowano bardzo mało nawozów sztucznych. Różnorodność upraw sprawiała, że widok pól w czasie kwitnienia i plonowania był bardzo piękny. Szczególnie w okresie nasilenia prac polowych i żniw na polach było dużo pracujących ludzi. Dawną atmosferę oddaje poniższa zwrotka wiersza Marii Konopnickiej:

*„Śpię i nie śpię, we śnie słyszę
Jak tam żyto się kołysze
Jak przez pole brzęczą kosy,
O pszeniczne ciężkie kłosy.”*

Zboża po wojnie koszone kosami ręcznymi. We wsi była jedna kosiarka konna dostosowana do koszenia zboża. Dopiero po 1956 roku, po powstaniu Kółek Rolniczych wprowadzono snopowiązałki. Po skoszeniu i związaniu zboża w snopy, zestawiano je w stygi, które nadawały polom niezapomniany widok. Wszyscy się spieszyli, by wysuszone w stygach snopy schować w stodole. Zwożenie zbóż konnymi wozami drabiniastymi dodawał tej pracy uroku, choć była ona bardzo ciężka. Dzisiaj na polach odczuwa się pustkę i melancholię. Dziś maszyna zastąpiła ciężką pracę rolnika, ale zginęła piękna sceneria wynikająca z pracy rolnika i jego zamięłowania do roli.

Gospodarstwo moich rodziców było tradycyjne. Uprawiano na nim: żyto, ziemniaki, kapustę, proso, len, rzepak, grykę, łubin, seradełę oraz warzywa. Prowadzono chów bydła, świń, owiec, koni, kur i gęsi. Mama zimą robiła płótno lniane na krosnach, oraz sukno i chodniki. Rzekapak i siemię lniane dostarczano do olejarni i uzyskiwano oleje jadalne stosowane do przyrządzania potraw w gospodarstwie domowym. Gospodarstwo to było samowystarczalne. We wtorki i piątki mama chodziła z masłem i serem własnego wyrobu oraz jajami na targ do Krasnosielca, by te wyroby sprzedać, a za pieniądze kupić np. cukier, sól, proszek do prania i inne potrzebne w domu produkty.

W czasie studiów magisterskich w latach 1959/60 zacząłem się interesować historią Warmii i Mazur, co zaowocowało pozostaniem w Olsztynie. Już w czasie studiów magisterskich zacząłem pracować jako Sekretarz Wojewódzkiej Rady Przysposobienia Rolniczego przy Zarządzie Wojewódzkim Związku Młodzieży Wiejskiej. Za pierwszą pensję w 1960 roku wybrałem się na wycieczkę zagraniczną na trasie Drezno-Praga-Bratysława-Budapeszt. Żegnający nas Niemiec w Dreźnie był bardzo wzruszony i miał łzy w oczach. W Pradze nie udało się nawiązać żadnego kontaktu z młodzieżą. W Bratysławie trudno było znaleźć hotel prawdopodobnie dlatego, że zmienił nazwę. Pomógł nam oficer. Zaprosił nas do kawiarni, gdzie przy winie i kawie opowiadaliśmy dowcipy, w tym polityczne i dyskutowaliśmy. My byliśmy już odmienieni przez odwilż 56 roku, więc się nie krępowaliśmy. Przed pożegnaniem okazało się, że jest to oficer bezpieczeństwa publicznego. W Budapeszcie chcieliśmy zobaczyć pomnik Stalina, wiedząc, że powstańcy węgierscy wysadzili go w powietrze. Sprostował nas przewodnik węgierski, który powiedział, że żadnego powstania nie było. Była natomiast kontrewolucja, a pomnik Stalina jest w renowacji. Po pomniku zostały buty, co wykorzystał polski satyryk umieszczający na rysunku w nich Kadara I sekretarza Partii Węgierskiej: podpisując następującym wierszykiem: "Ojciec umarł, syn pozostał, syn po ojcu buty dostał."



Edward Misiarczyk – po lewej prowadzi statek po jeziorze Mamry, 2010 r., po prawej widok z góry Oliwnej na Jerozolimę, 1993 r.

W 1960 roku brałem udział w młodzieżowym pociągu przyjaźni do Moskwy na obchody rewolucji październikowej. Byłem na Placu Czerwonym, maszerowałem przed mauzoleum, na którym był Chruszczow. Widziałem cały pochód, a przynębiające wrażenie zrobiła defilada wojskowa.

W 1966 roku byłem na światowym kongresie drobiarskim i światowej wystawie drobiarskiej w Kijowie. Wyjazd zorganizowało Ministerstwo Rolnictwa, by pokazać nam światową technikę i technologię produkcji drobiarskiej. Byłem pilotem i prowadziłem w Juwenturze jedną z pierwszych wycieczek do Wilna w roku 1966. Wśród uczestników była młodzież, których rodzice pochodzili z Wilna i Wileńszczyzny. Opiekunem naszym z ramienia gospodarza czyli Inturistu był Polak mieszkający w Grodnie. Po powrocie do kraju zaprosiliśmy go do Olsztyna. Wybraliśmy się z nim na wycieczkę do Grunwaldu i po województwie. Był zaskoczony, że milicja nas nie kontroluje. Nie mógł zrozumieć co to jest miedza, bo w Związku Radzieckim wszystko było państwowe. Zdziwiony był również tym, że w pociągu nie ma miejscówek, bo u nich sprzedaje się tyle biletów ile jest miejsc. Nie raz na bilet czeka się nawet tydzień. Byliśmy w prywatnej ciastkarni w Ostródzie, był zdziwiony, że tak dużo jest różnych ciastek, wyglądało, że widzi je pierwszy raz. Z zawodu był nauczycielem, rysownikiem w gazecie, był bardzo sympatyczny, ugościliśmy go.

Wspominałem już o kąpeli w rzece, która jest łatwiejsza niż w jeziorze, bo można płynąć z prądem i nie ma fal. Trudniejsze jest pływanie w morzu, bo fale są większe. Gdy byłem młody to wchodziłem do wody przy czarnej fladze, o wtedy fale są wysokie i niebezpieczne. Należy wtedy stać bokiem do fali i w momencie jej nadejścia podskoczyć do góry, wtedy fala nie przewróci, ale jest to zabawa dla młodych umiejących pływać. Płynęliśmy kiedyś z Helu do Gdyni z rodziną gdy było 8 w skali Beauforta, były duże przechyły statku, dużo młodzieży wymiotowało. Nas uratowało to, że zajęliśmy miejsca na środku statku. Młodzież po wyjściu na brzeg klękała i się modliła, dziękując za ocalenie.

Kapałem się w morzu Północnym, Atlantyku, Morzu Czarnym, Śródziemnym i Martwym. Widziałem odpływ i przypływ morza. Zasolenie Morza Martwego, jeżeli dobrze pamiętam wynosi około 28%, co pozwala położyć się na



Stygi żyta na tle wsi mazowieckiej w latach 80-tych ubiegłego wieku. Zdjęcie współczesne wykonane w 2013 roku na terenie Muzeum Wsi Maz. w Sierpcu. Foto.: Edward Misiarczyk.



Typowy obraz pól na polskiej wsi w latach 80-tych ubiegłego wieku. Zdjęcie współczesne wykonane w 2013 roku na terenie Muzeum Wsi Maz. w Sierpcu. Foto.: Edward Misiarczyk.

wodzie i nie zatonać. W wodzie nie żyją żadne żywe organizmy. Nie pływają żadne statki, ze względu na korozję. Po kąpeli konieczne trzeba stanąć pod prysznicem i spłukać z ciała sól.

Następnie po zdaniu egzaminu magisterskiego przeszedłem do pracy w drobiarstwie i cały czas pracowałem w tym zawodzie. Byłem między innymi: Wojewódzkim Inspektorem Drobiarstwa, Naczelnikiem Hodowli Drobiu w Zjednoczeniu Hodowli Drobiu w Poznaniu oraz wieloletnim Dyrektorem Surowcowym Olsztyńskich Zakładów Drobiarskich. Pracując zawodowo w drobiarstwie, pogłębiałem umie-

jętności i wiedzę drobiarską poprzez udział w różnego rodzaju kursach i sympozjach naukowych krajowych i zagranicznych. W 1977 roku ukończyłem Studium Podyplomowe z Organizacji i Zarządzania przy Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu.

Nowoczesne spojrzenie na organizację i technologię produkcji drobiarskiej dały mi pobyty na fermach w Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, Kanadzie, Włoszech, Węgrzech, Słowacji i Izraela oraz wieloletnia współpraca z Zakładem Hodowli Drobiu Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie.

Miałem wiodący udział w opracowaniu i realizacji pierwszego w Polsce programu rozwoju całorocznej produkcji indyków. Dzięki temu olsztyńskie stało się liczącym ośrodkiem produkcji indyków w kraju. Mięso indyka jest popularne w krajach anglosaskich, które są krajami bogatymi. W USA w Dniu Dziękczynienia spożywa się 40 milionów indyków. Jest to tradycja związana z przeżyciem dzięki dzikim indykom ostrej zimy w czasach kolonizacji. W Izraelu spożywa się około 40 kg mięsa indyczego na jednego mieszkańca. Mięso indycze ma najwięcej łatwostrawnego białka i najmniej tłuszczu ze wszystkich zwierząt. Wartością pokarmową jest równe mięsu cielęcemu. Jest doskonałe dla dzieci i ludzi starszych. Mięso indyka jest konkurencyjnym mięsem w stosunku do mięsa czerwonego pod względem cenowym. Jest cennym surowcem do przetwórstwa oraz posiada wysokie walory odżywcze i smakowe.

Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku po raz pierwszy w Polsce całoroczna produkcję białych indyków rozpoczęto na Warmii i Mazurach. Zorganizowały ją i prowadziły Olsztyńskie Zakłady Drobiarskie „Poldrob” w Olsztynie, które obecnie występuje pod nazwą „Indykpol”. Z niewielkiej produkcji na początku lat siedemdziesiątych, mało znanej, a pionierskiej w latach 1975-1985 wyrosło na potężną gałąź produkcji drobiarskiej w



List gratulacyjny wojewody Olsztyńskiego. Dyplom ART. i Gazety Olsztyńskiej – za zajęcie pierwszego miejsca w zastosowaniu w praktyce nowych technologii. Nagrodę NOT – za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki. Nagrodę Ministra Kierownika Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego Wdrożeń – za udział w wyhodowaniu czystych linii indyków „Wama”. Posiadam też liczne odznaczenia regionalne i państwowe. Od 1954 roku mieszkam w Olsztynie. Tu skończyłem studia i pracowałem zawodowo. Założyłem tu rodzinę i pozostałem na stałe. Mam dwie córki i dwóch wnuków. W Podnie-rówce mieszkałem osiemnaście lat, a na Warmii blisko sześćdziesiąt. Utrzymuje jednak stałe kontakty z rodziną i rodzinnymi stronami. Z upływem lat rodzinne strony, jak i dziecięce lata stają się coraz piękniejsze. Dzieciństwo spędzone na wsi było dla mnie szkołą życia. To tu nauczyłem się podstawowych praw obowiązujących w świecie natury i ludzi. Dzięki tym latom wiem, że owoce rodzą się po ciężkiej pracy, że w życiu na wszystko jest odpowiednia pora i trzeba się z tym pogodzić.

Edward Misiarczyk

Poprawki do poprzednich wydań KZH

KZH nr 6, s. 23: podpis pod drugim zdjęciem /poniżej miniatura/ powinien brzmieć:

Uczestnicy Mszy św. na Polskiej Kępie, 26 czerwca 2011 r.



KZH nr 11, s. 3: podpis pod pierwszym zdjęciem /poniżej miniatura/ powinien brzmieć:

Ks. Wacław Jezusek (po prawej) i ks. Tadeusz Wysokiński z Małgorzatą Grabowską (stoi przy bryczce) - matką ks. Stanisława - i jej córką Marianną Zuzelską (pierwsza z lewej), wnukiem Stanisławem i jego żoną Haliną oraz wnuczką Elżbietą (córka Marianny) i prawnukiem Kazimierzem (syn Stanisława), Bagienice 1959.

KZH nr 12, s. 49: fragment literackiego opisu



pożaru w Lipcach powinien brzmieć:

„Bezradność wobec żywiołu przedstawił W. Reymont w *Chłopach*: „Pożar zaś urastał co chwila, folwark stał na wzgórzu pod lasem, więc chociaż o parę wiorst od Lipiec, widać było jak na dłoni wzmaganie się ognia. Na

czarnej ścianie lasu roily się ogniste jezory i wybuchały krwawe, skłębione chmury. Nie było wiatru i ogień wynosił się coraz wyżej, budynki płonęły kiej smolne szczapy, czarne dymy waliły słupami, a krwawy, zwichrzony brząsk rozlewał się w ciemnościach rzeką ognistą i chwiał się już nad borem.

Przeraźliwe ryki rozdarły powietrze.

- Wołowina się pali, nie uratują wiele, bo jedno drzewi.

- Stogi się teraz zajmują!

- Już stodoły w ogniu! - wołali strwożeni.”.

KZH nr 13-14, s. 34, kol. 3: czwarte zdanie powinno brzmieć:

„Często jednak dostawałem od księdza Mor-ki gumą za niewłaściwe zachowanie”.

Ludwik Brzeziński, autor artykułu, w ślad za sprostowaniem przysłał do niniejszego wydania KZH 17 wspomnienie pt. „O księdzu Mor-ko jeszcze słów kilka”.

Tadeusz Kruk, Sławomir Rutkowski

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny



bezpłatny dodatek specjalny do społecznego miesięcznika „Więści znad Orzycza”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a, tel. 29 71 75 205

Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu

Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com

Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

Nakład: 1 000 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1